Czy Trzecia Droga przetrwa ▪ Co sieć robi naszym dzieciom ▪ Spór o corridę
Skrzywdzeni do biskupów: czekamy ▪ Król kryminałów ▪ Życie na bazarze

Kraków 3 – 9 lipca 2024 nr 27 (3913) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

JANINA OCHOJSKA:
Nie zmienię poglądów dla polityki

EKSTRA STRONY:
POZNAŃ.
LATO W MIEŚCIE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Kraków

MUZEUM
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
W KRAKOWIE
MOCAK

Z TYM NUMEREM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" W DNIACH 3–10 LIPCA 2024 ROKU W KASIE MUZEUM OTRZYMASZ BILET NA WYSTAWĘ W PROMOCYJNEJ CENIE 10 ZŁ

KUP BILET ONLINE

JEDZENIE W SZTUCE

12.4.2024–16.3.2025

GODZINY OTWARCIA MUZEUM
WT. – ND. 11–19

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK
UL. LIPOWA 4, WWW.MOCAK.PL

ALICJA KOZŁOWSKA, *DUŻY OGRYZEK* Z CYKLU *HAFTOWANA ZWYCZAJNOŚĆ*, OBIEKT, 130 × 60 × 60 CM, COURTESY A. KOZŁOWSKA

MECENAS MUZEUM
OKNOPLAST

PARTNER MOCAK-U

PATRON GALERII RE
RE-Bau

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Jak się zmienia świat*

Nikt nie zadzwonił, nikt nie porozmawiał z Janką Ochojską jak z dojrzałym człowiekiem. Był tylko obszerny sms z tłumaczeniem, dlaczego już jej nie ma wśród kandydatów do Parlamentu Europejskiego. Oczywiście, zabolało ją to: „Potraktowano mnie, jak dziewczynkę, która chciała się pobawić w europarlament, ale my ważniejsi i poważniejsi jej nie pozwolimy". Jakiś małoduszny strach, by przyznać się do własnych strategii, albo bezradność wobec ich braku. Teraz już nieważne. Janka, która właśnie się rozstała z założoną przez siebie fundacją (podaje w skrócie argumenty), zostaje zepchnięta na margines.

Zostawmy ten *modus procedendi* na boku, jak zostawiła go sama Ochojska. Nie zamierzam dochodzić słuszności czy jej braku w samej decyzji wykreślenia Janki. Nie dlatego, że nie mam na ten temat zdania, ale dlatego, że to niczego już nie zmieni. Sam ten fakt jednak ma swoją wymowę. Ochojska bywała osamotniona. Można wnosić to choćby z tego, co Przemysław Wilczyński w tekście „Nowe życia Janiny Ochojskiej" pisze o jej stosunku do pushbacków i muru granicznego.

Ochojska być może czasem przesadza, czasem proponowane przez nią rozwiązania mogą być praktycznie niewykonalne. Na granicy z Białorusią mamy do czynienia z oczywistą prowokacją, na którą trzeba jakoś reagować. Nie wiem, jakie rozwiązania mogą być skuteczne, nie wiem, czy dotychczasowe reakcje polskich władz są jedyną możliwością, wiem jednak, że to, co się dzieje na granicy białoruskiej, budzi przerażenie. Z tym przerażeniem żyjemy i siedzimy cicho. Janka cicho nie siedziała. Poszła do parlamentu UE i tam mówiła, krzyczała. Jeśli nie miała racji w czymś, co się odnosiło do sposobów reagowania na cały ten dramat, to na pewno miała rację konstatując, że dzieje się źle.

Nie wiadomo, co jeszcze zrobi. Na pewno założy nową organizację, która będzie reagowała na łamanie praw człowieka. Nie pozostanie biernym obserwatorem nieludzkiego świata.

Kazus Janki jest odwiecznym kazusem ludzi, którzy reagują na niesprawiedliwość i krzywdę. Być może nie zawsze proponowane przez nich sposoby są wykonalne, zawsze są trudne. A my musimy działać szybko i skutecznie, więc działamy na miarę doraźnych możliwości. Wolno mieć nadzieję, że głos takich osób jak Ochojska nie jest całkiem daremny. Bo ludzi szukających godnych warunków życia będzie przybywać, z przyczyn klimatycznych, demograficznych i gospodarczych. Odpowiedź „Nie, bo nie" nie jest żadną odpowiedzią. Tak możemy odpowiedzieć Putinowi i Łukaszence, ale migracje są dla nas realnym wyzwaniem i nie załatwią go zaprzeczanie ani zaklęcia.

Chciałbym powiedzieć Janinie Ochojskiej, że misję nie tylko wykonała, ale ma ją wciąż przed sobą. Zdobyte doświadczenie nie idzie na przepadłe. Znamy się nie od dziś: wiem, że dalej będzie przynosić owoce. Ten czas był potrzebny.

Często dzieła Ochojskiej i jej współpracowników wydawały się wręcz niemożliwe. Nie zmieniały co prawda świata, ale ratowały ludzi, bardzo wielu. A może właśnie tak świat się zmienia? Unia Europejska, organizacje pozarządowe, misje, działania, o których nawet nie wiemy, to wszystko zmienia świat na lepsze. Ten świat, w którym siły przeciwne zmianom zdają się równie, jeśli nie bardziej, silne. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego"

90. BONIECKI

90x90.

Przebiegnij lub przejdź
90 km na 90. urodziny
ks. Adama Bonieckiego.

Dołącz do naszej grupy 90na90 na FB

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Uczyłem się dziś nagrywania rolek! – powiedział przekraczając próg domu ponad 40-letni redaktor do swej 15-letniej córki, choć nie padło wcale pytanie: „Co tam w pracy?”.

– Oooo, to fajnie – odpowiedziała z powściągliwym entuzjazmem nastolatka, przez której mózg przegalopowały już tysiące takich rolek, czyli krótkich instagramowych albo facebookowych filmików (z prankami, czyli żartami, z kotami i psami robiącymi śmieszne rzeczy, z influencerkami od książek; raczej – nie oszukujmy się – bez redaktorów polecających artykuły w tygodnikach opinii).

Ten krótki dialog to nie pierwszy i nie ostatni przykład odwrócenia ról, w ramach którego „Zetki”, a jeszcze bardziej „Alfy” prześcigają w niektórych obszarach rodziców. Ale to odwrócenie ról ma swoje granice: dzisiejszy czterdziesto- i pięćdziesięciolatek pamiętający czasy daleko przedinternetowe może jedną częścią mózgu ekscytować się dobrodziejstwami technologii, ale i tak drugą częścią będzie drżał, by jego nastoletnie dziecko nie dostało od tych dobrodziejstw pomieszania zmysłów.

„Urodzone po 1995 r. pokolenia Z i Alfa w zasadzie nie znają świata, w którym nie ma internetu. Nie można powiedzieć o nich, że spędzają coraz więcej czasu w sieci, bo na różne sposoby są one online w zasadzie bez przerwy. Możliwe więc, że proponowana przez Murthy’ego metoda »leczenia« [chodzi o niedawną propozycję, by media społecznościowe miały ostrzeżenia o szkodliwości dla zdrowia, tak jak papierosy czy alkohol – red.] okazałaby się równie skuteczna, co stosowanie cebuli, upuszczania krwi i egzorcyzmów na zapalenie płuc” – piszą w **„TEMACIE TYGODNIKA” AGATA KAŹMIERSKA** i **WOJCIECH BRZEZIŃSKI**. I jest to pierwszy z wielu w tym tekście sygnałów, że nie dostają Państwo do czytania ani kolejnego zbioru prostych diagnoz, ani setnego paroksyzmu moralnej paniki (typu „internet pochłania nastolatki” czy „nasze dzieci w sieci sieci”).

Tak, „Alfy” bywają nieszczęśliwe, ale trudno uchwycić, jaka w tym rola internetu. Owszem, „socjale” ogłupiają, ale są też częścią ich normalnego życia. Czytając ten tekst, dostaniecie uczciwą do bólu diagnozę, ale nie zostaniecie też sami z procesem leczenia.

Dobrej lektury. I do zobaczenia na Instagramie. ©℗

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.

BOHATERKA Z OKŁADKI

20 Nowe życia Janiny Ochojskiej
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Tuż przed siedemdziesiątką przeżywa słodko-gorzkie przełomy: odtrąca ją polityka, rozstaje się z PAH-em i pokonuje raka. Gdzie jest nowe miejsce dla ikony polskiego ruchu NGO?

38 Architektura cienia
ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ WASILKOWSKĄ, ARCHITEKTKĄ:
Wcześnie zostałam samodzielną matką. Wózek z dzieckiem i zakupami wnosiłam na trzecie piętro, w parkach nie było toalet, a w pobliżu – bazarów. Dlatego teraz buduję toalety publiczne, bazary i place zabaw.

76 Kryminał doskonały
PIOTR KOFTA
„Pogodziłem się z myślą, że jestem marnym pisarzem. Spotkałem jednak na swojej drodze kobietę, która myślała dokładnie coś przeciwnego” – tak tłumaczy początki swojej wielkiej kariery Pierre Lemaitre.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // ARTUR ZAWADZKI / REPORTER / JACEK TARAN // FRANCK FERVILLE / AGENCE VU / EAST NEWS

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Unia dzieli i rządzi
PAWEŁ BRAVO

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Nowe życia Janiny Ochojskiej
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

24 Trzecia Droga na rozdrożach
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Czy alians Hołownia – Kosiniak-Kamysz przetrwa?*

28 Jak odchudzić Polaków
JERZY DZIEKOŃSKI: *Na otyłość cierpi co piąty z nas*

32 Czytelnicy pytają, ks. Adam Boniecki odpowiada

■ ■ Z ODDECHEM

38 Architektura cienia
ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ WASILKOWSKĄ

■ ■ WIARA

42 Jesteśmy gotowi
ROZMOWA Z JAKUBEM PANKOWIAKIEM
Jeszcze kilka lat temu spotkanie z episkopatem na Jasnej Górze mogłoby być dla mnie zbyt trudne

46 Modlitwa Faustyny
JAREMA PIEKUTOWSKI: *Krytykowana przez niektórych księży, broniona przez świeckich – koronka do Miłosierdzia Bożego jest dla wszystkich*

49 Biesy w wirtualnym świecie
MONIKA OCHĘDOWSKA *o grze komputerowej „Indika" dziejącej się w dawnej Rosji*

■ ■ ŚWIAT

54 Bez złudzeń
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Zachód miota się, jak nie dopuścić do klęski Ukrainy – zamiast dążyć do jej zwycięstwa*

TEMAT TYGODNIKA

DAISY DAISY / SHUTTERSTOCK

12 Co sieć robi naszym dzieciom
AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Potężny kryzys zdrowia psychicznego wśród dzieci i młodzieży jest faktem. Nie ma jednoznacznych naukowych dowodów, że winne temu są media społecznościowe. Ale przesłanki są wyjątkowo mocne. Co naprawdę wiemy o ich wpływie na najmłodsze pokolenie?

■ STRONY SPECJALNE ■

33 POZNAŃ. LATO W MIEŚCIE
68 POMAGAM.PL

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
51 ZUZANNA RADZIK **71** ELIZA KĄCKA
88 OLGA DRENDA **89** PAWEŁ BRAVO
94 STANISŁAW MANCEWICZ
95 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
JANINA OCHOJSKA, KWIECIEŃ 2024 R.
FOT.: MIECZYSŁAW MICHALAK

57 André i jego droga
ANTONINA PALARCZYK: *Bardziej zaopiekowanych skrawków asfaltu niż te, za które zabrał się ten sumienny Niemiec, nikt nie znajdzie w całym obwodzie donieckim*

58 Bój o corridę
AGNIESZKA ZIELIŃSKA *o szkole młodych torreadorów*

61 W pogoni za American dream
MARTA ZDZIEBORSKA: *Coraz mniej Amerykanów stać na własny dom*

■ ■ HISTORIA

64 Święta wojna orientalistów
ALEKSANDER R. MICHALAK: *Konflikt, który wybuchł 110 lat temu, w lipcu 1914 r., ogarnął też Bliski Wschód*

■ ■ NAUKA

72 Nasz kontakt z niebem
ROZMOWA Z ANDRZEJEM UDALSKIM, ASTRONOMEM, *o ciemnych materiach i czarnych dziurach*

■ ■ KULTURA

76 Kryminał doskonały
PIOTR KOFTA

80 Muzyka klubu
JAN BŁASZCZAK: *Imprezy techno mają swoje festiwale. Na jednym z nich w te wakacje zagra MONO, łódzki DJ z trzydziestoletnim stażem*

83 Wyznanie jako wyzwanie
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI *o komiksowych memuarach*

86 Nasłuch po latach
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Rozmowa" Francisa Forda Coppoli w odnowionej wersji*

87 Zmartwychwstali
LEKTOR *o dwóch powieściach ukraińskiego „rozstrzelanego odrodzenia"*

■ ■ ZMYSŁY

90 Bulwar Matki Teresy
ZBIGNIEW ROKITA: *Prisztina wygląda tak, jak gdyby ktoś rozrzucił nieco materii nieożywionej, aby wywróżyć z niej kosowską przyszłość*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 52

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

UNIA DZIELI I RZĄDZI

Zakulisowe deale, obietnice „przez bibułkę" i egzotyczne sojusze: liderzy państw Unii ustalili, kto będzie nią kierować. Co to mówi o Europie?

PAWEŁ BRAVO

POWYŻEJ:
Von der Leyen i Macron podczas Rady Europejskiej, na której oficjalnie zatwierdzono podział stanowisk. Bruksela, 27 czerwca 2024 r.

O wszystkim zdecydowały trzy rodziny polityczne, od zawsze wyznaczające kierunki prac Unii. Czyli: chadecka Europejska Partia Ludowa (EPL; pierwsze skrzypce grają w niej niemieccy chadecy), Socjaliści i Demokraci (SD; długo zdominowani przez niemiecką SPD i francuskich socjalistów; dziś te partie są w zaniku, a największe wpływy mają tu Hiszpanie) oraz liberałowie. Ci ostatni doproszeni, gdy EPL i SD w poprzedniej dekadzie zaczęło brakować głosów (liberałowie funkcjonują dziś pod nazwą Renew, a ich trzonem jest partia Macrona).

W STARYM GRONIE | Jeszcze przed eurowyborami te trzy rodziny ustaliły wstępny podział stanowisk. Dopięto go na nieoficjalnych spotkaniach, które w drugiej połowie czerwca toczyły się w gronie: Tusk, Macron, Scholz, Mitsotakis (premier Grecji), Sánchez (premier Hiszpanii) i Rutte (premier Holandii, od jesieni 2024 r. sekretarz generalny NATO). Rada Europejska zatwierdziła ustalenia 27 czerwca.

Szefową Komisji Europejskiej ma zostać znów niemiecka chadeczka Ursula von der Leyen – o ile w lipcu zatwierdzi ją europarlament. Taką akceptację muszą dostać też Estonka Kaja Kallas z obozu liberałów (kandydatka na wysoką przedstawicielkę ds. polityki zagranicznej). Pewny swej nominacji jest tylko portugalski socjalista António Costa, nowy przewodniczący Rady.

Jak na Unię, ustalono to szybko. Ale też sytuacja jest groźniejsza niż 5-10 lat temu, gdy targi o *top jobs* trwały tygodniami. Wobec wojny na Ukrainie, wizji wygranej Trumpa i Le Pen, wobec słabnięcia partii, które były filarami establishmentu Unii – wszystkim się spieszyło.

DIVIDE ET IMPERA | Najważniejsza z tych nominacji to przewodnicząca Komisji.

Także dlatego, że po raz pierwszy ta sama osoba zostanie powołana na drugą kadencję. Ursula von der Leyen od dawna zabiegała o to wśród „wielkich elektorów", tj. premierów i prezydentów. Zresztą przez całe minione pięć lat Komisja pod jej silnym przewodem – unijni komisarze narzekali na jej niekolegialny styl – starała się wychodzić naprzeciw interesom rządów.

Ostatni rok to była już jej intensywna kampania pod hasłem „dla każdego coś miłego": pieniądze, korzystne decyzje lub powstrzymywanie się Komisji od decyzji przykrych. I tak, Komisja poluzowała ostatnio procedury rozliczania środków z Funduszu Odbudowy, a kilka krajów dostało szybciej swoje raty z tego Funduszu. Polska dostała zgodę na wypłaty, choć żaden z tzw. kamieni milowych dotyczących praworządności nie został spełniony (wystarczył plan przedstawiony przez rząd Tuska). Francja zażądała i otrzymała zawieszenie prawie gotowego traktatu o wolnym handlu między Unią a Ameryką Łacińską. Także pod jej naciskiem Komisja wszczęła procedurę obłożenia cłami chińskich aut elektrycznych.

WOBEC MIGRACJI | Z kolei Grecji i Chorwacji (rządzą nimi politycy z EPL) Komisja puściła płazem naruszenia prawa przy odpychaniu migrantów. Zgodnie zaś z interesem Hiszpanii firmowała jej umowę z Mauretanią w sprawie ich powstrzymywania, choć kraj ten nie spełnia standardów praw człowieka. W liście na temat stanu polityki migracyjnej, który von der Leyen rozesłała przed ostatnim szczytem do przywódców państw, wspomina o „innowacyjnych" rozwiązaniach i zapowiada, że świeżo przyjęty pakt migracyjny nie będzie ostatnim słowem Unii na ten temat. To pośrednio odpowiedź na list 15 państw (w tym Polski), które właśnie tego się domagały.

Owe „innowacje" to np. testowany przez Włochy tzw. model rwandyjski. Nazwa pochodzi od brytyjskiego projektu wysyłania osób starających się o status uchodźcy do Rwandy, gdzie mają być procedowane ich zgłoszenia. W przypadku Włoch ma się to dziać w Albanii, z błogosławieństwem Unii. Wcześniej von der Leyen patronowała umowie Rzymu z Tunisem w sprawie ograniczania migracji.

GIORGIA I URSULA | To tylko dwa z wielu gestów bliskości, jaką szefowa Komisji pielęgnuje z włoską premier. Ich relacja to osobny wątek w historii podziału wpływów w Unii. Partia Giorgii Meloni, Bracia Włosi, należy do rodziny Konserwatystów i Reformatorów (EKR), którą „trójca" dzierżąca władzę otaczała „kordonem sanitarnym". Meloni nie dopuszczono do rozmów o stanowiskach (choć raczej popierałaby nominację von der Leyen) – co budziło gniew w Rzymie, gdyż oznaczało trzymanie za drzwiami trzeciego kraju Unii.

27 czerwca Meloni wstrzymała się od głosu, zostawiając sobie otwartą furtkę do nieoficjalnych rozmów przed następnym, trudniejszym dla von der Leyen etapem procedury. Bo jej gesty wobec Meloni to wynik liczenia szabel przed lipcowym głosowaniem w europarlamencie. Niezależnie od dystansu do tzw. populistycznej prawicy – która zresztą w przypadku Włochów głosi program niewiele różniący się od tego, co mówią dziś chadecy w sprawie migracji i Zielonego Ładu – „trójca" potrzebuje dodatkowych głosów, by europarlament zaakceptował jej deal. Najłatwiej ściągnąć je od Meloni. Bez wciągania jej do koalicji, ale płacąc cenę: to stanowiska wiceszefa Komisji i mocna teka komisarza dla Włochów.

O NATURZE UNII | Paradoksalnie, te zakulisowe rozmowy z Meloni okażą się jedyną chwilą, gdy proces ustalania nominacji wyjdzie poza salkę, gdzie decydują zawsze ci sami gracze. A decydują, respektując wiele różnych parytetów – między partyjnymi rodzinami, krajami dużymi i małymi, płciami – ale już niekoniecznie mając na uwadze werdykt wyborczy.

Ale na tym polega hybrydowa natura Unii. Nie może ona, wbrew narracji niektórych swoich apologetów, być taką demokracją, jakby była jednym spójnym bytem. ©℗

OLIVIER HOSLET / AP / EAST NEWS

Stawka dla Francji

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Pierwszą turę przyspieszonych francuskich wyborów wygrało Zjednoczenie Narodowe (RN) – partia skrajnej prawicy Marine Le Pen. Zjednoczenie (występujące w sojuszu z rozłamową frakcją Republikanów) otrzymało ponad 33 proc. głosów, lewicowy sojusz Nowy Front Ludowy (w nim: radykalna Francja Nieujarzmiona, socjaliści, Ekolodzy i komuniści) 28 proc., centrowy blok Razem skupiony wokół Macrona 20 proc., a konserwatywni Republikanie 7 proc.

– Po raz pierwszy w historii skrajna prawica nie tylko wygrywa pierwszą turę wyborów do Zgromadzenia Narodowego, ale w dodatku ze zdecydowaną przewagą nad kolejnymi partiami. Na razie jednak trudno powiedzieć, czy RN zdobędzie absolutną większość konieczną do stworzenia rządu – mówi „Tygodnikowi" politolożka Janine Mossuz-Lavau.

Według szacunków dwóch sondażowni, Ipsos i Ifop, w wyniku drugiej tury, która odbędzie się 7 lipca, RN mogłoby uzyskać w parlamencie finalnie od 230 do 280 miejsc, czyli nieco mniej, niż wynosi absolutna większość (289 głosów). Lecz, jak podkreśla Mossuz-Lavau, prognozy te trzeba traktować z wielką ostrożnością. We Francji deputowanych wybiera się w dwóch turach w jednomandatowych okręgach, według ordynacji większościowej. Przy wysokiej frekwencji (teraz wyniosła 68 proc.) ordynacja ta przewiduje, że do drugiej tury może wejść trzech, a niekiedy nawet czterech kandydatów. Wiadomo już, że teraz dojdzie do bardzo rzadkiej sytuacji: aż w ok. 300 okręgach zmierzy się troje kandydatów. To utrudnia przewidywania.

Pytanie, czy przeciwnicy RN połączą teraz siły i w okręgach z trojgiem rywali wycofają słabszego kandydata na rzecz tego, który ma większe szanse pokonać kandydata RN. Do poniedziałku rano Macron nie wypowiedział się w tej kwestii jednoznacznie – wcześniej przestrzegał, że zarówno rządy RN, jak i skrajnej lewicy groziłyby „wojną domową".

Co się stanie, jeśli RN będzie rządzić w warunkach tzw. kohabitacji – gdzie premierem będzie lider RN Jordan Bardella, a prezydentem Macron?

Skutki tego może odczuć nie tylko Francja, ale i Europa. – Jeśli premierem zostanie Bardella, zapewne będzie chciał bezzwłocznie obniżyć składkę Francji do budżetu UE – uważa Mossuz-Lavau. – Poza tym RN nie kryje, że chce zmniejszyć pomoc finansową Francji dla Ukrainy, w tym na wysyłanie jej broni.

Ostateczny werdykt zapadnie więc 7 lipca. Nie brak obaw, że w razie zwycięstwa RN Francji grozi fala protestów ze strony radykalnej lewicy. ©

ADRIAN WYKROTA / UAM

PROF. MARIA BEISERT, SEKSUOLOŻKA:

Zadaniem ofiary jest przeżyć. Każdy sposób, także znieruchomienie, może być skuteczny.

ANNA GOC: Sejm uchwalił nową definicję gwałtu – przestępstwem będzie doprowadzenie do „obcowania płciowego przemocą, groźbą bezprawną, podstępem lub w inny sposób mimo braku zgody". Dlaczego tak ważne jest dodanie „mimo braku zgody"?
PROF. MARIA BEISERT: Osoba może nie zgodzić się na obcowanie płciowe w ogóle, ale może też wyrazić niezgodę na każdym etapie tej czynności. I druga osoba, która jest bardziej aktywna, musi to wziąć pod uwagę.

Załóżmy, że ktoś przyszedł do czyjegoś domu z intencją kontaktu seksualnego – na każdym etapie może jednak zmienić swoją decyzję. Nieuwzględnienie tego przez drugą stronę będzie przestępstwem.

Obecna definicja z 1932 r. brzmi: „kto przemocą, groźbą bezprawną albo podstępem doprowadza inną osobę do poddania się czynowi nierządnemu (...) podlega karze więzienia". Jak zmienia się sytuacja ofiar gwałtu?
Zgodnie z tą definicją wymaga się od ofiary, by przejęła odpowiedzialność za to, że przy napaści seksualnej skutecznie nie przeciwstawiła się sprawcy. Powinna nie tylko umieć się przeciwstawić, lecz także udowodnić, że próbowała i to na wszystkie możliwe sposoby. Co więcej – i to moim zdaniem jest najbardziej kontrowersyjne – ofiara powinna przeciwstawić się sprawcy zgodnie z wyobrażeniem o tym, jak powinna zachować się ofiara.

To znaczy?
Od ofiar gwałtów wymagało się do tej pory czynnej, czyli oznaczającej aktywność fizyczną, a nierzadko agresję, obrony. Inne formy obrony, np. znieruchomienie, czyli tzw. zamrożenie, traktowano jako zgodę na kontakt, co jest oczywiście niezgodne z wiedzą profesjonalną. Zadaniem ofiary jest przeżyć trudną sytuację. Każdy sposób, także znieruchomienie, może być skuteczny.

Podczas debaty w Sejmie Grzegorz Lorek, poseł PiS, stwierdził, że „nowe prawo to czysta demagogia i de facto prezent dla bezwzględnych i mściwych kobiet, które będą mogły używać tego prawa do zaatakowania byłego kochanka".
Tego typu szkodliwe wypowiedzi zdradzają brak wiedzy o przemocy seksualnej. Trudno je komentować, można jedynie prostować. Nowe prawo, jeśli wejdzie w życie, będzie chroniło ofiary, w tym mężczyzn, którzy także są ofiarami gwałtów, choć rzadziej niż kobiety.

Szacuje się, że wciąż wiele gwałtów nie jest zgłaszanych. Dlaczego?
Opowiadanie o tym, co się wydarzyło w czasie napaści, może wiązać się z rewiktymizacją – podwójnym jej przeżyciem. Jeśli dodatkowo ofiara trafi na kogoś, kto zachowa się niewłaściwie – na policji czy w prokuraturze, o czym wiemy, że wciąż się zdarza – załamuje się jej poczucie sprawiedliwości. Skumulowanie tych trudności może być dla ofiary nie do zniesienia. Dlatego trzeba zrobić wszystko, by to ryzyko obniżyć. ©℗

PROF. MARIA BEISERT *jest psycholożką, seksuolożką, prawniczką, prezeską Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego.*

Gry lewicy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

To paradoks, ale posłanka Paulina Matysiak powinna dostać nagrodę za zasługi dla lewicy. Jej zaskakująca deklaracja o stworzeniu wspólnego ruchu społecznego z posłem Marcinem Horałą z PiS była szokiem nie tylko dla kolegów z Klubu Parlamentarnego Lewicy, ale nawet dla macierzystej partii Razem. Akcja poskutkowała postępowaniem dyscyplinarnym, ale miała też ten efekt, że błyskawicznie zamknęła temat wychodzenia Razem z koalicyjnego klubu.

Przedstawiciele partii Razem zaczęli mówić otwarcie o wyjściu z koalicji po fatalnym dla lewicy wyniku wyborów do Parlamentu Europejskiego, ale po akcji Matysiak zamilkli. Po niej wszelkie dążenia separatystyczne partii Razem byłyby interpretowane jako chęć porozumienia się z PiS. Byłoby to niekorzystne nie tylko dla lewicy, ale i dla samej partii Razem.

Oczywiście nie oznacza to, że w zwracaniu uwagi na brak realizacji lewicowych postulatów i zarzutach zbytniej uległości kierownictwa Nowej Lewicy wobec Koalicji Obywatelskiej partia Razem nie ma racji.

Dotąd koalicyjna większość nie zrealizowała właściwie żadnych postulatów lewicy, a dla Razem ważne są zwłaszcza kwestie usług państwa.

Z tego punktu widzenia pomysły takie jak propozycja obniżenia składki zdrowotnej, którą forsuje Trzecia Droga, są nie do przyjęcia. Samo postawienie kwestii dalszej obecności w klubie przez partię Razem pomogło kierownictwu Nowej Lewicy w negocjacjach wewnętrznych, bo Czarzasty z Biedroniem i Gawkowskim mogą teraz powiedzieć Tuskowi, Hołowni i Kosiniakowi-Kamyszowi: „nie możemy za bardzo szaleć z tą składką, bo odejdą posłowie z Razem".

Krytykowana przez działaczy Razem potulność kierownictwa jest w obecnej sytuacji słusznym wyborem. Zapewne Czarzasty nie chce narazić się niczym, co zakwestionowałoby jego prawo do objęcia fotela marszałka Sejmu. To chyba słuszna strategia, bo jego marszałkowanie stworzy dla lewicy szersze polityczne możliwości.

Wszystko wskazuje na to, że niebawem sfinalizowane zostaną prace pod projektem ustawy o związkach partnerskich. Nawet jeśli z powodu stanowiska PSL ustawa nie będzie miała oczekiwanego charakteru, jej uchwalenie będzie pierwszym sukcesem lewicy w tym rządzie. ©℗

NA PUNKTY

SUBWENCJA
Przed wyborami w 2019 r. Jarosław Kaczyński zwrócił się do Zbigniewa Ziobry „o natychmiastowe zakazanie kandydatom Solidarnej Polski korzystania z Funduszu Sprawiedliwości w kampanii wyborczej" – wynika z listu prezesa PiS, ujawnionego przez „Gazetę Wyborczą". Przypomnijmy: jeśli się okaże, że kampania tej formacji była finansowana niezgodnie z przepisami, Państwowa Komisja Wyborcza może odebrać jej subwencję – ponad 25 mln zł rocznie.

IMMUNITET
Fundusz Sprawiedliwości jest w ogóle dość feralny: Sejm uchylił immunitet posłowi PiS Michałowi Wosiowi, a to w związku ze śledztwem prokuratury w sprawie zakupu przez CBA oprogramowania Pegasus właśnie ze środków z Funduszu Sprawiedliwości.

MANDAT
Posłowie uchylili także immunitet prezesa NIK Mariana Banasia, który prowadząc samochód, przekroczył prędkość w terenie zabudowanym o 15 km/h na godzinę. Banaś chciał zapłacić mandat od razu po wykroczeniu, ale konstytucja zakazuje pociągania szefa NIK do odpowiedzialności bez uprzedniej zgody Sejmu. ©℗

Czy Biden powinien ustąpić pola

MARTA ZDZIEBORSKA

Donald Trump wygrał debatę z Joem Bidenem w czwartkowy wieczór 27 czerwca: tak uważa ponad dwie trzecie Amerykanów, którzy oglądali ją w telewizji CNN. Niewiele mniej wątpi w dalszą gotowość Bidena do pełnienia urzędu prezydenta USA.

Trump i Biden zabiegali o głosy tych Amerykanów, którzy nadal się wahają, kogo poprzeć – według sondaży to jedna piąta elektoratu. W dyskusji, zorganizowanej w studiu CNN w Atlancie odpowiadali na pytania dotyczące ważnych kwestii dla kraju. Trump w swoim stylu unikał odpowiedzi na trudne kwestie i kłamał, np. twierdząc, że Biden chce czterokrotnie podwyższyć podatki. Był jednak mniej ofensywny i pilnował się – nie chciał odstraszyć umiarkowanych wyborców. Z kolei 81-letni Biden nie zdołał rozwiać obaw dotyczących jego zdolności do rządzenia: wielokrotnie gubił wątek, mylił się i zacinał. Wykorzystał to o trzy lata młodszy Trump. „Naprawdę nie wiem, co powiedział na końcu zdania. On chyba sam nie wie" – drwił.

„To absolutne upokorzenie dla Ameryki – oceniała debatę w rozmowie z „Tygodnikiem" Mary Vevang Anderson z Minneapolis, stolicy Minnesoty (wcześniej był to jeden z bastionów Partii Demokratycznej, jednak teraz według sondaży pojedynek Bidena i Trumpa może być tu wyrównany). – Byłam zszokowana, patrząc na Bidena: był blady i nieobecny, jakby tracił siły witalne na antenie".

Mary, która kiedyś poparła Trumpa, ale teraz nie chce na niego głosować, liczyła, iż nie będzie zdana na wybór kogoś z tego starego duetu. „Obaj są dla mnie nie do zaakceptowania". – ocenia i deklaruje, że odpuści sobie pójście na wybory.

Kiepskie wystąpienie Bidena podsyciło dywagacje, czy nie powinien zrezygnować z walki o Biały Dom. Otwarcie zaapelował o to do niego następnego dnia po debacie dziennik „The New York Times", sympatyzujący z Demokratami: aby „dla dobra kraju" ustąpił miejsca innemu kandydatowi. O wyborze takiego następcy zdecydowaliby wówczas delegaci Partii Demokratycznej na jej sierpniowej konwencji. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".

FRANCIS CHUNG / POLITICO / AP / EAST NEWS

Dyrektor Caritas został zawieszony

ZUZANNA RADZIK

Musiał się czuć bezkarny po tym, jak mimo poważnych zarzutów mobbingu, Konferencja Episkopatu Polski wybrała go na drugą dyrektorską kadencję. Teraz to się skończyło. 26 czerwca rzecznik episkopatu poinformował, że przewodniczący KEP abp Tadeusz Wojda na wniosek biskupa warszawsko-praskiego Romualda Kamińskiego zawiesił ks. Marcina Iżyckiego w pełnieniu funkcji dyrektora Caritas Polska. Rzecznik prasowy diecezji warszawsko-praskiej dodał później, że zarzuty nie dotyczą działalności w Caritas Polska, a kuria poinformowała kompetentne organy i zapewnia o pełnej współpracy z nimi. Nie będzie jednak komentować szczegółów dla dobra prowadzonego postępowania.

Dyrektorem Caritas Polska ks. Iżycki został przy silnym wsparciu abp. Sławoja Leszka Głodzia w czerwcu 2017 r. Jako nowy dyrektor błyskawicznie rozmontował zespół pracowników. Zwłaszcza ten pracujący przy projektach związanych z uchodźcami. Właściwie stało się to na moich oczach, bo znałam dobrze tamtą ekipę i widziałam, jak niszczeni byli już po miesiącu nowej kadencji.

Potwierdziła to kontrola Państwowej Inspekcji Pracy w Caritas Polska w listopadzie 2017 r., podczas której 75 proc. pracowników oceniło, że doświadczyli traktowania mającego znamiona mobbingu. Wcześniej pracownicy alarmowali o tym abp. Stanisława Gądeckiego i nadzorującego Caritas bp. Wiesława Szlachetkę. W kolejnych latach dawni pracownicy bezskutecznie walczyli o sprawiedliwość. Nie pomogły też materiały śledcze ukazujące się w mediach. Ostatecznie, mimo ciężkich zarzutów, episkopat wybrał ks. Iżyckiego na kolejną kadencję.

Nie wiemy jeszcze, jakie dokładnie zarzuty spowodowały obecne zawieszenie w roli dyrektora. Czymkolwiek się okażą, warto pamiętać o tej żyrowanej przez polski episkopat wieloletniej niezachwianej pozycji dyrektora, który już od dawna nie powinien być na tym stanowisku. ©℗

ZWYKŁA ŚWIĘTOŚĆ

TOMASZ OWCZAREK / RADIO OLSZTYN

Doktor Ola na ołtarze

BYŁEM WTEDY DUMNY, BO MNIE, ZGNIŁEMU RECYDYwiście, ktoś zaufał. Gdy wyszedłem z więzienia, żywiła mnie, dała pierwsze okulary i pieniądze na dowód osobisty, załatwiła pracę" – tak wspominał Aleksandrę Gabrysiak jeden z podopiecznych. Elbląska lekarka, opiekunka ludzi wyrzuconych poza nawias społeczeństwa, ma szansę trafić na ołtarze: bp elbląski Jacek Jezierski ogłosił dekret zawiadamiający o inicjatywie rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego.

Lekarka, znana jako Doktor Ola, urodziła się w 1942 r. Cierpiała na krzywicę, z której powodu przeszła kilka operacji ortopedycznych i przez większość życia poruszała się o kulach. W 1968 r. ukończyła studia medyczne w Gdańsku, pracowała w szpitalnym laboratorium. I rozwijała działalność społeczną: pomagała samotnym matkom, osobom uzależnionym od alkoholu i narkotyków, bezdomnym, byłym więźniom. Prywatny numer udostępniała jako „telefon zaufania". W 1974 r. adoptowała pozostawioną w szpitalu Marię i samotnie ją wychowywała.

Rok później przeniosła się do Elbląga, gdzie poza pracą w szpitalu angażowała się też w poradni trzeźwości i opiece hospicyjnej. Osób uzależnionych szukała na ulicach i w „melinach". W 1993 r. doszło do tragedii. 20-latek, któremu trzy lata wcześniej próbowała pomóc wyjść z alkoholizmu, podczas przepustki z więzienia zamordował Marię, a potem samą Aleksandrę. Został skazany na karę śmierci, zamienioną na dożywocie.

„Życie Aleksandry Gabrysiak jest trudne, dramatyczne. Trzeba lepiej je poznać, by uchwycić działania, motywacje, może jakieś błędy popełnione na tej drodze. Jest to życie inspirowane wiarą i wielką ofiarnością w służbie innym" – ocenia bp Jezierski i zachęca, by do końca lipca dostarczyć do kurii wszelkie świadectwa, listy i pamiątki dotyczące Doktor Oli.

©℗ MACIEJ MÜLLER

24 godziny z życia Polaka

STYL ŻYCIA ▪ Doba nie jest z gumy, ale przeciętne polskie 24 godziny zostały właśnie starannie zmierzone przez rachmistrzów Głównego Urzędu Statystycznego. Powstały obraz polskiej doby nosi usypiający tytuł „Budżet czasu ludności", na szczęście reszta jest ciekawsza i układa się w jedno wielkie potwierdzenie intuicji antropologów i socjologów wobec zmian naszego stylu życia, aspiracji czy priorytetów. Tym łatwiejszych do wychwycenia, że GUS powtórzył to badanie 10 lat po poprzednim.

9 minut
– przeznaczamy na pomoc innym

Na przestrzeni wspomnianej dekady nie zmieniliśmy właściwie cyklu dobowego. Statystycznie nadal śpimy dłużej niż pracujemy, choć nocny wypoczynek skróciliśmy w tym czasie o 4 minuty, a na pracę przeznaczamy o 11 minut więcej – średnio 7 godzin i 38 minut. Zwolennikom 16-godzinnego dnia pracy z pewnością nie przypadnie to jednak do gustu. Podobnie zareagują pewnie akolici „tradycyjnej rodziny", którym może nie spodobać się fakt, że na przestrzeni ostatnich 10 lat czas pracy przeciętnej polskiej kobiety wydłużył się aż o 22 minuty, podczas gdy panowie dołożyli sobie jedynie 10 minut obowiązków zawodowych. Tę różnicę statystyczny polski mężczyzna przeznacza dziś głównie na prace domowe i opiekę nad innymi członkami gospodarstwa domowego: w ciągu dekady aktywność panów na tym polu wzrosła aż o 20 minut. W polskiej definicji męskości najwyraźniej mieści się już gotowanie (wzrost aż o 9 minut) i opieka nad dziećmi (o 2 minuty dłużej), nie mieści się natomiast sprzątanie, na którym statystycznemu Polakowi zeszło w 2023 r. o 2 minuty krócej niż dekadę wcześniej. Na usprawiedliwienie panowie mogą mieć jedynie to, że średnio o minutę skróciły też czas przeznaczany na porządki domowe ich partnerki. Statystyczna polska rodzina Anno Domini 2023 albo sprząta dom sprawniej – choćby korzystając z robotów sprzątających – albo po prostu przywiązuje do tego mniej uwagi.

26 minut
– spędzamy na zakupach

Jeśli prawdziwe jest drugie wyjaśnienie, można je powiązać z kolejną wyraźną zmianą, jaką pokazuje badanie GUS. Coraz mniej czasu przeznaczamy na życie towarzyskie. Przeciętna kobieta w ciągu ostatnich 10 lat skróciła tego typu aktywności o 11 minut. Mężczyzna aż o 13. Chętniej paramy się za to sportem, bo panowie wydłużyli takie aktywności o 5 minut, panie zaś o minutę. Bez względu na płeć, coraz rzadziej angażujemy się natomiast w praktyki religijne: tu w ciągu dekady nastąpił średni spadek aktywności o 2 minuty.

19 minut
– czytamy

Wyniki badania wskazują również na zmianę polskich zwyczajów higienicznych. W 2013 r. na mycie się i ubieranie poświęcaliśmy w ciągu doby statystycznie 57 minut. W zeszłym roku – już godzinę (pytanie, ile z tych trzech dodatkowych minut poszło na higienę, a ile na dobór garderoby). Panie wydłużyły potrzebny na to czas o 4 minuty, panowie o 3. Znacząco – bo aż o 12 minut – skrócił się za to czas poświęcany na naukę, co jednak świadczy nie tyle o odwrocie od edukacji, ile o starzeniu się społeczeństwa. Uczniowie w wieku 15-19 lat na naukę poświęcali w 2023 r. średnio 6 godzin 49 minut, o 35 minut więcej niż w 2013 r.

©℗ MAREK RABIJ

Stołeczne muzeum na liście najpiękniejszych

ARCHITEKTURA ▪ Jury konkursu Prix Versailles umieściło Muzeum Historii Polski na liście najpiękniejszych budynków muzealnych. Nagroda przyznawana jest od 2015 r. obiektom uznanym za innowacyjne, spełniającym wymogi ekologii, a jednocześnie związanym z lokalnym dziedzictwem. W jury nagrody są m.in. wybitni architekci Jean Nouvel i Renzo Piano, projektantka mody Iris van Herpen, znani szefowie kuchni Massimiliano Alajmo i Elena Arzak oraz laureaci ekonomicznego Nobla: Eric Maskin, Edmund Phelps i Christopher Pissarides. To sprawia, że Prix Versailles różni się od większości podobnych nagród architektonicznych.

RAFAŁ CHMIELEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE MHP

Budynek Muzeum Historii Polski

Warszawskie muzeum – pierwszy polski budynek wyróżniony od początku istnienia Prix Versailles – znalazło się w bardzo dobrym gronie. Poza nim doceniono m.in., zaprojektowane przez australijskie biuro Cox Architecture, Oman Across Ages Museum w Manah oraz Wielkie Muzeum Egipskie w Gizie, autorstwa irlandzkiego biura Heneghan Peng Architects, którego otwarcie jest jednym z największych wydarzeń obecnej dekady.

Muzeum Historii Polski jest największą i najdroższą muzealną inwestycją w III RP: łącznie z ekspozycją stałą, której otwarcie zaplanowano na 2026 r., ma kosztować aż 1,3 mld zł. Jego twórcy – biuro WXCA – zaprojektowali monumentalny, surowy gmach o fasadzie obłożonej płytami z marmuru portugalskiego, w których pojawiają się motywy zaczerpnięte z polskiej historii: od Drzwi Gnieźnieńskich, gotyckiego sklepienia kryształowego, dekoracji z Kaplicy Zygmuntowskiej, po słynny pawilon polski z paryskiej Wystawy Światowej w 1925 r. i katowicki Spodek.

Otrzymanie tego wyróżnienia to duży sukces twórców stołecznego muzeum. A jednocześnie oddanie do użytku tego gmachu jest symbolicznym końcem pewnej dekady monumentalnych muzealnych brył, nie tylko planowanych z rozmachem, ale epatujących wręcz użytymi do ich wzniesienia drogimi materiałami. Od kilku lat w projektach, nie tylko muzealnych, zapanował umiar, a ich projektanci dostosowują się do zachodzących zmian, przede wszystkim tych związanych z klimatem. © PIOTR KOSIEWSKI

Tajemniczy świadek z kosmosu

NAUKA I MY ▪ Teleskop neutrinowy ARCA znajdujący się na dnie Morza Śródziemnego najprawdopodobniej wykrył neutrino o rekordowo wysokiej energii, szacowanej na dziesiątki biliardów elektronowoltów. ARCA to niewielkie obserwatorium – pracujący na Uniwersytecie Wisconsin-Madison fizyk Francis Halzen porównał odkrycie do wyciągnięcia szczęśliwego losu na loterii.

Neutrino jest cząstką elementarną, która zawdzięcza swoją nazwę małemu rozmiarowi i zerowemu ładunkowi elektrycznemu. Choć nie znamy jej dokładnej masy, wiadomo, że w porównaniu z innymi cząstkami elementarnymi jest bardzo lekka. Dzięki tym własnościom zazwyczaj przenika przez materię bez wchodzenia z nią w oddziaływania. Co za tym idzie, detekcja neutrin to wielkie wyzwanie, mimo że są wszechobecne. Liczba neutrin, które przepłynęły przez ciało czytelnika od początku lektury tego tekstu, jest rzędu biliardów. Ta liczba uwzględnia zresztą tylko neutrina pochodzące z rozpadów promieniotwórczych zachodzących wewnątrz Słońca (energia tych neutrin nie przekracza miliona elektronowoltów), a to niejedyne kosmiczne źródło tych cząstek.

Neutrino wydaje się nieuchwytne, ale można pośrednio wykryć jego obecność, gdy dojdzie do zderzenia z jądrem atomowym. Prawdopodobieństwo takiej kolizji jest bardzo małe; jeżeli jednak ona nastąpi, jądro rozpadnie się, a powstałe cząstki mogą zderzać się z kolejnymi atomami. Skutkiem takich zderzeń może być emisja promieniowania elektromagnetycznego, wykrywanego przez detektory.

Badacze związani z ARCA donieśli o odkryciu na konferencji. Na razie nie zdradzili, z jakiego regionu nieba przybyła cząstka ani kiedy ją zaobserwowano – a to pomoże ustalić, jakie kosmiczne zdarzenie odpowiada za powstanie tak nietypowej cząstki. Biorąc pod uwagę energię neutrina, prawdopodobnie było to coś spektakularnego. Ze względu na obawy przed konkurencyjnymi zespołami, te informacje autorzy odkrycia zamierzają podać dopiero, gdy raport z ich badań będzie gotowy do publikacji. © MARTA LOTKA

TEMAT TYGODNIKA

CO SIEĆ ROBI NASZYM DZIECIOM

Potężny kryzys zdrowia psychicznego wśród dzieci i młodzieży jest faktem. Nie ma jednoznacznych naukowych dowodów, że winne temu są media społecznościowe. Ale przesłanki są wyjątkowo mocne. Co naprawdę wiemy o ich wpływie na najmłodsze pokolenie?

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

DAISY DAISY / SHUTTERSTOCK

Naczelny lekarz Stanów Zjednoczonych, Vivek Murthy, chce, by media społecznościowe miały ostrzeżenia o szkodliwości dla zdrowia nieletnich podobne do tych, jakie umieszczane są na papierosach. Powołuje się przy tym na dane o rosnącej liczbie przypadków depresji, zaburzeń lękowych i problemach z samooceną wśród młodzieży, która coraz więcej czasu spędza w sieci.

Tylko czy ta diagnoza jest słuszna? Urodzone po 1995 r. pokolenia Z i Alfa w zasadzie nie znają świata, w którym nie ma internetu. Nie można powiedzieć o nich, że spędzają coraz więcej czasu w sieci, bo na różne sposoby są one online w zasadzie bez przerwy. Możliwe więc, że proponowana przez Murthy'ego metoda „leczenia" okazałaby się równie skuteczna, co stosowanie cebuli, upuszczania krwi i egzorcyzmów na zapalenie płuc.

Epidemia i smartfony

Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z silnym „stanem zapalnym". Depresja jest drugą najczęściej występującą chorobą na świecie i – jak wynika z danych Światowej Organizacji Zdrowia – do końca tej dekady zajmie miejsce pierwsze. Problem dotyczy ludzi ze wszystkich grup wiekowych, ale coraz częściej zmagają się z nim osoby młode i bardzo młode. Na depresję cierpi około 1,5 mln Polaków, w tym 2 proc. dzieci w wieku od 6 do 12 lat i aż 20 proc. w grupie młodzieńczej. I to właśnie wśród młodych wyjątkowo szybko w ostatnich latach rosła liczba prób samobójczych – w każdej 28-osobowej klasie średnio dwóch uczniów podjęło taką próbę.

Czy media społecznościowe mają z tym coś wspólnego? Vivek Murthy twierdzi, że tak. W eseju dla „The New York Timesa" napisał: „Nastolatki, które spędzają więcej niż trzy godziny dziennie

w mediach społecznościowych, są narażone na dwukrotnie większe ryzyko objawów lęku i depresji, a średnio codziennie ta grupa wiekowa spędza tam, według stanu z lata 2023 r., 4,8 godziny".

Tyle że istnieją setki, jeśli nie tysiące badań, z których płyną inne wnioski. W przeciwieństwie do palenia papierosów, które wywołuje rozliczne rodzaje nowotworów, twardych naukowych dowodów na to, że użytkowanie TikToka czy Instagrama prowadzi do depresji, po prostu nie ma. Nie doszukała się ich m.in. komisja amerykańskich Narodowych Akademii Nauk, która miała szukać właśnie takich związków. Jakiś czas temu szerokim echem odbiła się opublikowana przez magazyn „Nature" metaanaliza (czyli badanie badań), z której wynikało, że wpływ technologii cyfrowych na dobrostan osób młodych był „negatywny, ale niewielki" – „wynosił co najwyżej 0,4 proc. zróżnicowania dobrostanu". Natychmiast pojawiły się głosy, że zastosowana w tej metaanalizie metodologia poskutkowała „niedoszacowaniem" problemu, ale krytykowani autorzy odpowiedzieli kolejnymi badaniami, które potwierdziły ich wcześniejsze wyniki.

Jednakże choć twardych dowodów nie ma, to są poszlaki. I to wyjątkowo mocne. Wzrost liczby odnotowywanych przypadków depresji nastąpił niemal równolegle ze wzrostem liczby użytkowników smartfonów. Z badania przeprowadzonego wśród ponad pół miliona amerykańskich uczniów w wieku 13-18 lat wynika, że między 2010 a 2016 rokiem liczba osób wykazujących wysoki poziom objawów depresyjnych wzrosła o 33 proc., liczba osób z epizodem depresyjnym zwiększyła się o 60 proc., a wskaźnik samobójstw wśród dziewcząt był wyższy o 65 proc. ↦

↦ Smartfony pojawiły się w 2007 r., do 2016 r. miało je blisko 90 proc. nastolatków w USA. Mniej więcej w tym samym czasie podobnie było w Wielkiej Brytanii, Kanadzie czy krajach skandynawskich. I wszędzie okazywało się, że pokolenie Z cierpi na zaburzenia lękowe, depresję oraz samookalecza się w skali większej niż jakiekolwiek inne pokolenie, o którym istniały tego typu dane.

Prof. Jean Twenge, psycholożka z Uniwersytetu Stanowego San Diego, autorka książki „iGen" twierdzi, że wzrost liczby osób z objawami depresji korelował z roku na rok ze wzrostem liczby smartfonów. Tyle że nawet ona przyznaje, iż nie jest jasne, czy zwiększająca się liczba godzin spędzanych w sieci to przyczyna depresji, czy raczej jej skutek. W tym kontekście warto zwrócić uwagę, że w większości badań porównuje się czas spędzony w internecie albo mediach społecznościowych z odczuciami dotyczącymi zdrowia psychicznego. A to nie odpowiada na pytanie, czy problemem rzeczywiście jest czas w sieci, czy może to, że nastolatki nie spędzają go na bezpośrednich relacjach z innymi albo na ćwiczeniach bądź spaniu. Albo czy nie uciekają w świat online, by tam szukać wsparcia w rozwiązywaniu swoich problemów.

Nie czytaj, bo ci zaszkodzi

Możliwe, że pierwszym badaczem, który wszczął alarm w związku z przeciążeniem informacyjnym, był szwajcarski naukowiec Conrad Gessner. W swojej książce opisywał, jak świat przytłacza ludzi danymi, a ten nadmiar jest zarówno „dezorientujący, jak i szkodliwy". Gessner nigdy nie zalogował się na żadnym portalu społecznościowym ani nawet nie korzystał z komputera. Nie dlatego, że był technofobem, lecz dlatego że zmarł w 1565 r. Jego ostrzeżenia odnosiły się do zalewu informacji po wynalezieniu prasy drukarskiej.

James Gleick w książce „The Information: A History, A Theory, A Flood" pisze o podobnych obawach m.in. Gottfrieda Leibniza alarmującego, że „straszliwa liczba ksiąg" przyczyni się do powrotu barbarzyństwa, czy T.S. Eliota, który obserwując rozkwit prasy drukowanej, pytał: „Gdzie jest mądrość, którą utraciliśmy w wiedzy? Gdzie jest wiedza, którą utraciliśmy w informacji?".

Możliwe, że obawy związane z nadmiarem informacji są tak stare jak sama informacja i sięgają czasów, gdy upowszechniała się umiejętność czytania i pisania (już w platońskim „Fajdrosie" Sokrates przestrzega, że mogą one powodować „zapomnienie w duszach uczniów, ponieważ nie będą oni korzystać ze swych wspomnień").

Czy zatem nasze obawy rzeczywiście tak mocno różnią się od tych z przeszłości? Firma badawcza International Data Corporation wyliczyła, że obecnie każdy człowiek na świecie generuje średnio 1,9 GB danych dziennie, a w tym czasie dociera do niego do 100 GB. To więcej niż 500 lat temu docierało do dobrze wykształconej osoby przez całe życie.

– W historii często narzekano na nadmiar bodźców, podobnie jak na brak czasu. Może to element natury ludzkiej, że zawsze nam się wydaje, iż kiedyś bodźców było mniej? – zastanawia się w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Dariusz Jemielniak z Akademii Leona Koźmińskiego, wiceprezes Polskiej Akademii Nauk, kierownik Katedry Management in Networked and Digital Societies, obecnie pracujący w Berkman-Klein Center for Internet and Society na Uniwersytecie Harvarda. Jego zdaniem dziś otacza nas nie tylko wiele bodźców, ale też jesteśmy nimi atakowani w krótkich interwałach lub jednocześnie. – Biorąc pod uwagę, że multitasking nie istnieje, a jest tylko błyskawiczne przełączanie się między kontekstami, natłok informacji powoduje przeładowanie kognitywne – dodaje prof. Jemielniak.

Śmieciowe informacje

– Problemem jest nie tylko ilość, ale również jakość informacji – mówi nam prof. Janusz Hołyst z Politechniki Warszawskiej, który kieruje międzynarodowym projektem OMINO – Overcoming Multilevel Information Overload [Pokonywanie wielopoziomowego przeładowania informacyjnego]. – Jako dziecko uczyłem się o sukcesach naszej socjalistycznej ojczyzny, czego symbolami miały być dymiące kominy fabryk. Potrzebowaliśmy kilkudziesięciu lat, by zrozumieć, że poza profitami dla gospodarki powodują one też ogromne problemy dla zdrowia i środowiska naturalnego. Dziś każdy wie, jakie zagrożenia niesie smog. Podobnie mamy świadomość zagrożeń związanych z wysoko przetworzoną żywnością z fast foodów. Dokładnie w ten sam sposób powinna wzrosnąć świadomość dotycząca tanich informacji, które dziś łatwo produkować, a są szkodliwe jak śmieciowa żywność czy dym z kominów.

Sytuację, w której znajdują się współczesne nastolatki – ale nie tylko one, bo podobny problem dotyczy w zasadzie każdego – profesor porównuje do hakerskiego ataku DDoS, który polega na przesyłaniu do serwera ogromnej ilości komunikatów tak, by przeciążyć jego możliwości przetwarzania danych. – Serwer czy człowiek pod naciskiem zbyt wielkiej ilości informacji w pewnym momencie przestaje prawidłowo działać – mówi prof. Hołyst.

Jakie są konsekwencje takiego informacyjnego „przejedzenia"? Kiedy otrzymujemy zbyt wiele informacji na jakiś temat, a nie mamy narzędzi do odfiltrowania tego, co zbędne, decyzje podejmujemy wolniej lub nie podejmujemy ich wcale. Podobnie dzieje się, gdy docierają do nas informacje na tematy zupełnie niezwiązane z podejmowaną decyzją, na przykład gdy otrzymujemy telefony z infolinii albo powiadomienia push z komunikatorów czy skrzynki mailowej.

Termin „przeciążenie informacjami" pojawił się w publikacjach naukowych w 1962 r., ale upowszechnił go Alvin Toffler w głośnej książce „Szok przyszłości" (1970 r.), w której opisywał „wyczerpanie zarówno fizyczne, jak i psychiczne, spowodowane przeciążeniem fizycznych mechanizmów adaptacyjnych w organizmie człowieka, jak również mechanizmów podejmowania decyzji". Jedne z pierwszych badań klinicznych dotyczących tego zjawiska pojawiły się 20 lat temu, a przeprowadził je dr Glenn Wilson, psychiatra z King's College London. Ustalił on, że wysiłek związany z koniecznością analizowania napływających stale maili, telefonów i innych komunikatów sprawia, że IQ przytłoczonych ilością informacji pracowników spada o 10 punktów. To mniej więcej tyle, co po nieprzespanej nocy albo ponad dwa razy więcej niż po wypaleniu jointa marihuany.

– Obecnie straty dla amerykańskiej gospodarki wynikające z przeładowania informacyjnego pracowników szacowane są na 1000 mld dolarów rocznie – mówi prof. Hołyst. A to może być zaledwie wierzchołek kosztów, bo „śmie-

YURI A / SHUTTERSTOCK

54,5 proc.

nastolatków miało kontakt z niebezpiecznymi treściami w internecie. Wśród nich:

31,8 PROC. widziało prawdziwe sceny przemocy

26,1 PROC. doświadczyło treści dotyczących sposobów samookaleczania

25,2 PROC. zetknęło się z pornografią

19 PROC. spotkało się z treściami propagującymi zaburzenia odżywiania

16 PROC. poznało sposoby na popełnienie samobójstwa.

ŹRÓDŁO: FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

ciowe informacje" są tym szkodliwsze, im do młodszych użytkowników trafiają.

Dla dziewczyn samookaleczenia, dla chłopaków porno

14-letnia Luna Dreamer widziała już wiele. Jej konto na TikToku jest regularnie bombardowane treściami, od których nawet starszym użytkownikom zjeżyłby się włos na głowie. – Jest dużo przemocy, zwykle między nastolatkami, ale pojawia się też znęcanie nad zwierzętami czy nękanie dzieci przez rodziców, często pod postacią pranków [dosł. „psikus", „wkręcanie", rejestrowane i publikowane w sieci], które mają być zabawne, a wyrządzają krzywdę – mówi właścicielka konta.

Luna ma szczęście, bo to, co widzi w mediach społecznościowych, nie wpłynie na jej dorastanie. 14-latka nie istnieje. To fałszywa tożsamość, którą do monitorowania treści docierających do młodzieży stworzyła Ewa Domańska, ekspertka działu profilaktyki cyberzagrożeń NASK. – Co trzeci nastolatek posiada od pięciu do ośmiu kont w mediach społecznościowych i spędza w nich średnio cztery godziny dziennie – mówi badaczka. Jej zdaniem, choć przemoc to ogromny problem w sieci, zaraz za nią plasują się wypaczone kształtowanie obrazu samego siebie i inne szkodliwe treści.

To, co mówi Domańska, odzwierciedlają dane. Z raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę wynika, że ponad połowa nastolatków (54,5 proc.) miała kontakt z niebezpiecznymi treściami w internecie: niemal co trzeci (31,8 proc.) widział prawdziwe sceny przemocy, co czwarty – treści dotyczące sposobów samookaleczania (26,1 proc.), materiały pornograficzne (25,2 proc.) lub zachęcające do obrażania innych czy dyskryminujące (23,9 proc.). 19 proc. spotkało się z treściami propagującymi zaburzenia odżywiania, a blisko 16 proc. z prezentującymi sposoby na popełnienie samobójstwa.

Warto zwrócić uwagę na różnice między tym, co widzą dziewczęta i chłopcy. Co trzecia nastolatka miała kontakt z treściami związanymi z samookaleczaniem się (35,9 proc.), w przypadku chłopców – co siódmy (14,0 proc.); co piąta (21,5 proc.) z materiałami na temat popełniania samobójstwa, wśród chłopców – co dwunasty (8,7 proc). W przypadku treści propagujących zaburzenia odżywiania – kontakt z nimi miało 29,4 proc. dziewcząt i 6,2 proc. chłopców. Chłopcy natomiast częściej niż dziewczęta mieli kontakt z pornografią (31,8 proc. vs 19,8 proc.), a także ponad połowa z nich deklaruje, że nie widziała żadnych niebezpiecznych treści w internecie (52,1 proc).

Polskie nastolatki w zasadzie nie różnią się w tej materii od rówieśników z innych państw – szacuje się, że średnio 65 proc. osób w wieku od 12 do 18 lat miało kontakt z nieodpowiednimi treściami. Instytut Alana Turinga prawdopodobieństwo, że młodzi natkną się na takie treści, szacuje na 90 proc.

Działka dopaminy

Jak te nieodpowiednie treści oddziałują na młodych? – To tak, jak z używkami. Kluczowy jest wiek, w którym uzyskuje się do nich dostęp. Jeśli do problematycznych treści w sieci docierają licealiści, to długoterminowe szkody będą zapewne niewielkie. Gorzej, gdy są to dzieci na wcześniejszym etapie rozwoju – mówi nam Aleksandra Denst-Sadura, certyfikowana psychoterapeutka psychoanalityczna związana z Polskim Towarzystwem Psychoterapii Psychoanalitycznej. Jej zdaniem kontakt z niedostosowanymi do wieku treściami, które przebodźcowują dziecięce mózgi, „skutkuje później kruchością psychiczną osób wchodzących w okres dojrzewania", a to z kolei może powodować załamania czy depresje.

„Każde powiadomienie, polubienie czy prośba o obserwację dostarcza mały zastrzyk dopaminy. A to uzależnia, ale nie satysfakcjonuje" – twierdzi dr Jerry Bubrick z kalifornijskiego Child Mind Institute. I media społecznościowe żyją z treści, które mają dostarczać jak najwięcej takich bodźców. Ich model biznesowy polega na nakłanianiu użytkowników, by spędzali w nich jak najwięcej czasu, bo dzięki temu można im pokazać więcej reklam. Frances Haugen, była menadżerka Facebooka, w 2021 r. ujawniła wewnętrzne badania tej firmy dowodzące, że algorytmy kierujące doborem treści w pierwszej kolejności miały pokazywać to, co prowokuje najsilniejsze reakcje emocjonalne: złość, zazdrość czy strach, a szefowie firmy doskonale wiedzieli, że powoduje to negatywne efekty wśród użytkowników, przede wszystkich młodych.

– Architektura rekomendacji na platformach mediów społecznościowych ↦

↦ ma tendencję do dostarczania coraz więcej tego, co użytkownik już wcześniej widział. Tymczasem, żeby uzyskać zróżnicowaną dietę informacyjną, trzeba sięgać po wszystko, od krytycznego myślenia po konfrontacje z wieloma różnymi źródłami – mówi nam prof. Vincent Hendricks, dyrektor Ośrodka Badania Baniek Informacyjnych Uniwersytetu Kopenhaskiego. Dzieci zwykle takich kompetencji nie mają. – Jeśli do tego mają złe relacje w domu lub z innych powodów dorastają w trudnym środowisku, to siłą rzeczy mogą się bardziej otwierać na treści, które destabilizują ich stan psychiczny – wyjaśnia Aleksandra Denst-Sadura.

Wychowane przez Google

Emma ma cztery lata, ale w sieci pojawiła się, gdy jej rodzice wrzucili na Instagram jej pierwsze zdjęcie z USG. Wózek dziewczynki kosztował 2000 euro. Później były wycieczki do parków i muzeów, kursy angielskiego i karate. Rodzice obsypali Emmę miłością i prezentami. A czego ją nauczyli?

Dzieci takie jak Emma opisuje w książce „Pokolenie niezdolne do życia: jak odbieramy dzieciom przyszłość" dr Rüdiger Maas, psycholog i filozof, założyciel Instytutu Badań Pokoleniowych w Augsburgu. Z danych, które przytacza o niemieckim pokoleniu Alfa (urodzone po 2010 r.), a które jest pierwszym pokoleniem cyfrowych tubylców, wynika, że to najbardziej nieszczęśliwe dzieci od lat 60., czyli od początku badań nad poziomem szczęścia wśród nieletnich. To nie koniec: co czwarta Alfa ma trudności z nawiązywaniem przyjaźni i tyle samo zgłasza objawy depresyjne.

Interdyscyplinarny zespół badawczy, którym kierował Maas, ustalił, że Alfy zmagają się z tymi trudnościami przez nadopiekuńczych rodziców. Ci bezustannie próbują uszczęśliwiać swoje pociechy, nie dając im szans na samodzielne odkrywanie szczęścia. „Podobnie jest z wyobraźnią – zamiast pozwolić dzieciom na samodzielność, są one na najróżniejsze sposoby zajmowane i zabawiane. A to nuda rozwija wyobraźnię" – mówił Mass w niedawnym wywiadzie dla magazynu Focus, dodając: „To tak, jakbyś był przy bufecie wypełnionym tylko twoimi ulubionymi daniami. Bez względu na to, co weźmiesz, nie będziesz zadowolony z wyboru, a wszystkiego zjeść nie możesz". I to ta obfitość możliwości unieszczęśliwia. A dzieci nadopiekuńczych rodziców zaczynają zmagać się z podobnymi dysfunkcjami, jak dzieci zaniedbane.

„Zaczyna się od malucha: małe dziecko może samo sobie podmuchać na gorącą zupę i może się nauczyć ubierać. Wielu rodziców nie ma na to jednak cierpliwości, a innym po prostu brakuje czasu, bo muszą pracować" – wyjaśniał Maas. Dorośli są nie tylko pod presją ekonomiczną czy społeczną, ale też zmagają się z niepewnością. I tu znów wkracza internet: około 90 proc. rodziców, mając rozterki wychowawcze, odpowiedzi szuka w Google, choć wie, że nie wszystko, co znajdzie w sieci, jest prawdą. To prowadzi do jeszcze większej niepewności i nadopiekuńczości, która ma zrekompensować ewentualne błędy. Do tego – jak zauważa Maas – rodzice dopytują pociechy, co chciałyby robić, jeść czy gdzie jechać na wakacje. „Dyskutują z nimi, jak z dorosłym, a to często przytłacza dzieci. A ich uczuć czy rzeczywistych potrzeb rodzice prawie nie zauważają".

Z badania zespołu Maasa wynika, że w tej sytuacji internet – będący dla pokolenia Alfa środowiskiem naturalnym – zaczyna dawać dzieciom poczucie bezpieczeństwa i pewności siebie. „[W sieci] konfrontują się z najróżniejszymi rzeczami, nie potrzeba wiele wyobraźni, by domyślić się, z jakimi. I to wszystko w zasadzie bez interwencji dorosłych, podczas gdy w analogowym świecie są one często nadmiernie chronione i stają się coraz bardziej niepewne siebie" – twierdzi badacz.

Bezpieczny czy nie?

Wnioski, do których doszedł jego zespół, w pewnym sensie pokrywają się z wynikami badań, w których o opinie na temat internetu i mediów społecznościowych pytano dzieci i młodzież. Na przykład z zeszłorocznej ankiety Pew Research Center wynika, iż 38 proc. badanych zgłaszało, że czują się przytłoczeni treściami, które oglądają, a blisko troje

na dziesięcioro (29 proc.) twierdziło, że czuje presję, by publikować treści, które dostaną wiele komentarzy lub polubień.

Tyle że jednocześnie aż 80 proc. deklarowało, że dzięki mediom społecznościowym czują się włączeni w życie znajomych, 58 proc. stwierdziło, że dzięki nim czują się bardziej akceptowani, a 67 proc., że w sieci znajdują wsparcie w trudnych chwilach. Czy tę młodzież należy przekonać, że media społecznościowe są szkodliwe jak papierosy?

Nie tylko dlatego realizacja pomysłu naczelnego lekarza Stanów Zjednoczonych może być bardzo trudna. Przede wszystkim wprowadzenie jej w życie poprzedziłaby batalia o to, które media społecznościowe i w jakim stopniu szkodzą. Dobrym przykładem skali wyzwania jest YouTube, najpopularniejszy serwis wśród nastolatków (w ankiecie dla Pew Research Center korzystanie z niego zadeklarowało 95 proc., a blisko 20 proc. twierdzi, że robi to „prawie bez przerwy"). Przez wielu badaczy YouTube uznawany jest za mniej szkodliwy od innych, bo młodzi zwykle korzystają z niego pasywnie i w zasadzie nie wchodzą w interakcje z innymi. Z drugiej strony, serwis oferuje w zasadzie niekończące się przewijanie i algorytmiczne rekomendacje, czyli mechanizmy uważane za szkodliwe, zwłaszcza dla młodych umysłów. Jak więc miałby być sklasyfikowany – jako bezpieczny czy nie?

To nie koniec. „W przeciwieństwie do telewizji czy filmów, nie można z wyprzedzeniem stwierdzić, co dzieci zobaczą w mediach społecznościowych. Czasem to będzie farbowanie włosów lub filmy taneczne, ale czasami to treści dotyczące białej supremacji lub zaburzeń odżywiania" – mówiła „New York Timesowi" Amanda Lenhart, szefowa badań w Common Sense Media. To sprawia, że „nie możemy powiedzieć: nie wchodź na serwis X, Y jest w porządku, ale od Z trzymaj się z daleka".

Potężny kryzys zdrowia psychicznego wśród dzieci i młodzieży jest faktem. Choć występują silne korelacje, to jednak nie ma jednoznacznych, naukowych dowodów, że winne temu są media społecznościowe. „Jedną z najgorszych rzeczy dla rodzica jest świadomość, że jego dziecko jest w niebezpieczeństwie, ale nie jest w stanie nic z tym zrobić" – napisał w swoim eseju Vivek Murthy podkreślając, że w szkole medycznej nauczył się, że „w nagłych wypadkach nie masz luksusu czekania na doskonałe informacje. Oceniasz dostępne fakty, używasz najlepszego osądu i działasz szybko". Jeśli kierując się tymi zasadami, postawił słuszną diagnozę, możliwe, że uda mu się zaoszczędzić wiele cierpienia. Ale jakie będą konsekwencje, jeśli się myli?

To dlatego tak ważne są dalsze badania nad wpływem social mediów na dzieci i młodzież. Ale też wzięcie odpowiedzialności za problem przez państwa i same platformy społecznościowe, dziś skoncentrowane tylko na własnych zyskach. Tymczasem użytkownicy też nie są bezradni i mogą podejmować środki zaradcze bez całkowitego odstawiania mediów społecznościowych. Amerykański Departament Zdrowia zaleca młodym ludziom m.in. uważny dobór treści, które publikują, i zwracanie się o pomoc do przyjaciół czy rodziny w razie pojawienia się niebezpiecznych sytuacji. Rodzicom zaś – tworzenie „rodzinnych planów medialnych", które wyznaczają granice korzystania z gadżetów w domu oraz tworzenie „stref wolnych od technologii", które pomagają dzieciom i nastolatkom nawiązywać prawdziwe przyjaźnie z rówieśnikami.

©℗ AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Spośród dzieci i młodzieży

38 PROC. zgłasza, że czują się przytłoczeni treściami, które oglądają

29 PROC. czuje presję, żeby publikować treści, które dostaną wiele polubień.

80 PROC. deklaruje, że dzięki mediom społecznościowym czują się włączeni w życie znajomych

67 PROC. znajduje w sieci wsparcie w trudnych chwilach.

ŹRÓDŁO: PEW RESEARCH CENTER

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Godność na ochotnika

Bożydar, Hilary, Joszko, Oktawiusz, Zawisza – każde z tych imion zostało nadane dokładnie dwóm chłopcom urodzonym w ubiegłym roku w naszym kraju. Ze względu na ograniczenia związane z RODO, Ministerstwo Cyfryzacji nie podaje godności występujących tylko raz. Kto znalazł się na szczycie listy? Nikodem – takie miano osobiste zyskały aż 6532 noworodki. Tradycyjny Jan wieńczy podium (5638) i najwyraźniej w modzie jest hebrajski Natan (1065).

Gdybym – nie zważając na konsekwencje dla dzieci, które zazwyczaj nie chcą się wyróżniać – pragnęła nadać męskiemu potomkowi oryginalne hebrajskie imię, spojrzałabym wpierw na listę, gdzie figurują wodzowie plemion Izraela. Lista owa pojawiła się w każdym z trzech ostatnich tygodniowych czytań z Pięcioksięgu. W pierwszym naczelnicy pomagali Mojżeszowi i Aaronowi przy spisie na wpół powszechnym, bo dotyczącym tylko mężczyzn (zob. Lb 1, 4-16). W drugim przynieśli oni dary ofiarne po ukończeniu budowy Przybytku (zob. Lb 7, 12-83). Natomiast z ubiegłotygodniowego fragmentu czytelnicy dowiedzieli się o szyku chorągwi podczas marszu po pustyni i o osobach nimi dowodzących (zob. Lb 10, 14-27). Za każdym razem padła jakaś forma słowa nasi [czyt. nas-i], oznaczającego po hebrajsku przede wszystkim księcia, także przywódcę najwyższego szczebla, a współcześnie również prezydenta.

W bieżącym czytaniu znów odnajdujemy słowo nasi. Najwyższy poleca Mojżeszowi wysłać wywiadowców do Ziemi Obiecanej: „Poślij ludzi, aby zbadali kraj Kanaan, który chcę dać synom Izraela. Wyślecie po jednym z każdego pokolenia ich przodków, tych wszystkich, którzy są w nich książętami” (Lb 13, 2; Biblia Tysiąclecia). Rabin Izaak Cylkow tak oddaje koniec tego wersu: „wszystkich z dostojniejszych [hebr. nasi] między nimi”. Przyjrzyjmy się następującej po tym liście (zob. Lb 13, 2-15). To nie są te same imiona, powtórzone uprzednio w Księdze Liczb po trzykroć! Co się stało? W annałach nie została odnotowana żadna nagła wymiana wierchuszki, poza tym pełnienie funkcji dowódczych wiązało się z przywilejami wynikającymi z urodzenia. Komentarz, który mnie ujął: [nasi gramatycznie pochodzi od niesienia / wyniesienia / uniesienia] weź, Mojżeszu, wszystkich ochotników [„których poniosło serce, by pójść do Izraela”] i wybierz spośród nich najodpowiedniejszego z każdego plemienia. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Demon pośpiechu

Homilia powinna trwać góra osiem minut, znowu przypomniał papież Franciszek. Język plastyczny i nie więcej, jak jeden obraz, czyli to, co w kaznodziejskim języku nazywa się przykładem.

Na tygodnikowej ambonie mamy troje kaznodziejów i w tych ośmiu minutach z powodzeniem się mieścimy. Wygląda na to, że w reformowaniu posługi słowa Bożego jesteśmy dalej niż papież, jako że tę posługę sprawujemy synodalne i międzyreligijnie. A że to działa, przekonałem się nie dalej, jak 12 czerwca w pociągu z Gdyni do Jastrzębiej Góry. Było tak: siedzący obok mnie młody Azjata, gdy pociąg mijał Puck, łamaną angielszczyzną zapytał, czy to jest morze? Tak, morze. A jak daleko jeszcze do... i klops, nijak nie mógł wymówić nazwy miejscowości, do której zmierzał. Na bilecie stało, że jedzie do Władysławowa, więc wszystko w porządku, za dobry kwadrans będzie u celu. Na co podróżny, coraz bardziej przerażony, mówi, że tam gdzie jedzie, morza być nie powinno. Miasto, do którego zmierza, znajduje się blisko Warszawy. Już na dworcu we Władysławowie, po dłuższych deliberacjach w kilku językach i wykonaniu kilku telefonów, ustaliliśmy, że Azjata jedzie do Wołomina. Ktoś zarządził zrzutkę na bilet, kanapki, coca-colę i nasz nieszczęsny podróżnik ruszył w drogę. Chcieliśmy dać mu jeszcze parę groszy do ręki, ale odmówił.

Nie sądzę, żeby kasjer wystawiający Azjacie bilet chciał mu zrobić na złość. Po prostu dla cudzoziemca poprawne wymówienie nazw Wołomin i Władysławowo stanowi dużą przeszkodę. Natomiast trudniejszy do pokonania okazał się demon pośpiechu i korzyści. Podróżnym zajęło się kilka osób, które musiały nad tym demonem zapanować.

To wydarzenie na kolei było czymś zwyczajnym i zarazem nadzwyczajnym przez to, że skojarzyłem je z wypowiedzią Ezechiela. Pan, mówi prorok: „Rzekł do mnie: Synu człowieczy, wstań. Będę do ciebie mówił”. Zrozumiałem wtedy, że mój Bóg Trójosobowy potrzebuje jeszcze jednego imienia – Bóg multiosobowy. Paweł Apostoł mówi: „Jeden jest Bóg, który sprawia wszystko we wszystkich. W każdym uwidacznia się działanie Ducha dla wspólnego dobra (...) Wy jesteście Ciałem Chrystusa, a każdy z was jest Jego częścią (...) Starajcie się jednak o większe dary! Pokażę wam teraz drogę, która przewyższa wszystkie inne”. Po czym następuje Hymn o miłości. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

Gdy umysł znajdzie miejsce serca, doświadczy, czego dotąd nie znał.

Z „METODY ŚWIĘTEJ MODLITWY I UWAGI”

Niewidzialne, nie do uchwycenia, bez rodziny i kasty, bez oczu, uszu, rąk i nóg, wieczne, wszechprzenikające, wszechobecne, najsubtelniejsze – wszystkiego źródło.

UPANISZADA MUNDAKA

Wybrał PIOTR SIKORA

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Siła ewangelizacji

Słuchaliśmy ostatnio w liturgii Jezusowego „Kazania na górze” – w zapisie św. Mateusza. To zapewne najważniejsze z kazań naszego Pana (zajmuje aż trzy rozdziały: Mt 5–7). W następujących po nim rozdziałach 8. i 9. Jezus w zasadzie nie naucza. Przepowiadanie ustępuje miejsca działaniu.

Ewangelista opisuje kolejno jedenaście cudów Pana: oczyszczenie trędowatego, uzdrowienie sługi setnika, uzdrowienie teściowej Szymona, wyrzucanie złych duchów w Kafarnaum, uciszenie burzy na jeziorze, uwolnienie dwóch opętanych Gadareńczyków, uzdrowienie paralityka, uzdrowienie kobiety cierpiącej na upływ krwi i wskrzeszenie córeczki Jaira, przywrócenie wzroku dwóm niewidomym i uzdrowienie głuchoniemego. Dochodzi jeszcze jeden – o charakterze moralnym: powołanie Mateusza, który zostawia komorę celną i „idzie za” Panem. Najpierw do własnego domu, do którego zaprasza takich samych jak on: zawodowych złodziei, kolaborantów, publicznych grzeszników – wierząc, że w spotkaniu z Jezusem przeżyją, jak on – radykalną przemianę życia.

Słowo przechodzi w czyn; kazanie – w ukazanie! Nauczanie i wykład wiary przechodzi w świadectwo. Ono zaś rozstrzyga o wiarygodności nauczania – sprawia, że słowo nie jest jedynie piękną teorią czy marzeniem, tym bardziej nie jest słowem pustym i bez pokrycia. Więcej: dzięki czynowi słowo pokazuje sobie właściwą naturę – okazuje się słowem z mocą. Bo ono nie tylko informuje, ale także formuje. Przekształca, zmienia, uzdrawia, wskrzesza, stwarza i zbawia. Wszyscy wyczytujemy w tym logikę ewangelizacji: ona domaga się naszego słowa (kerygmatu i didache) i czynu.

Na tym jednak nie kończy się jeszcze jej dyscyplina. Po rozdziale 8. i 9. przychodzi rozdział 10., w którym Pan wybiera Dwunastu i po raz pierwszy wysyła na misję. Mają, jak On, przepowiadać nadejście Królestwa niebieskiego (Mt 10, 7; por. 4, 17) i działać: „uzdrawiać chorych, wskrzeszać umarłych, oczyszczać trędowatych, wyrzucać złe duchy” (Mt 10, 8). Mają przedłużyć wśród ludzi Jego czyn. Jego mocą.

Oto dopiero pełny zakres misji tego, kto podejmuje się dzieła ewangelizacji: nauczanie (poczynając od kerygmatu) – czyn (działanie, świadectwo) oraz odnalezienie i formacja liderów – tych, którzy razem z nami, ale także bez nas i po nas, poprowadzą ową misję dalej. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 14 VII)

14. niedziela zwykła: Ez 2, 2-5; Ps 123; 2 Kor 12, 7-10; Mk 6, 1-6;
Poniedziałek: Oz 2, 16. 17b-18. 21-22; Ps 145; Mt 9, 18-26;
Wtorek: Oz 8, 4-7. 11-13; Ps 115; Mt 9, 32-38
Środa: Oz 10, 1-3. 7-8. 12; Ps 105; Mt 10, 1-7;
Czwartek: Prz 2, 1-9 lub Dz 4, 32-35; Ps 34; Mt 19, 27-29;
Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 51; Mt 10, 16-23;
Sobota: Iz 6, 1-8; Ps 93; Mt 10, 24-33;
15. niedziela zwykła: Am 7, 12-15; Ps 85; Ef 1, 3-14; Mk 6, 7-13.

KRAJ

NOWE ŻYCIA JANINY OCHOJSKIEJ

Tuż przed siedemdziesiątką przeżywa słodko-gorzkie przełomy: odtrąca ją polityka, rozstaje się ze swoim PAH-em i ostatecznie pokonuje raka. Gdzie jest nowe miejsce dla ikony polskiego ruchu pozarządowego?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Droga Janko, prowadziliśmy przez ostatni tydzień intensywne negocjacje z PSL" – zaczyna obszerny SMS do Janiny Ochojskiej ważny działacz Polski 2050. Jest maj tego roku, właśnie ogłoszono listy wyborcze do Parlamentu Europejskiego, a polityk tłumaczy się, dlaczego Trzecia Droga nie skorzysta z jej usług, mimo iż sama wyszła z taką propozycją. „Jak to w małżeństwie z rozsądku, musieliśmy zbudować różnego rodzaju kompromisy" – wije się dalej działacz partii Hołowni. Jego SMS w nieco bardziej brutalnej wersji mógłby brzmieć tak: „Droga Janko, PSL nie przełknie twoich poglądów, a startujący z pierwszego miejsca w Krakowie Adam Jarubas drżałby z tobą za plecami o swój wynik".

Ten SMS, a dodatkowo podobny od samego Hołowni, to i tak sporo. Wcześniej o tym, że nie znajdzie się na listach KO – mimo iż pięć lat wcześniej została z poparciem partii Tuska europarlamentarzystką z sensacyjną liczbą ponad 300 tys. głosów – dowiedziała się od dziennikarzy. Jak to możliwe, skoro sama – jak twierdzi – dawała sygnały o chęci startu?

– Kształt naszych list był negocjowany przez cztery podmioty: Nowoczesną, Zielonych, Inicjatywę Polską i PO – mówi ważna polityczka KO. – Być może żaden nie chciał „ginąć" za Janinę Ochojską. A ona sama, jak sądzę, też nie zabiegała specjalnie o start. Bo samo „dawanie sygnałów" w dzisiejszej polityce nie wystarczy. Wiem, że pani Janina pięć lat temu zdobyła sporo głosów. Ale dużo się zmieniło: dziś niewielu jest np. zwolenników likwidacji granicznego muru. Nie wiadomo, czy pani Ochojska dostałaby się do PE.

– Tak, czuję się zawiedziona – przyznaje sama, gdy rozmawiamy tuż przed wyborami, w których TD weźmie ledwie trzy mandaty. – Pierwsza kadencja to w dużej mierze nauka. W dodatku była wybrakowana przez pandemię. Tym bardziej chciałam kontynuować tę służbę, bo tak traktowałam obecność w PE. I chyba najbardziej zabolało mnie nie to, że nie znalazłam się na listach, tylko że nikt do mnie nawet nie zadzwonił. Zamiast komunikatu: „dziękujemy Ci, Janko, za pięć lat, teraz damy szansę innym", potraktowano mnie jak dziewczynkę, która chciała się pobawić w europarlament, ale „my – ważniejsi i poważniejsi – jej nie pozwolimy".

Już w wieku emerytalnym, Janina Ochojska staje na progu nowego. Właśnie odtrącił ją świat polityki. Dopiero co rozstała się formalnie z prezesurą Polskiej Akcji Humanitarnej. A kilka miesięcy temu ogłosiła zwycięstwo nad nowotworem.

Od szpitala do szpitala

Gdy łączymy się z początkiem czerwca, za jej głową widzę nie regały z książkami w krakowskim mieszkaniu, a zieleń ogrodu zza okien. Kilka lat temu przeprowadziła się pod Toruń, w którym przeżyła studenckie czasy (kończyła astronomię na UMK). Tu, w sąsiedztwie pary przyjaciół, wybudowała dom. – Brakuje mi Krakowa, ale też stawał się dla mnie coraz trudniejszy – przyznaje. – Te ulice bez przystosowanych krawężników, instytucje bez podjazdów. A ja już się poruszam tylko na wózku.

Na wózku jest od zawsze: gdy ma pół roku, atakuje ją polio, od tamtej pory będzie się zmagać z większą lub mniejszą

ARTUR ZAWADZKI / REPORTER

Janina Ochojska. Warszawa, marzec 2024 r.

niemocą. Szpital, wspomina w książce-wywiadzie z Wojciechem Bonowiczem (wydanej w 2000 r. przez Znak „Niebo to inni"), to jej pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. Chodzić o kulach zaczyna w wieku pięciu lat. W wieku sześciu przechodzi pierwszą operację („Położono mnie na stole, przykryto jakąś gumą i wszyscy wyszli. Modliłam się wtedy, żebym nie umarła"). Kolejne zabiegi ma w pierwszej, drugiej i trzeciej klasie podstawówki. W szpitalach spędzi setki dni także w dorosłości. A to po wypadku drogowym w czasie powrotu z Afganistanu, gdy m.in. zmiażdżyła kolano i złamała biodro (szpitale kolejno: w Tambowie, Moskwie i Krakowie). A to w związku z dolegliwościami ortopedycznymi będącymi pokłosiem problemów zdrowotnych z dzieciństwa. Tylko w latach 2014-15 raz spędzi w szpitalu 9 miesięcy, drugi raz 6.

W kwietniu 2019 r. słyszy diagnozę: rak piersi. Z choroby – mówią jej przyjaciele – uczyni kolejne zadanie, opowiadając o niej w wywiadach. – Jedni uważają to za oczywistość, inni nawet za „epatowanie". A ja znam przypadki ludzi, którzy dzięki chorobowym opowieściom znanych postaci poszli się przebadać – mówi Wojciech Bonowicz, poeta, felietonista „TP", od lat przyjaciel Ochojskiej. – To ważny rys Janki cierpiącej: zwróciła się do ludzi z przesłaniem, tak jak wcześniej np. księża Isakowicz-Zaleski czy Kaczkowski.

Kaczkowski, zmarły w 2016 r. na glejaka mózgu duchowny, był jej bliski. Gdy rozmawialiśmy już po śmierci księdza na potrzeby jego biografii, opowiadała: „Zżył się ze swoją niemocą, w jakimś sensie był za nią wdzięczny. Ja to rozumiem: uważam, że mam dobre życie, również dzięki swojej niepełnosprawności. Nie wiem, gdzie bym była bez niej".

Dziś mówi o chorobie: – Korespondowałam z masą kobiet, rozmawiałyśmy na tematy, na które lekarze nie mają czasu. Nikt nie powie nowej pacjentce, by na pierwszą wizytę poszła z kimś bliskim, gdyż z powodu stresu nie zapamięta komunikatów. Że warto na chemię wziąć koc, bo po niej bywa człowiekowi zimno. Że czasami warto wcześniej zgolić włosy, bo wkrótce i tak wypadną. Nikt z lekarzy raczej nie porozmawia na temat lęków: przed chemią, jej skutkami, przed utratą piersi. I na temat lęku przed wznową.

Źródła siły

Czy miała momenty załamania? – To był dzień powrotu po przedostatniej chemii do kamienicy – opowiada Ochojska. – Wysiadam z samochodu i zdaję sobie sprawę, że nie będę w stanie iść, a już na pewno wdrapać się po schodach. Koleżanka, która mi towarzyszyła, nie będzie też w stanie mnie unieść. Zrobiłyśmy „łapankę" i znalazłyśmy dwóch nieznających się panów: niskiego i wysokiego, ↦

↦ obcokrajowca i Polaka. Trudno było ich skoordynować, także językowo. Wreszcie chwytają: jeden za nogi, drugi za tułów, koleżanka jeszcze za coś innego. Dziś może to brzmieć śmiesznie, bo czułam się jak kukła targana po tych schodach bez ładu i składu, ale wtedy pojawił się lęk. Że tak już będzie. Że nie odzyskam sprawności.

Pytam i Ochojską, i Bonowicza, skąd u niej siła. Ona mówi o rysie „zadaniowości", który wyniosła z dzieciństwa spędzonego w dużej mierze z dala od domu. On dodaje wymagania dorosłych, które zahartowały ją na przeciwności, a w życiu dorosłym na wiernych przyjaciół.

Bonowicza pytam też o paradoks: zasoby do walki z trudnościami, które dostaje się zwykle od rodziców, ona otrzymała od opiekunów i lekarzy z placówek, głównie sanatoriów, w których dominował zimny chów. – To prawda, ale w tych placówkach było coś więcej – odpowiada przyjaciel Ochojskiej. – Np. dr Lech Wierusz, ortopeda i dyrektor Zakładu Leczniczo-Wychowawczego w Świebodzinie był dla niej jak drugi ojciec. To kluczowe w wielu biografiach. Pojawia się ktoś dorosły z autorytetem i mówi: „Słuchaj, ty jesteś jedyna taka na świecie, pielęgnuj to. Możesz siąść i płakać, a możesz to zamienić w coś wartościowego". Myślę, że ona ma tego doktora Wierusza głęboko uwewnętrznionego.

Bonowicz jednak dodaje: to nie oznacza, że przez przeszkody przeskakiwała bez potknięć. – Janka kilka razy w życiu, nie wchodząc w szczegóły, stoczyła walkę z sobą. Nie ma co udawać, że człowiek jest zawsze silny i ma nieskończoną pulę energii. Były w jej życiu momenty, w których tego bólu było za dużo, i brakowało sił. Przeszła je.

W lutym tego roku, po pięciu latach od diagnozy, który to okres bez wznowy onkolodzy uznają często za dowód wyleczenia, ogłosiła zwycięstwo nad nowotworem. W ten sposób okres choroby pokrył się z krótką polityczną karierą.

Partyjny „gorący kartofel"

Diagnozę usłyszała zresztą niedługo po decyzji, by kandydować. – Nie miała Pani zawahania? – pytam.

– Nie. Pomyślałam, że jak się poddam, to nie będę miała sił do walki z chorobą. Powiedziałam sobie: zrobię, co miałam w planach, tylko raka do tych planów dopiszę.

Po wyborczym triumfie będzie jedną z kilkanaściorga polskich członków Europejskiej Partii Ludowej. Zajmie się tym, czym zajmowała się latami: uchodźcami, migrantami i prawami człowieka. W sprawach klimatycznych będzie często głosować inaczej niż jej ugrupowanie, w kwestii tzw. paktu migracyjnego, który ma m.in. usprawnić procedury azylowe, ale zawiera też budzący emocje tzw. mechanizm solidarności, tak samo. – Ale nie dlatego, że „Tusk tak kazał", tylko z tego powodu, że pakt posiada wiele luk, które mogą spowodować łamanie praw człowieka – zaznacza Ochojska.

Z bilansu swojej pracy w Brukseli nie jest zadowolona. – W sprawie pushbacków wypowiadałam się wielokrotnie, ale pushbacki nadal są, i to na wielu granicach – mówi. – Na pakt migracyjny też nie miałam takiego wpływu, jakiego się spodziewałam. W kwestiach środowiskowych z kolei nie jestem zadowolona z tego, co robiło moje ugrupowanie, dlatego głosowałam tak jak lewica, w duchu ochrony klimatu. Gdybym miała szukać czegoś konkretnego, co się udało, to powiedziałabym o uporządkowaniu pewnej ważnej procedury. Chodzi o obowiązek takiego uzgadniania wszystkich nowych polityk wprowadzanych przez PE, by nie szkodzić krajom rozwijającym się.

Ale w polskich mediach głośno o Janinie Ochojskiej robi się przez ostatnie pięć lat głównie z powodu kontrowersyjnych wypowiedzi. Zwłaszcza tej z marca ub. roku, gdy w Tok FM mówi o możliwych „masowych grobach" przy polsko-białoruskiej granicy. W reakcji prawica grzmi o „kłamstwie w służbie Łukaszenki", a niektórzy politycy PO dystansują się od jej słów. – Nie chodziło mi o jeden masowy grób, tylko o wielu uchodźców, którzy zaginęli bez wieści, a ich ciała muszą gdzieś przecież być – tłumaczy dzisiaj.

– Czyli nie żałuje Pani tamtych słów? – upewniam się.

– Powiedziałam tylko, czego się domyślam, a nie co na pewno wiem.

– Może w tym właśnie problem: o takich sprawach powinno się albo milczeć, albo krzyczeć, ale mając dowody.

– Zgoda, to trzeba było inaczej powiedzieć. Ale bronię samej treści. Bo że losy wielu ludzi są niejasne, to wiemy na pewno.

– Janka jest konsekwentna: co głosiła kilka lat temu, głosi i dziś – mówi Bonowicz. – Ona nigdy nie weszła w logikę politycznego kalkulowania: to się opłaca, a to nie.

– Da się dziś uprawiać politykę bez kalkulowania? – pytam Bonowicza.

– Może i się nie da, ale powinno się dać. Ugrupowania powinny mieć w swoich szeregach idealistów, ludzi może trochę naiwnych i przez to „niebezpiecznych", ale za to zdolnych odwołać się do warto-

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie toczy się postępowanie z wniosku Urszuli Śliwickiej z udziałem Antoniego i Katarzyny Czeplin w sprawie o sygn. akt I Ns 274/23 o zasiedzenie własności części nieruchomości położonej w miejscowości Juszki, powiat kościerski, o powierzchni 117 m^2, oznaczonej numerem geodezyjnym 147/2, dla której w Sądzie Rejonowym w Kościerzynie prowadzona była księga dawna Juszki Karta 30.

Wzywa się wszystkich następców prawnych Antoniego i Katarzyny Czeplin, aby w terminie 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe następstwo prawne po nich pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 784/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Bogusławie Słońskim s. Kazimierza i Ireny, zmarłym w dniu 27 maja 2022 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

BART POGODA / DLA POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ

Janina Ochojska w Sudanie (dzisiejszy Sudan Południowy), kwiecień 2011 r.

ści w sytuacjach kryzysowych. Ale nie jestem specjalnie zaskoczony, że została wypchnięta z polityki. Przypuszczałem, że odkąd obrona granicy stanie się elementem kampanii, będzie traktowana przez partie jak „gorący kartofel".

Z mainstreamu na margines

Ale i ona dała się namówić na milczenie w imię polityki. – Przez dłuższy czas nie wypowiadałam się w sprawie granicy, i muszę panu powiedzieć, że dziś mam ogromne poczucie winy – przyznaje. – Mówiliśmy między sobą: tak, dwie kolejne osoby na granicy zmarły, ale może dajmy temu rządowi chwilę, niech okrzepnie. A teraz spora część tego rządu jedzie do Parlamentu Europejskiego. Czy na pewno panowie Budka lub Kierwiński mają wiedzę i doświadczenie pozwalające posunąć sprawy europejskie do przodu? Chciałabym usłyszeć, że ministrowie rządu Tuska oddadzą odprawy po odejściu ze swych funkcji na jakiś szczytny cel. PiS budował Bizancjum, ale teraz zaczyna być podobnie. Nie wierzę, że odejście aż tak wielu szefów resortów było konieczne.

W język nie gryzie się też w internecie. „Dzisiaj w nocy w moim kraju wprowadzono strefę, w której przestaną obowiązywać prawa obywatelskie. Stare wraca?" – pisze na platformie X 13 czerwca o strefie buforowej. „Cała Janka" – komentują jedni jej znajomi, zwracając uwagę na emocjonalny i przesadny przekaz. Inni akcentują, że obecna strefa tylko subtelnie różni się od tej PiS-owskiej, więc Ochojska jest po prostu konsekwentna.

Na pytanie, czy nadal jest za rozebraniem granicznego muru, odpowiada bez wahania twierdząco. – Jest nienaturalny, a w dodatku nieskuteczny – mówi. – Co rusz słyszymy o osobach, które przedostały się jednak przez granicę. Jestem za ochroną granicy, ale nie tak.

– A jak? Co by Pani zrobiła, będąc premierem? – pytam.

– Przy Obwodzie Kaliningradzkim mamy zaporę elektroniczną, dzięki której przechodzący przez granicę są widoczni nawet daleko od niej. Sprawa druga to strażnicy. Próbowałabym ich tak doszkolić, by praca w straży była na powrót tym, czym była przed PiS-em i przed Usnarzem [blisko tej miejscowości miał miejsce w 2021 r. największy przygraniczny kryzys – red.]. Myśmy wtedy pokazali Białorusinom, że gramy w ich grę, to znaczy dajemy się prowokować. Dzisiaj widzimy tego efekty.

– Ale dzisiaj jest inna sytuacja: na granicy jest więcej agresji, zginął żołnierz, a pushbacki stosuje cała Europa – zauważam.

– Do agresji przyczyniliśmy się sami, reagując agresywnie na wcześniejsze incydenty. A fakt, że wszyscy stosują pushbacki, to nie powód, by je inaczej niż kiedyś oceniać. Dochodzimy jako kontynent do kresu. Jeszcze pobudujemy trochę murów, jeszcze wypchniemy ileś tysięcy ludzi. A potem będzie taki napór, że zaczniemy rozważać rozstawianie na murach strzelców.

Gdy mówię, że swoimi niezmiennymi poglądami sama wypisała się z mainstreamowej polityki, odpowiada krótko: – Być może. Ale nie zrezygnuję ze swoich poglądów tylko dlatego, że przestały być mainstreamowe.

Misja niekowbojska, choć niebezpieczna

Wypisała się też z założonej przez siebie w 1994 r. Polskiej Akcji Humanitarnej. PAH, przez dekady organizująca pomoc za granicą, pomagająca uchodźcom, dźwigająca z klęski powodzian, dożywiająca dzieci itd., napisała ważny rozdział historii polskiego ruchu NGO. A ona przez te lata stała się – obok Jurka Owsiaka czy Anny Dymnej – ikoną tego sektora.

Starsi Polacy zapamiętają konwoje z lat 90.: do ogarniętych wojną krajów byłej Jugosławii, do Kazachstanu, Czeczenii, Afganistanu. Telewizyjne migawki: energiczna młoda kobieta ubrana w kamizelkę, a czasami w kask, zawiaduje pomocą niemal skacząc o kulach. I doniesienia o niebezpiecznych momentach: ostrzelanie ciężarówek PAH pod Sarajewem czy wspomniany wypadek w drodze z Afganistanu. – Zawsze unikaliśmy „kowbojskiej" narracji w naszych opowieściach, ale faktem jest, że kilka razy mieliśmy sporo szczęścia. Albo inaczej: pomagaliśmy szczęściu, dbając o bezpieczeństwo – mówi Ochojska.

Gdy pytam o najważniejszą misję, wskazuje na Czeczenię. – Po pierwsze, tam powstała nasza pierwsza stała placówka, zaczęliśmy mieć zdolność zatrudniania na miejscu. W Czeczenii to było aż 60 lokalnych osób – mówi. – Po drugie, zainstalowaliśmy filtry na wodę, by rozwozić ją w Groznym. W sumie mieliśmy pięć filtrów, dających dziennie ponad 700 tys. litrów. To był sukces, bo przecież ↦

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

↦ trwały bombardowania. A przy okazji był to w historii organizacji kolejny kamień milowy: ten pierwszy program wodny wyznaczył nowy, obowiązujący do dziś kierunek działania PAH-u jako organizacji skupionej na sektorze wodno-sanitarnym.

De facto PAH-em przestała kierować pięć lat temu. Formalnie jej odejście ogłoszono przed dwoma tygodniami. – Gdy zostałam wybrana na europosłankę, wzięłam w organizacji urlop bezpłatny – tłumaczy. – Wtedy myślałam, że może wrócę. Ale gdy obserwowałam, jak się PAH rozwija, jak – co tu kryć – wojna w Ukrainie dała jej rozwojowego kopa, to zorientowałam się też, że musiałabym doganiać własną organizację, uczyć się PAH-u od nowa. To nie jest potrzebne ani organizacji, która stoi mocno na nogach, ani mnie.

Na pytanie, co planuje, ujawnia, że chciałaby stworzyć nową organizację. – Mogłaby nosić nazwę Fundacji im. Janki Ochojskiej – deklaruje. – Nie wiem jeszcze, czym będzie się zajmować, ale rozmawiam dużo ze znajomymi działaczami, by zorientować się, jakie obszary pomocy humanitarnej i migracyjnej są newralgiczne. Na pewno chciałabym jeździć do krajów takich jak Tunezja czy Egipt, którym pani Ursula von der Leyen tak hojnie rozdawała pieniądze na powstrzymanie migracji, i sprawdzać, na co te pieniądze idą. Nie chciałabym, by się okazało, że organizuje się za nie „łapanki" ludzi chcących się dostać do Europy.

Stanąć na nogi

Prywatnie zastanawia się, czy jest w stanie znowu stanąć na nogi. Przez lata poruszała się na wózku, ale też chodziła o kulach; nowotwór i chemia sprawiły, że odłożyła kule.

– Już zaakceptowałam fakt, że nie chodzę, ale czasami sobie myślę: „Kurczę, Janka, zawsze tak walczyłaś, taka byłaś do przodu, a teraz?". Mogłabym znowu zawalczyć, zajmując się całe dnie sobą: basenem, fizjoterapią, ćwiczeniami. Ale czy przejście znowu stu metrów o własnych siłach warte jest odpuszczenia różnych ważnych spraw, które chcę jeszcze robić?

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Trzecia Droga na rozdrożach

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Tak jak 15 października 2023 r. od jej wyniku zależało odsunięcie PiS od władzy, tak teraz jej kondycja zadecyduje o kształcie polskiej sceny politycznej. Czy alians Hołownia – Kosiniak-Kamysz przetrwa?

Jest tym ogniwem nowej koalicji, które najbardziej odstaje ideowo od całości. Dodatkowo fenomen Szymona Hołowni zdaje się zużywać, a sondaże pokazują spadek Trzeciej Drogi poza polityczne podium. Formacja ta coraz częściej pada ofiarą żelaznego uścisku duopolu KO-PiS, choć zamierza podjąć ryzykowną próbę wyrwania się z tej pułapki. „Jeżeli będzie prezydent z Platformy i premier z Platformy, to następny prezydent i premier będą z PiS i nic się w Polsce nie zmieni. A jeżeli, to na gorsze" – mawia Szymon Hołownia, rekomendując w ten sposób swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich. Trudno nie przyznać mu racji.

Od 2005 r. schemat życia politycznego w Polsce wygląda podobnie. Dominują PO i PiS, zamieniając się jedynie miejscami ugrupowania rządzącego i głównej siły opozycyjnej. Jednocześnie co jakiś czas pojawia się nowy podmiot, który okazuje się rewelacją wyborów i nadzieją

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz. Skarżysko-Kamienna, 4 kwietnia 2024 r.

elektoratu nieidentyfikującego się z głównymi graczami tej sceny – ale po kilku latach ginie w odmętach polityki, zmiażdżony przez dwóch wielkich antagonistów. Tak było z czarnym koniem wyborów w 2011 r., czyli Ruchem Palikota, tak było z Nowoczesną i Kukiz'15, które przebiły się w 2015 r., podobnie może być z TD, która w tej formule zaistniała przy okazji wyborów w 2023 r.

Jak odbić się od dna

W środę 26 czerwca doszło do spotkania klubów PSL i Polski 2050. Naradzały się, co dalej z projektem Trzeciej Drogi. Wzajemne pretensje były spore. Ludowcy mieli żal do ludzi od Hołowni, że na nich pasożytują, bo nie mają regionalnych struktur partyjnych, a ich kandydaci nie osiągają najlepszych wyników – co pokazały wybory samorządowe, a zwłaszcza europejskie, w których „miejska" Polska 2050 powinna była bardziej zaistnieć. Z kolei Polska 2050 miała do ludowców pretensje, że niewystarczająco wspierają ich projekty.

Po spotkaniu przedstawiciele obu ugrupowań prezentowali urzędowy optymizm. – Jako Trzecia Droga chcemy być silnikiem napędowym dla Koalicji 15 Października i oczekujemy, że koalicja będzie realizować nasze postulaty programowe. Umówiliśmy się z PSL na rzeczy, które możemy jeszcze wspólnie zrobić – zapewnia szef klubu Polski 2050 Mirosław Suchoń. Sam Hołownia, pytany o współpracę z PSL w ramach Trzeciej Drogi, określał ją jako „związek partnerski" i ocenił na czwórkę. „Wciąż pozostaje przestrzeń, by poprawić tę relację" – przyznał.

Szeregowi posłowie obu ugrupowań są pełni wiary w projekt. Posłanka Polski 2050 Ewa Szymanowska przyznaje, że w jej ugrupowaniu powinna pojawić się refleksja, dlaczego ich elektorat pozostał w domu podczas wyborów europejskich, ale zapewnia, że w Łodzi, gdzie jest posłanką, współpraca z PSL jest dobra. Także Jacek Tomczak z PSL przekonuje, że jego zdaniem ten projekt powinien się rozwijać.

To nie znaczy, że nie ma wewnętrznych napięć. Zarysowały się m.in. wokół zmiany ekspozycji w Muzeum II Wojny Światowej przez nową dyrekcję. Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz wypowiedział się, że oczekuje przywrócenia rotmistrza Pileckiego, św. Maksymiliana Kolbe i rodziny Ulmów. Marszałek Sejmu oświadczył zaś, że jego zdaniem wystawy powinni komponować historycy, a nie politycy.

Jednak największym problemem Trzeciej Drogi, zdaniem zarówno jej polityków, jak i zewnętrznych obserwatorów, jest skuteczna ucieczka z duopolu KO-PiS. Jak dotąd, przekonuje dr Anna Materska-Sosnowska z Uniwersytetu Warszawskiego, Trzecia Droga popełniła w realizacji strategii politycznej wiele błędów, co wpłynęło na spadek jej notowań. Błędem była jej zdaniem niekonsekwencja w kwestii rozliczeń PiS. – W którymś momencie liderzy Trzeciej Drogi zaczęli kwestię rozliczeń relatywizować, co mogło spowodować odsunięcie się części elektoratu – ocenia politolożka.

Jej zdaniem TD w wyborach parlamentarnych była nadreprezentowana, bo właśnie to ugrupowanie było największym beneficjentem bardzo wysokiej frekwencji. Wynik w wyborach samorządowych był już bardziej adekwatny, bo to był poziom poparcia, które na ogół ma PSL, ale wybory te jednocześnie wykazały słabość Polski 2050. Dużo gorzej było w wyborach do PE, w których TD spadła na czwarte miejsce za KO, PiS i Konfederacją. I taki właśnie układ utrwalił się we wszystkich najnowszych sondażach.

Władysław Kosiniak-Kamysz przekonywał ostatnio, że potrzebna jest „rewitalizacja Trzeciej Drogi". Formacja ta powinna wziąć „głęboki oddech" i określić na nowo wspólną strategię polityczną. „Uważam, że ściślejsza współpraca jest potrzebna, potrzebne jest też wystawienie wspólnego kandydata na prezydenta, bo wybory prezydenckie to jest dla mniejszych partii bardzo trudna lekcja" – mówił szef ludowców.

Politycy Trzeciej Drogi widzą w wyborach prezydenckich główną szansę na odbicie się od politycznego dna. Podczas ubiegłotygodniowego spotkania obu klubów potwierdzono, że będzie wspólny kandydat i będzie nim, jeśli się zdecyduje na start, Szymon Hołownia. Anna Materska-Sosnowska zwraca jednak uwagę, że od jakiegoś czasu wizerunek Hołowni jako marszałka też przeżywa kryzys. – Wiadomo było, że „złote dziecko You Tube'a" i „sejmix" kiedyś będą miały kres – ocenia politolożka.

Jej zdaniem Hołownia ma w związku z tym małe szanse na odzyskanie nawet tego poparcia, które miał w wyborach w 2020 r. – Nie wiadomo, kto miałby go poprzeć, skoro KO i PiS wystawią swoich kandydatów, a wszystko wskazuje na to, że Polska 2050 utraciła elektorat, który zdobyła wśród osób zniechęconych do PO. Dlatego Hołownia może mieć gorszy wynik niż w 2020 r., bo wtedy miał walor nowości, a teraz częściowo zużyło go współrządzenie – mówi Materska-Sosnowska.

Sam Hołownia ma być może tego świadomość, bo ostatnio coraz częściej mówi, że wcale nie jest przesądzone, iż wystartuje w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Decyzję ma podjąć późną jesienią.

Sporne związki, dyskusyjne składki

Pomysłem Trzeciej Drogi na zaistnienie mimo trudnych warunków ma być bardziej zdecydowane forsowanie swoich pomysłów programowych i zaznaczanie różnic w stosunku do pozostałych partnerów ↦

koalicyjnych. To ostatnie musi być bardzo umiejętne, bo na wizerunku kontestatora rządu, w którym się zasiada, można tyleż zyskać, co stracić.

Odróżnienie się nie będzie trudne, bo właśnie ugrupowania tworzące Trzecią Drogę mają z pozostałą częścią koalicji najwięcej sporów programowych. Trzecia Droga usztywniła się na przykład w sprawie projektu ustawy o związkach partnerskich, przygotowanego wprawdzie przez ministrę ds. równości Katarzynę Kotulę z lewicy, ale szykowanego jako inicjatywa całego rządu. Tu zwłaszcza PSL gra rolę hamulcowego, przekonując, że może zgodzić się tylko na minimalne udogodnienia prawne dla takich związków, ale już na pewno nie na tzw. wewnętrzne przysposobienia dzieci (prawo do takiego przysposobienia przysługiwałoby osobom ze związków jednopłciowych, które współwychowują biologiczne dziecko partnerki/ /partnera).

Wicemarszałek Piotr Zgorzelski z PSL na konferencji prasowej ludowców podczas ostatniego posiedzenia Sejmu zwrócił uwagę, że zapisy dotyczące związków partnerskich nie znalazły się w umowie koalicyjnej, bo „partnerzy koalicyjni szanowali wrażliwość PSL w tej sprawie". Skądinąd sama konferencja, podczas której zaprezentowano nową rzeczniczkę prasową klubu Magdalenę Srokę oraz pochwalono się wynegocjowaniem przez resort rolnictwa na forum UE ceł na ukraińskie zboże, też była symbolem nowej politycznej ofensywy – konferencje takie, w ślad za marszałkiem Hołownią, PSL ma organizować na każdym posiedzeniu Sejmu.

Analogicznie do związków partnerskich spór w ramach koalicji wywoła zapewne projekt depenalizacji aborcji. Sejmowa komisja nadzwyczajna wystąpiła właśnie z projektem ustawy w tej sprawie i będzie on najpewniej głosowany na kolejnym posiedzeniu Sejmu. Jednak przeciwko niemal na pewno będzie większość PSL, a także część Polski 2050, w tym najprawdopodobniej sam Hołownia.

Skądinąd sprawa aborcji jest dobrym przykładem nieudanego PR marszałka Sejmu, co jest paradoksem, zważywszy na talenty medialne Hołowni. W opinii publicznej utrwalił się jego obraz jako aborcyjnego hamulcowego. Nie może zaś do opinii publicznej przebić się pogląd, który Hołownia powtarza przy każdej okazji, że gdyby nie przełożył debaty aborcyjnej, to dziś nie byłoby ani żadnej komisji nadzwyczajnej, ani żadnego projektu.

Inna sporna w ramach koalicji sprawa to skomplikowana kwestia obniżenia składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Oba ugrupowania TD stawiają tę sprawę bardzo twardo, wskazując, że postulat ten został wpisany do umowy koalicyjnej. Ryszard Petru z Polski 2050 przedstawił projekt zakładający obniżenie składki zarówno dla przedsiębiorców, jak i pracowników. Ma tu poparcie PSL. „Bardzo dobrze, że Ryszard Petru wyszedł z propozycją składki zdrowotnej" – mówił niedawno Kosiniak-Kamysz. – Jesteśmy od tego, by mobilizować naszych partnerów do realizacji zobowiązań – dodaje Suchoń.

KO jest w tej sprawie bardziej umiarkowana. W marcu ministrowie zdrowia i finansów Izabela Leszczyna i Andrzej Domański przedstawili nieco mniej kosztowny dla budżetu projekt obniżenia składki tylko dla przedsiębiorców. Jednak przeciwna jakiemukolwiek obniżaniu składek jest lewica, która też ma bardzo niskie notowania i musi walczyć o swoje postulaty, więc raczej w tej sprawie nie ustąpi.

Wewnątrzkoalicyjny spór będzie zapewne dotyczyć też senackiej poprawki do ustawy o KRS, która daje neo-sędziom prawo wyboru członków rady. Trzecia Droga, a zwłaszcza Polska 2050, jest sceptyczna wobec tej forsowanej przez resort sprawiedliwości poprawki. Z tą sprawą wiąże się zresztą makiaweliczna rozgrywka KO z Trzecią Drogą o obsadę komisji sprawiedliwości. Po wyborze dotychczasowej szefowej tej komisji Kamili Gasiuk-Pihowicz do Parlamentu Europejskiego nowym przewodniczącym został Paweł Śliż z Polski 2050, a w zamian KO dostała przewodnictwo komisji ds. Unii Europejskiej (dla Agnieszki Pomaskiej), na

KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT"

Czytany przez Autora audiobook oraz bogato ilustrowana książka dostępne od 17 lipca 2024 r. w sklepie Wydawnictwa Poznańskiego na: www.wydawnictwopoznanskie.pl/sklep

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

czele której był wcześniej Michał Kobosko z Polski 2050.

Jednak, jak można usłyszeć w sejmowych kuluarach, ten gest KO ma drugie dno, bo szefa komisji sprawiedliwości czeka przeprawa z projektami dotyczącymi porządkowania wymiaru sprawiedliwości. Może to być politycznie kosztowne, zwłaszcza że na pewno nie zadowoli się wszystkich środowisk prawniczych, które przeciwstawiały się zmianom wprowadzanym za rządów PiS.

Jeszcze inny spór Trzeciej Drogi z KO dotyczy kwestii energetycznych. Zwłaszcza PSL domaga się, by w ramach części pożyczkowej KPO wynegocjować więcej pieniędzy na rozwój małych biogazowni, tworzonych przez polskich rolników, zamiast oddawać ten perspektywiczny rynek zagranicznym koncernom.

PSL-owcy są nieusatysfakcjonowani zbyt ich zdaniem pasywną postawą w tej sprawie rządu, niechętnemu walce o przesunięcia środków w ramach KPO. Ludowcy zwracają uwagę, że według planów w całej UE do 2030 r. ma być produkowane 35 mld metrów sześciennych biogazu, a biogazownie są też dobrymi miejscami magazynowania energii. Nie zostawiają śladu węglowego i można z nich korzystać jako z odnawialnych źródeł energii.

– To Szymon Hołownia powinien występować z takimi sprawami, jemu bardziej wypada niż naszym ministrom – mówi poseł PSL.

Ludowcy mieli żal do ludzi od Hołowni, że na nich pasożytują.

Polska 2050 miała do ludowców pretensje, że niewystarczająco wspierają ich projekty.

Czy wampir przyjdzie sam

Czy wobec tych wszystkich różnic, które zapewne w imię budowania politycznej tożsamości będą eksploatowane przez Trzecią Drogę, PSL jest w stanie posunąć się do użycia „broni atomowej", czyli sugestii porozumienia z PiS? Dziś robi to tylko PSL-owski outsider Marek Sawicki, którego nie było na wspólnym spotkaniu klubów TD, choć należy do największych krytyków sojuszu z Polską 2050. Politycy z partyjnego mainstreamu flirty z partią Kaczyńskiego kategorycznie wykluczają. Przywołują celną odpowiedź wicemarszałka Zgorzelskiego na zaloty PiS, że nie można umawiać się na randkę z wampirem.

Prędzej, przekonują tajemniczo, może być odwrotnie: to do PSL mogą trafić niebawem jacyś politycy PiS. Jeżeli tak by się stało, na pewno otworzyłoby przed Trzecią Drogą nowe polityczne możliwości i umocniło ją w koalicji rządzącej. Dobrym poligonem tego rodzaju ruchów może się okazać sytuacja w Sejmiku Województwa Małopolskiego, gdzie śmiertelny konflikt dwóch frakcji PiS-u uniemożliwia wybór marszałka, co może skończyć się powtórzonymi wyborami albo wyłonieniem innej większości.

Faktem jest, że fundamentalnym dla przetrwania projektu Trzeciej Drogi wydarzeniem będą przyszłoroczne wybory prezydenckie. Jeśli Hołownia (bo raczej na pewno kandydatem będzie on) osiągnie słaby wynik, będzie to koniec Trzeciej Drogi, która okaże się kolejną z rzędu efemerydą.

Sytuacja nie jest więc prosta, choć trzeba tu przypomnieć, że na Trzeciej Drodze już raz stawiano krzyżyk. Było to w lecie ubiegłego roku, gdy sondażowe notowania nie dawały porozumieniu Polski 2050 i PSL szans na przekroczenie 8-procentowego progu. Wtedy nie tylko przetrwała w pierwotnej formule, ale w wyborach parlamentarnych osiągnęła nadspodziewany sukces.

Z takimi zdolnościami do politycznej regeneracji wszystko jest więc możliwe.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

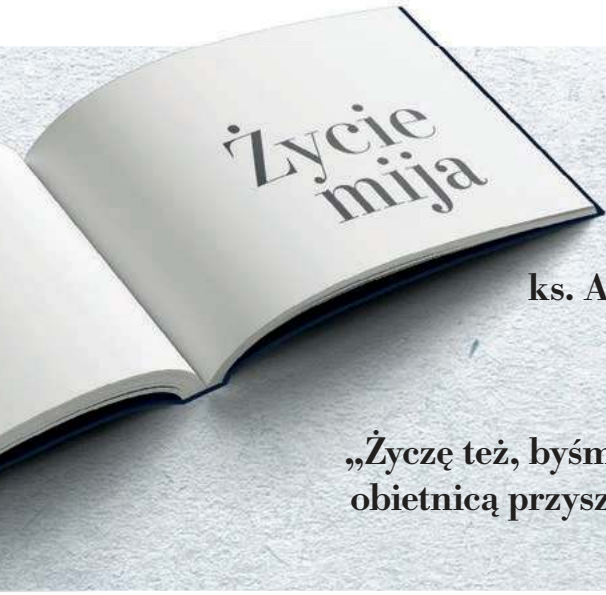

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co" – tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami: „Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!"

Jak odchudzić Polaków?

JERZY DZIEKOŃSKI

Wyobraźmy sobie, że nikt nie leczy większości chorych na raka albo nie zajmuje się 99 procentami wad serca. Tak właśnie jest z otyłością, na którą cierpi już co piąty z nas.

Polską politykę w tym temacie ilustruje anegdota. – „Pani się pomyliła, my jesteśmy od kultury, a konferencja dotyczy otyłości", powiedział mi przez telefon pracownik Ministerstwa Kultury, do którego wysłałam wcześniej zaproszenie na naszą konferencję – opowiada Marta Pawłowska, MBA, dyrektor prezydium Partnerstwa na rzecz Profilaktyki i Leczenia Otyłości. – Zapytałam, czy to nie przypadkiem ich resort organizuje imprezy, na których dostępna jest niezdrowa żywność? Albo czy nie pod Ministerstwo Kultury podlegają media, które reklamują niezdrową żywność? „To jesteście od otyłości czy nie?", zapytałam.

Dziewięć milionów otyłych

Problem nabrzmiewa. Dosłownie. Jak mówi prof. Paweł Bogdański, były prezes Polskiego Towarzystwa Leczenia Otyłości, obecnie na świecie żyje ok. 2 mld osób z nadmierną masą ciała i w ciągu najbliższej dekady liczba ta się podwoi. Podobnie jest w Polsce. – Blisko 2 na 3 dorosłych Polaków ma nadmierną masę ciała. Ponad 20 proc. choruje na otyłość. To 9 milionów osób! Szacuje się, że do 2035 roku odsetek mężczyzn z otyłością wyniesie 30 proc., a kobiet 25 proc. – alarmuje prof. Bogdański. – Z niepokojem obserwujemy pacjentów chorujących na otyłość i ustawiających się w kolejkach do specjalistów, którzy leczą powikłania tej choroby.

W przypadku otyłości, dodaje ekspert, ryzyko rozwoju cukrzycy typu 2 wzrasta o 9 tys. proc. Nadciśnienie u ponad połowy z 11 milionów pacjentów w naszym kraju ma swoje źródło w nadmiernej wadze. Otyłość powoduje też ponad dwie trzecie zabiegów wszczepienia endoprotezy stawu kolanowego u kobiet. – Ból, cierpienie, leki przeciwbólowe, operacje, kolejki, endoprotezy, rehabilitacje. Otyłość stanowi ogromne wyzwanie we wszystkich specjalizacjach medycznych, a koszty rosną lawinowo. Złotówka zainwestowana w profilaktykę i leczenie tej przypadłości zwraca się co najmniej sześciokrotnie – podkreśla prof. Bogdański.

Za nami tylko Meksyk

Ekspert dodaje, że jeśli nie podejmiemy odpowiednich działań, do 2050 r. plaga otyłości skróci średnią długość życia w naszym kraju aż o 4 lata. W raporcie OECD, który uwzględnia 52 państwa, znajdujemy się pod tym względem na przedostatnim miejscu. Za nami jest tylko Meksyk.

Na domiar złego, problem równie szybko narasta w najmłodszych grupach wiekowych, zwłaszcza jeśli chodzi o najpoważniejsze stadia choroby, czyli otyłość drugiego i trzeciego stopnia. – Np. wśród dziewcząt w latach 2012-2020 odnotowaliśmy ponad dwukrotny wzrost zjawiska – mówi dr hab. n. med. Michał Brzeziński z Katedry i Kliniki Pediatrii, Gastroenterologii, Alergologii i Żywienia Dzieci Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Wraz ze wzrostem częstości występowania otyłości będą rosły wydatki – nie tylko związane z samym leczeniem, ale też z obniżeniem konkurencyjności gospodarki. Mimo to świadomość problemu jest znikoma. Ponad 85 proc. Polaków postrzega to schorzenie w kategoriach problemu kosmetycznego, całą winę przypisując osobom, które na otyłość cierpią. Poza tym, nawet jeśli pacjent trafi do lekarza, nie ma gwarancji, że jego choroba nie zostanie zbagatelizowana. Średnie opóźnienie diagnostyczne wynosi w przypadku otyłości 5 lat. I wreszcie, jak mówią eksperci, jest to choroba całkowicie przezroczysta dla systemu opieki zdrowotnej. Jej rozpoznanie wcale nie oznacza rozpoczęcia leczenia.

Świat do zmiany

– Wyobraźmy sobie, że nikt nie leczy większości chorych na raka. Albo nie zajmuje się 99 procentami przypadków wad zastawkowych serca. A tak właśnie jest z otyłością. Jest to absolutnie niezrozumiałe i nieakceptowalne. Zgodnie z moim doświadczeniem, nawet jeśli choroba po tych 5 latach zostanie wpisana do dokumentacji medycznej, to nadal jest niedostrzegana przez lekarza. Bo co ma zrobić specjalista w sytuacji, kiedy rozpozna chorobę otyłościową? Dokąd skierować pacjenta? Niestety nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie – ubolewa dr hab. n. med. Mariusz Wyleżoł, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Leczenia Otyłości.

Odpowiedzi na to pytanie nie daje system ochrony zdrowia. – Dziecko, które zachoruje na otyłość, samo nigdy nie wyzdrowieje. Nawet jeśli rozwój choroby jest zależny od czynników zewnętrznych, sposobu żywienia czy też stylu życia, nie jest wyborem jednostki. Jest efektem tego, jak ukształtowaliśmy świat. I my

WOJCIECH SURDZIEL / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zajęcia w basenie rehabilitacyjnym dla dzieci z nadwagą w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.

musimy ten świat zmienić – przekonuje prezes elekt PTLO.

Rękawicę podjął Instytut Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego i utworzone w jego ramach Partnerstwo na rzecz Profilaktyki i Leczenia Otyłości. Pierwszy krok to przegląd polityki społecznej 13 państw, które wdrażały programy przeciwdziałania otyłości. To dało podwaliny pod założenia do krajowego planu redukcji otyłości. Dlaczego w dokumencie nie uwzględniono dotychczas realizowanych programów krajowych?

W Polsce dwa nadrzędne dokumenty przygotowane przez Ministerstwo Zdrowia to strategia „Zdrowa Przyszłość" oraz Narodowy Program Zdrowia, którego jednym z kilku celów strategicznych jest profilaktyka nadwagi i otyłości. Działania, które można nazwać profilaktycznymi, podejmuje też MEN, Resort Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Ministerstwo Sportu i Turystyki. Kłopot w tym, że polityka państwa ma raczej charakter punktowy i toczy się od akcji do akcji. Największy zarzut dotyczy zaś tego, że nikt tych działań nie oceniania pod kątem skuteczności.

– Brakuje strategii krajowej, mechanizmów i praktyk międzysektorowych, współdziałania administracji centralnej z samorządem, mierników jakości i mechanizmów finansowania – wylicza Marta Pawłowska. – Tymczasem na świecie jest coraz więcej rozwiązań, których wyniki znajdują odzwierciedlenie w badaniach naukowych.

– Trzeba szukać rozwiązań sprawdzonych. Eksperymentowanie pochłonie nie tylko ogrom środków i zasobów ludzkich, których w systemie ochrony zdrowia brakuje, ale przede wszystkim czas. Statystyki otyłości i nadwagi pokazują, że gonimy Europę Zachodnią czy Stany Zjednoczone, a chcemy przecież tę gonitwę skutecznie przerwać – dodaje dr n. ekon. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego.

Styl życia 2.0

Eksperci z Łazarskiego wzięli pod lupę rozwiązania wzorcowe – z Francji, Portugalii, Wielkiej Brytanii, Danii czy Czech. Największą inspiracją stały się jednak działania Hiszpanii. W czerwcu 2022 r. tamtejszy rząd opublikował Narodową Strategię Redukcji Otyłości Dziecięcej, w której realizację zaangażowało się 15 ministerstw, 18 towarzystw naukowych, 13 organizacji pozarządowych oraz 25 podmiotów sektora biznesowego. Mimo że idea wyszła od organizacji pozarządowej, fundacji założonej przez koszykarzy NBA, braci Gasol, została opracowana i przyjęta na najwyższych szczeblach rządowych. Unikatowość polityki hiszpańskiej polega na tym, że dotyka wszystkich aspektów działalności człowieka. Pozornie Ministerstwo Infrastruktury ma niewiele wspólnego z przeciwdziałaniem otyłości, tymczasem w Hiszpanii wszystkie nowe i rewitalizowane obiekty użyteczności publicznej, takie jak boiska, place zabaw czy inne tereny rekreacyjne, mają mieć stały dostęp do wody pitnej. Poza tym nowe i remontowane szkoły muszą być zaprojektowane w taki sposób, by przyległe tereny zachęcały do aktywności. Wszystko po to, aby dzieci w mniejszym stopniu sięgały po napoje słodzone i więcej się ruszały.

Podobne myślenie przyświecało autorom polskiej strategii „Stop Otyłości". Jej obszary działania to: rodzina, edukacja, zdrowie, sport i odpoczynek, kultura i media, biznes i praca oraz infrastruktura. Interwencje na każdym z wymienionych pól zaplanowano na trzy dekady, przy czym podczas pierwszych 10 lat dotyczyć mają przede wszystkim dzieci i młodzieży. Całość działań, jak wyjaśnia Marta Pawłowska, ma zaowocować cywilizacyjną zmianą stylu życia 2.0.

– Cywilizacyjną, czyli ewolucyjną i pozytywną. Nie ma jednej słusznej kultury, nikt nie będzie nikogo namawiał do fanatyzmu. W proponowanej zmianie nie ma miejsca na dyskryminację lub stygmatyzację zachowań czy ludzi – mówi współautorka strategii. I wyjaśnia, że określenie „cywilizacyjna zmiana stylu życia" historycznie odnosi się do lat 50. i 60. XX wieku i krajów wysoko rozwiniętych, w których zmienił się globalnie styl życia. – Spadło zainteresowanie lokalną i tradycyjną żywnością na rzecz produktów dostępnych globalnie i na korzyść żywności przetworzonej. Co więcej, stracono zainteresowanie żywnością z wysoką zawartością błonnika i węglowodanów złożonych, zastępując ↦

TYGODNIK POWSZECHNY

Odpoczynek wypełniony sensem

62 dni nieograniczonego dostępu

6 ZŁ ZA TYDZIEŃ

gdziekolwiek pojedziesz, masz ciągły dostęp do nowych Tygodników

49,90 zł zamiast ~~80~~ zł

Kup na powszech.net/lato

WIĘCEJ INFORMACJI

OFERTA WAŻNA DO 31 SIERPNIA 2024

Lato z „Tygodnikiem"

↦ ją żywnością z dużą zawartością cukru, soli, tłuszczu i białka zwierzęcego. Zmienił się również styl życia na korzyść tzw. trzech foteli – w domu, w pracy albo w szkole i w samochodzie. Konsekwencją tamtego przejścia jest pandemia otyłości i chorób cywilizacyjnych – mówi ekspertka.

Dziś procesy te trzeba odwrócić. Badania pokazują np., że 55 proc. polskich drugoklasistów dociera na zajęcia dowożona od drzwi do drzwi. W ten sposób dzieci tracą okazję do spontanicznego ruchu. – Warto szukać rozwiązań takich, jakie stosują np. Włosi: dzieci dowożone są do umówionego punktu, a później pod opieką idą dwa kilometry do szkoły – podpowiada Pawłowska.

Niezbędne jest też zwiększenie liczby godzin wychowania fizycznego. Ubiegłoroczny raport warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego nie pozostawia złudzeń. 88 proc. uczniów klas 1-3 szkół podstawowych nie potrafi prawidłowo wykonać przewrotu w przód, a 57 proc. – skakać przez skakankę. Według badania, ledwie 6 proc. dzieci ma wystarczający poziom aktywności fizycznej w tygodniu. Wśród starszych uczniów podstawówek wcale nie jest lepiej – 74 proc. uczniów klas 4-6 nie jest w stanie prawidłowo kozłować piłką do koszykówki. Na te problemy również jest odpowiedź. Np. we Francji, gdzie wdrożono tzw. plan na środę, który zakłada przy udziale klubów i znanych sportowców zajęcia sportowe przez niemal cały dzień. Dodatkowo wszystkie tereny i sale sportowe muszą być bezpłatnie dostępne dla dzieci i młodzieży oraz rodzin do godziny 22.

Warto też wykorzystywać regionalne produkty i tradycyjne smaki. W szkołach we Francji, Wielkiej Brytanii czy właśnie Hiszpanii w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego znani kucharze czy lokalni restauratorzy pokazują dzieciom, jak dobierać produkty, jak komponować smaki i jak zdrowo oraz smacznie gotować.

Stop otyłości

Autorzy zapowiadanego raportu nie mają złudzeń: strategia musi doczekać się ustawy. Choć nie ma też co liczyć na to, że odgórne narzucenie choćby najlepszych rozwiązań przyniesie dobre skutki bez przygotowania lokalnych planów i scedowania odpowiedzialności na samorządy, za czym muszą pójść pieniądze. Kolejny punkt to partnerstwo publiczno-prywatne. Przytoczone wcześniej przykłady pokazują, że włączenie podmiotów np. gastronomicznych czy sportowych może przynieść bardzo dobre rezultaty i znacznie poprawić ofertę edukacyjną.

Osobny rozdział to system ochrony zdrowia, który powinien uwzględniać potrzeby pacjentów chorych na otyłość. Oznacza to refundację skutecznych leków, zapewnienie dostępu do porad dietetycznych i psychologicznych, ustanowienie leczenia otyłości osobną dziedziną medycyny i przede wszystkim zainteresowanie lekarzy standardami leczenia tej choroby.

Żeby nie popełniać dotychczasowych błędów, wyniki zaplanowanych interwencji powinny być mierzalne zarówno w horyzoncie krótko-, jak i długookresowym. Stąd propozycje wskaźników, za pomocą których będzie można zweryfikować skuteczność działań.

Przykładowe wskaźniki to np. liczba placówek oświatowych objętych standardem zdrowej szkoły, liczba psychologów szkolnych w przeliczeniu na 10 tys. uczniów, odsetek szkół z zapleczem gastronomicznym czy dostępność obiektów sportowych i rekreacyjnych w promieniu 2 km od miejsca zamieszkania dzieci i młodzieży w wieku szkolnym. Ale też choćby liczba ośrodków opieki nad pacjentami z otyłością, rodzin o niskim statusie materialnym objętych dopłatami do zdrowej żywności, zrealizowanych na poziomie krajowym kampanii edukacyjnych, godzin aktywności fizycznej w podstawie programowej i poza podstawą, czy osób do 18. roku życia korzystających z darmowego dostępu do obiektów sportowych.

Raport zawierający zarys strategii „Stop Otyłości" ma trafić do decydentów. Pozostanie przekonać do niej polityków, naukowców, biznes i społeczeństwo. – Musimy sprawić sobie wygodne buty, bo przed nami długa droga – podsumowuje Marta Pawłowska. – Koncepcja planu strategicznego to pierwszy krok. Przed nami pewnie tysiąc kolejnych.

© JERZY DZIEKOŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński

Modne i niemodne bzdury

Informacja, że prof. Konrad Szaciłowski, chemik z krakowskiej AGH, opublikował na łamach prestiżowych teologicznych periodyków kilka tekstów celowo pozbawionych merytorycznej wartości, wywołała słuszne poruszenie. Artykuły Szaciłowskiego, inkrustowane podniośle brzmiącymi komunałami, poświęcone m.in. zamiłowaniu Jana Pawła II do zapałek, nie tylko napisane zostały w sposób zamierzenie bełkotliwy, ale i opatrzone nazwiskiem nieistniejącego współautora („Kapela Pilaka, fizyk z Turkmenistanu"). Teolodzy-redaktorzy oraz teolodzy-recenzenci ani nie zwrócili uwagi na pozbawioną sensu treść, ani też nie sprawdzili, kto ją właściwie firmuje. Wszystko więc poszło gładko do druku, prowokacja się udała, a po mediach społecznościowych przetoczyła się fala oburzenia przemieszanego z wesołością.

Kontekst sprawy, o której na łamach „TP" pisał Artur Sporniak, jest również polityczny, sięga poprzednich rządów, w szczególności decyzji ministra Czarnka, który pismom teologicznym przyznał wysoką zdolność punktową. Argumentował przy tym, że teologia to poważna dziedzina i na taką zdolność zasługuje. No więc, proszę bardzo – komentowano, kiedy prowokacja wyszła na jaw – Szaciłowski tę „powagę" w całej okazałości odsłonił. Z jakąkolwiek rzetelnością nie ma to nic wspólnego, a w ogóle należy teologię z uniwersytetów usunąć. Że wciąż tam jeszcze się gnieździ – to wyłącznie wyraz atawistycznych polskich uniżeń względem Kościoła.

Co do punktacji Czarnka – trudno się nie zgodzić, że była to decyzja, delikatnie mówiąc, niemerytoryczna. Ale obecność teologii na uniwersytetach jest zagadnieniem na osobne rozważania, dość powiedzieć, że nie jest to ani polska, ani katolicka specjalność. Kto nie wierzy (*nomen omen*), niech sprawdzi, na ilu światowych uczelniach istnieją takie katedry oraz jak sprawa wygląda w perspektywie historycznej. W sprawie prowokacji Szaciłowskiego zaintrygowały mnie jednak inne kwestie.

Jak wspomniałem, równolegle z oburzeniem manifestowano w mediach społecznościowych intensywną wesołość, słusznie wykpiwając teologiczną nowomowę udatnie symulowaną w podłożonych esejach. Otóż w gronie osób najgłośniej się śmiejących z tego pojęciowego i metodologicznego miszmaszu znajdowali się przedstawiciele rozmaitych zaangażowanych nurtów humanistyki, spod znaku tych albo tamtych *studies*, niektórych nurtów socjologii, kulturoznawstwa czy literaturoznawstwa. W szczególności, korzystający w swojej twórczej pracy z dekonstrukcjonizmu, psychoanalizy, marksizmu, intersekcjonalizmu i podobnych narzędzi hermeneutycznych.

Tyle że warto przy okazji wspomnieć o innych podobnych intrygach, nie jest to bowiem żaden precedens. Intrygach równie udanych i nawet jeszcze bardziej spektakularnych, a dotyczących tych właśnie dziedzin, których przedstawiciele tak się radują z blamażu teologii.

Chyba najgłośniejszą zorganizował amerykański fizyk i matematyk Alan Sokal, który w 1996 r. na łamach czasopisma kulturoznawczego „Social Text" opublikował artykuł pod tytułem „Transgressing The Boundaries: Towards a Transformative Hermeneutics of Quantum Gravity" („Przekraczanie granic: w stronę transformacyjnej hermeneutyki grawitacji kwantowej"). W tym uczenie brzmiącym eseju – który skądinąd spotkał się z przyjęciem więcej niż entuzjastycznym – Sokal wirtuozersko zmiksował charakterystyczny humanistyczny żargon z terminologią naukową i pseudonaukową. W szczególności przedstawiał zdeprecjonowany przez biologię koncept pola morfogenetycznego autorstwa Ruperta Sheldrake'a jako potencjalną podstawę teorii grawitacji kwantowej. Wywodził także o progresywnych walorach mechaniki kwantowej oraz przekonywał, że idea obiektywnie istniejącego świata jest konstruktem społecznym i pochodną intelektualnej hegemonii Zachodu. Afera zatoczyła międzynarodowe kręgi, a w 1997 r. Sokal, wraz z Jeanem Bricmontem, wydał książkę pod chwytliwym tytułem „Modne bzdury", w której pogłębił krytykę różnych lewicowych konstruktywizmów uprawianych na styku socjologii, kulturoznawstwa czy filozofii nauki.

20 lat później podobny eksperyment, choć na jeszcze większą skalę, przeprowadzili wspólnie filozof Peter Boghossian, matematyk James A. Lindsay i literaturoznawczyni Helen Pluckrose. Stworzyli oni serię artykułów zawierających absurdalne rozważania ubrane w charakterystyczny dla zaangażowanej humanistyki kostium pojęciowy i rozesłali je do liczących się periodyków z zakresu m.in. *gender studies*, *postcolonial studies* czy *fat studies*. Kiedy w 2018 r. sprawa została ujawniona przez „Wall Street Journal", sytuacja przedstawiała się następująco: cztery teksty opublikowano, sześć odrzucono, trzy czekały na publikację, a pozostałych siedem wciąż było u recenzentów.

Jaki z tego wniosek? Taki mianowicie, że prymat słuszności i poprawności nad rzetelnością zawsze wiedzie na manowce, a hermetyczność i uczoność dyskursu skrywają niekiedy pustkę. I taki jeszcze, że u tych, którzy najgłośniej śmieją się z innych, również bywa wesoło, a czasami nawet weselej. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

Ks. Adam Boniecki odpowiada

Oto pierwsze odpowiedzi księdza Bonieckiego na Państwa pytania.

PANI LUCYNA, pracuje w bibliotece publicznej w Wielkopolsce:
Czy wraca Ksiądz do książek przeczytanych w dzieciństwie? Jakie książki Ksiądz czytał?

KS. ADAM BONIECKI: „Duch puszczy. Opowiadanie z borów amerykańskich" Roberta Montgomery'ego Birda. Zachwyciłem się nią, być może dlatego, że to była pierwsza książka, którą samodzielnie przeczytałem. Wróciłem do niej ostatnio i odkryłem, że jest dość kiepska.

Pamiętam, że po przeczytaniu „O krasnoludkach i sierotce Marysi" zazdrościłem Marii Konopnickiej wyobraźni. Wrażenie zrobiło na mnie też znalezione w biblioteczce mojego dziadka Adama Bonieckiego opowiadanie Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony".

MICHAEL SCHUDRICH, naczelny rabin Polski, religioznawca, historyk:
Gdzie mam szukać odwagi i siły, by dalej głosić prawdę, podczas gdy tak wielu ludzi nie jest zainteresowanych usłyszeniem jej?

KS. ADAM BONIECKI: Ludzi oddanych prawdzie jest więcej, niż nam się wydaje. Rabinie, jest Was wielu.

KATARZYNA KUBISIOWSKA, dziennikarka, pisarka literatury faktu:
Za co tak lubisz wiersze Gałczyńskiego i który jest Ci szczególnie bliski?

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki i Anna Goc w redakcji „TP", Kraków, 28 czerwca 2024 r.

KS. ADAM BONIECKI: „Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich".

(*Mówi z pamięci*) „Ziemia i niebo przemijają, /chwieją się fundamenty światów, / ostatni slogan snuje pająk. / Vanitas vanitatum (...)".

Wiersze Gałczyńskiego pokazał mi kolega ze szkoły na Bielanach. Były drukowane zwykle w gazetach, do dziś mam pierwszy wydany zbiór poezji Gałczyńskiego. Cóż... kiedyś czytało się poezję i uczyło się wierszy na pamięć.

PANI AGNIESZKA jest Dolnoślązaczką, napisała, że jej „Tato był miejscowym Niemcem, wyznania ewangelicko-augsburskiego". „I co równie ważne jak moje miejsce zamieszkania – jestem kundlem. Tak lata temu nazwał mnie jeden z księży, co wtedy sprawiło mi ból, ale dziś jest powodem do dumy, bo przecież wszyscy wiemy, przedstawiciele szlachetnie mieszanej rasy psów to najlepsi na świecie przyjaciele". Stąd pytanie:
„Zdarzało mi się, że niektórzy używali mojego pochodzenia jako obelgi i wiele lat zajęło mi uodpornienie się na to. Wychowywanie się w domu mieszanym religijnie daje mi jednak pewną szerszą perspektywę np. w kwestii odchodzenia ludzi z Kościoła. Zatem jako kundel narodowo-religijny chciałabym spytać Księdza Redaktora, czy jego zdaniem ekumenizm jest dla współczesnego Kościoła katolickiego szansą, czy zagrożeniem?".

KS. ADAM BONIECKI: Jest szansą, jeśli jest dobrze rozumiany, czyli z pokorą. Ekumenizm jest poszukiwaniem prawdy o Bogu. Pan Bóg jest inny, niż to sobie wyobrażamy. Warto z uwagą słuchać innych wyznań chrześcijańskich, bo one pokazują, co mogliśmy zgubić po drodze, co umniejszyliśmy albo co źle zrozumieliśmy.

PROF. BOGDAN DE BARBARO, psychiatra i psychoterapeuta:
Proszę o opowieść o zabawnym wydarzeniu z czasu, gdy byłeś generałem zakonu marianów.

KS. ADAM BONIECKI: Z generalstwa nie mam żadnych zabawnych historii do opowiedzenia...

Może poza tym, że na kapitułę, która wybierała nowego generała, pojechałem bez sutanny, stroju odświętnego. A nowo wybrany generał powinien pokazać się w sutannie. Więc mam dość zabawne zdjęcie pamiątkowe z tamtej kapituły – jestem zupełnie zaskoczony, co widać także po stroju.

©℗ Opracowała ANNA GOC

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

90. BONIECKI

zapytaj Adama

Ks. Adam Boniecki obchodzi w lipcu dziewięćdziesiąte urodziny

Poprosiliśmy redaktora seniora naszego pisma, żeby przy tej okazji zrobił nam wszystkim prezent i odpowiedział na kilka pytań. Nie naszych – Twoich.

Żeby je zadać, napisz na: zapytajAdama@tygodnikpowszechny.pl
W treści maila powinno znajdować się oczywiście pytanie do Jubilata, ale i kilka słów o Tobie. Wybrane pytania i odpowiedzi na nie przeczytacie na www.TygodnikPowszechny.pl | **Jubilat czeka na pytania do 10 lipca 2024 r.! Nie zwlekaj!**

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 27/2024

Poznań. Lato w mieście

Latem tylko do Poznania

AGNIESZKA NAWROCKA

Kulturalne wakacje w Poznaniu? Lepszego kierunku nie można sobie wymarzyć!

Na fanów i fanki muzyki czekają festiwale: Blue Summer Jazz, hiphopowy Summerland czy Rockowizna, a na miłośników klasyki Letnia Scena Akademii Muzycznej czy Staromiejskie Koncerty Organowe w zabytkowej Farze. Filmy pod chmurą? Też są! Te pełnometrażowe zobaczymy w ramach cyklu Letniego Kina Plenerowego, a shorty na festiwalu Czas Letni, podczas którego nie zabraknie również muzyki i tańca. Miasto roztańczy się również na międzynarodowych warsztatach Dancing FairPlayce. Miłośników i miłośniczki zmagań poetów-performerów powinny zainteresować Ogólnopolskie Mistrzostwa Slamu Poetyckiego, a odwiedziny w stolicy Wielkopolski w towarzystwie dzieci na pewno umilą Festiwal Najmłodszych i letni program CK Zamek. A co ze sztukami wizualnymi? Warto odwiedzić otwarte tuż po remoncie Muzeum Narodowe i pokaz wideoartów reżysera Lecha Majewskiego – inspirowany twórczością Jacka Malczewskiego. Ciekawe wystawy czekają w kolejnych świeżo odnowionych przestrzeniach – Galerii Miejskiej Arsenał i Ratusza. A to tylko namiastka tego, co oferuje wakacyjny Poznań. W czasie dwóch letnich miesięcy odbędzie się prawie 700 kulturalnych wydarzeń. Jest w czym wybierać, więc zapraszamy! ©

MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Jacek Malczewski, Autoportret z muzą

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 27/2024
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
NA OKŁADCE: Poznań, Stary Rynek
Fot.: Łukasz Zandecki / B&EW

WSPÓŁPRACA:
POZnań
WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA
iks kultura poznań
kultura poznań.pl

Co zobaczyć, czego posłuchać

MICHAŁ SOWIŃSKI

MALCZEWSKI / MAJEWSKI

Od 19 lipca w Muzeum Narodowym w Poznaniu znów będzie można odwiedzić Galerię Sztuki Polskiej obejmującą zbiory od końca XVIII wieku do 1945 roku i Galerię Sztuki Współczesnej. Przestrzeń ekspozycyjna została odświeżona i przearanżowana, dzięki czemu jest więcej miejsca na same dzieła. Jak mówi Anna Borowiec, kuratorka Galerii Sztuki Współczesnej, połowę prac wymieniono na nowe, a „pomysł na podział na poszczególne części wystawy wynika z inspiracji zjawiskami lokalnymi związanymi z poznańską awangardą".
Z kolei Maria Gołąb, zastępczyni dyr. ds. naukowych Muzeum Narodowego uspokaja, że w części XIX-wiecznej klasyczne i dobrze znane dzieła sztuki wrócą na swoje miejsce. „Nowe sąsiedztwa i zmienione konteksty pozwalają inaczej wybrzmieć poszczególnym dziełom. To będzie wartość nowego otwarcia tej historycznej części" – dodaje.
Poznańskie Muzeum Narodowe dysponuje jedną z największych kolekcji dzieł Jacka Malczewskiego, które po otwarciu Galerii Sztuki Polskiej będzie można znów podziwiać. Na wielbicieli młodopolskiego malarza czeka jednak prawdziwa uczta – reżyser Lech Majewski przygotował 12 wideoartów na podstawie jego twórczości. „To nie jest ilustracja, ale rozmowa z Malczewskim o Polsce i o świecie. I próba wyjścia z leksykonu jego symboli, z wizji świata i czasu, w którym żył. Tylko taka perspektywa prowadząca do współczesności mnie interesowała", mówił reżyser jeszcze na etapie tworzenia. Z jednej strony to modernistyczne pytanie o sens dzieła sztuki i społeczną rolę artysty, z drugiej – wirujące imaginarium polskości przełomu XIX i XX wieku w interpretacji wybitnego filmowca. Spotkanie dwóch artystycznych wizji, którego nie można przegapić.

Nowe otwarcie Galerii Sztuki Polskiej, od 19.07
Pokaz wideoartów Jacek Malczewski / Lech Majewski, od 26.07
Muzeum Narodowe, Al. Marcinkowskiego 9

CZAS LETNI

Festiwal dla wszystkich, którzy cenią dobrą muzykę i kino. Wyjątkowe połączenie rozrywki i merytoryki, natury i kultury, ludzi i przestrzeni, czyli idealny sposób na niebanalne spędzanie lata w mieście. Plenerowe pokazy filmowe, koncerty, a do tego warsztaty tańca, kursy wspinaczki, a nawet parzenia japońskiej herbaty. „Program Czasu Letniego jest bogaty i każdy znajdzie w nim coś dla siebie, a stali bywalcy Short Waves Festival – innego projektu realizowanego przez nas od lat – na pewno z chęcią wrócą na seanse ze znanych im już wcześniej sekcji filmowych" – mówią organizatorzy z Fundacji Ad Arte. Z kolei muzycznie warto zwrócić szczególną uwagę na otwierający Festiwal koncert grupy Błoto. Koncertowi towarzyszyć będzie przegląd ogólnopolskiego konkursu teledysków Klip Bait. Spoza programu muzycznego i filmowego jednym z najciekawszych punktów imprezy będą warsztaty *field recording*, czyli umiejętności nagrywania fonosfery zarówno przyrody, jak i miasta.

10–14 lipca
różne lokalizacje

DAWID MAJEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Festiwal „Czas Letni", lipiec 2023 r.

MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Galeriia Sztuki Polskiej, Muzeum Narodowe w Poznaniu

ARCHIWUM PRYWATNE

Dagmara Świerkowska-Kobus, organizatorka Ogólnopolskich Mistrzostw Slamu Poetyckiego

OGÓLNOPOLSKIE MISTRZOSTWA SLAMU POETYCKIEGO

„Pojedynki poetyckie" na dobre zadomowiły się w Poznaniu. Zmagania poetów-performerów w ramach slamu odbędą się już ósmy raz. Tegoroczny program obejmuje poświęcony slamowi panel dyskusyjny, pięć dni warsztatów kreatywnego pisania, performans Pawła Harlandera, Rudki Zydel i Ptaka Piwnicznego, który w minionym roku uzyskał tytuł mistrza, oraz koncert zespołu Wizja Płynna. Dlaczego warto przyjść? Odbiorcy „mogą spodziewać się dobrych tekstów, ciekawych, emocjonujących performansów, spotkania z twórczością prezentowaną przez ludzi kierujących się nie tyle doświadczeniami edukacji literackiej czy teatralnej, co raczej własnymi przeżyciami" – mówi organizatorka i slamerka, Dagmara Świerkowska-Kobus. Uczestnicy mają szansę na pokazanie swojej twórczości w życzliwej atmosferze, bo „na slamie samo wejście na scenę jest wygraną", dodaje.

8. Ogólnopolskie Mistrzostwa Slamu Poetyckiego
27 lipca – 10 sierpnia
CK Zamek, ul. Święty Marcin 80/82
Dom Tramwajarza, ul. Słowackiego 19/21

BLUE SUMMER JAZZ FESTIVAL

Cory Henry, Adi Oasis, Jazz Band Młynarski-Masecki oraz Blue Jazz Orchestra & Paulina Przybysz – to tylko niektórzy muzycy, którzy wystąpią w ramach nowego poznańskiego festiwalu Blue Summer Jazz Festival organizowanego przez klub Blue Note przy współudziale Centrum Kultury Zamek. Impreza uzupełni muzyczną lukę po tym, jak wiosną zakończył swą historię festiwal Era Jazzu. To także świetna okazja, aby odwiedzić zjawiskowy CK Zamek.

16 lipca – 1 września
Klub Blue Note, ul. Kościuszki 79; CK Zamek, ul. Święty Marcin 80/82

M.SUROVY / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Paulina Przybysz

SUMMERLAND FESTIVAL

Swoje wielkie muzyczne święto będą też mieli w Poznaniu w te wakacje wielbiciele muzyki hiphopowej. Po wielkim sukcesie, jakim okazała się ubiegłoroczna edycja imprezy Summerland Festival, w trzeci weekend lipca odbędzie się jej kolejna odsłona. Pierwszego dnia wystąpią White 2115, Bambi, Malik Montana, Waima, Beteo, Fukaj, DJ Soina, DJ Kaki. Drugiego zaprezentują się: PRO8L3M, Otsochodzi, Kukon, Aleshen, Kinny Zimmer, Bango Balenci, DJ Soina i DJ Kaki.

19–20 lipca
Letnia Scena B17, daw. Skwer Play

KONKURS 30/30

MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Jakub Kamiński, okładka płyty „Polonez"

Do końca lipca w Galerii na Dziedzińcu Starego Browaru można oglądać wystawę dziesiątej edycji Konkursu 30/30 na najlepszą okładkę płytową. W tym roku nagrodę główną otrzymał Jakub Kamiński za okładkę płyty „Polonez" zespołu Lumpeks. Jury doceniło świeżą interpretację tradycji projektowej. „Umiejętne wykorzystanie liter, barw, światła, faktur oraz kształtów doprowadziło do stworzenia ekspresyjnej kompozycji, pełnej dynamiki, napięć i rytmów", piszą organizatorzy.

Wystawa potrwa do 31 lipca
Galeria Na Dziedzińcu Starego Browaru,
ul. Półwiejska 42

FESTIWAL NAJMŁODSZYCH

„Sztuka nie jest kwestią wieku, lecz ciekawości" – mówią organizatorzy wyjątkowej w skali kraju imprezy dla najmłodszych dzieci. Tegorocznymi tematami przewodnimi będą lot, lekkość i wszelkie latające. W programie zobaczymy spektakle teatralne oraz taneczne, a także koncerty, między innymi „Densy i Sensy" z kompozycjami i w wykonaniu Iwony Skwarek do tekstów Maliny Prześlugi oraz Potańcówka Ptasie Pary. „Bardzo ważne jest dla nas, by Festiwal był dostępny dla wszystkich dzieci, dlatego z Wilna przyjeżdża do nas znana na całym świecie produkcja »Niewidzialny świat« teatru Dansema. Spektakl pokazywany będzie w dwóch odsłonach: pierwszej – dla dzieci niewidomych i niedowidzących w wieku 1-8 lat oraz drugiej – dla osób neuroróżnorodnych w wieku 1-6 lat" – dodają organizatorzy, którzy mają nadzieję, że ich impreza wszystkim (nie tylko dzieciom!) doda skrzydeł.

4–7 lipca
Teatr Animacji i CK Zamek,
ul. Święty Marcin 80/82

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL DOBREGO SMAKU

Osią Festiwalu jest jak co roku Jarmark Dobrego Smaku, gdzie znaleźć można przysmaki z najróżniejszych regionów Polski, ale też z Węgier, Hiszpanii, Francji, Litwy czy Bliskiego Wschodu. Nie zabraknie stoisk winiarskich, kraftowych piw, ale i tradycyjnych poznańskich pyr z gzikiem czy szarych kluch. „Zadbamy o to, by nie tylko było w czym wybierać (niezwykle starannie selekcjonując wystawców), ale też by było gdzie przysiąść sącząc kieliszek wina, kraftowe piwo, kwas chlebowy czy lemoniadę, słuchając dobrej muzyki" – obiecują organizatorzy. Po raz kolejny imprezie towarzyszy Festiwal Polskich Alkoholi Rzemieślniczych – wydzielona strefa, gdzie swoje trunki prezentować będą małe, niezależne destylarnie ginu, whisky, okowit i wódek. Nie zabraknie także muzyki – „Yes Chef Band!" niemal codziennie prezentować będzie standardy jazzu i muzyki rozrywkowej w autorskich aranżacjach. We wtorek 15 sierpnia odwiedzający festiwal obejrzą występy zespołów folklorystycznych przybyłych do Poznania z okazji Światowego Festiwalu Folkloru „Integracje".

15–18 sierpnia
Plac Kolegiacki

XXIV ŚWIATOWY PRZEGLĄD FOLKLORU INTEGRACJE

Jak co roku do Poznania zjadą zespoły z całego świata, aby pokazać, czym dziś jest folklor. W tym roku oglądać będzie można zespoły ludowe z Peru, Japonii, Turcji, Czarnogóry oraz Bośni i Hercegowiny, a z Polski – Zespół Tańca Ludowego AWF „Poznań" i Studencki Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Rzeszowskiej „Połoniny". Koncerty odbędą się nie tylko w Poznaniu, ale też w Nowym Tomyślu, Wronkach, Swarzędzu, Wągrowcu, Obornikach Wielkopolskich, Czaplinku, Mirosławcu. Częścią programu będą warsztaty haftu koralikowego, a także z zakresu kultury ludowej dla dzieci i młodzieży.

9–17 sierpnia
www.festiwal.awf.poznan.pl

ROCKOWIZNA

Rockowa muzyka łącząca pokolenia, przyjazna atmosfera i najlepsza publiczność, czyli festiwal dla fanów mocnego brzmienia. W tym roku zagra aż 18 zespołów, między innymi Coma, Kult, Royal Republic, Dirty Shirt, Jelonek czy Zenek Kapusta.

22–24 sierpnia

W tekście wykorzystano fragmenty rozmów, artykułów i ilustracji z lipcowego wydania magazynu IKS. Kulturapoznan.pl.

Targowisko w Błoniu k. Warszawy. 16 września 2022 r.

ARCHITEKTURA CIENIA

ALEKSANDRA WASILKOWSKA, ARCHITEKTKA:

Wcześnie zostałam samodzielną matką. Wózek z dzieckiem i zakupami wnosiłam na trzecie piętro, w parkach nie było toalet, a w zasięgu pieszym – bazarów. Dlatego teraz buduję toalety publiczne, bazary, szkoły i place zabaw.

JACEK TARAN: Zaczęło się od budowania domu wspólnie z mamą. Czy to było dla Ciebie formujące?

ALEKSANDRA WASILKOWSKA: Tak. Jako dziecko obserwowałam mamę nadzorującą ekipy budowlane. Dużo czasu spędzałyśmy na zdobywaniu materiałów. Jako ośmiolatka założyłam klub eksplorujący opuszczone hale i budowę metra. Uwielbiałam wałęsanie się po mieście i bardzo wcześnie wiedziałam, że chcę być architektką, choć nie miałam takiej tradycji w rodzinie.

Dzisiaj eksplorujesz targowiska i bazary w poszukiwaniu życia?

Mam słabość do przestrzeni, które nie są uregulowane. Targowiska mają aurę miejsc chaotycznych i rządzących się własnymi prawami. Fascynuje mnie złożoność bazarowego świata, gdzie odbywa się nieustający performance zaradności. Bazary są uosobieniem witalności, amalgamatem różnych kultur. Handlować można nawet czymś tak ulotnym jak cień. Sprzedawcy cienia zajmują o świcie zacienione miejsca na plaży i potem je odsprzedają zainteresowanym plażowiczom.

Na bazarach się tylko handluje, czy też coś wytwarza?

Na bazarach produkuje się społeczny klej. W Azji popularną typologią architektoniczną jest tzw. *shophouse*. To wąski budynek mieszkalno-usługowy, w którym parter jest całkowicie otwarty na ulicę i stanowi centrum rodzinnego życia oraz pracy. Salon, sklep i ulica to jedność. Nikomu tam nie przeszkadza postawiony w sklepie przy ulicy grill, telewizor i kanapa. Na bazarach, szczególnie tych wielokulturowych, połączenia różnych stylów zamieszkiwania i handlowania tworzą bardzo ciekawe sytuacje.

Jakie historie dzieją się na Targowisku Bakalarska w Warszawie?

Polska jest trzecim w Europie centrum migracji wietnamskiej, Asian Town przy

NATE COOK PHOTOGRAPHY / MATERIAŁY PRASOWE

Bakalarskiej to jej nieformalne serce. Centrum bazaru jest Aleja Pazurów, przy której można zrobić sobie paznokcie. Wielu manikiurzystów to młodzi chłopcy, którzy są świetnymi fachowcami w tej branży. Ciekawostką jest fakt, że targowiskiem opiekowała się znana warszawska wiedźma. Sprawdzała, czy ważne wydarzenia odbywają się w dobrych numerologicznie i astrologicznie terminach. Nadzorowała też początki mojego projektu rozbudowy bazaru, tłumacząc mi wiele niuansów, choćby takie, że w projekcie nie należy używać liczby 2 lub 4, ponieważ w kulturze Azji te liczby przynoszą śmierć. Bazary są więc nie tylko miejscem redystrybucji towarów, ale źródłem nieustającego zdziwienia.

W Błoniu pod Warszawą jest tak samo?

Targ w Błoniu jest kameralnym targowiskiem spożywczym z dość homogeniczną społecznością drobnych przedsiębiorców i wytwórców. Zarządza nim gmina, jest więc bardziej uregulowany niż targowisko azjatyckie. Zaprojektowałam zadaszenia, toalety, pawilony na działce, która wcześniej była parkingiem. Dodałam zieleń, wodę i ogród zabaw, tak żeby ta przestrzeń była też przestrzenią publiczną, hybrydą parku i targu. Nie spotkało się to z entuzjazmem kupców, którzy woleliby więcej miejsc parkingowych zamiast drzew i zieleni. Mam nadzieję, że z czasem przyzwyczają się do tej nietypowej formy i miejsce będzie żyć także wtedy, gdy targowisko jest nieczynne. Dzięki temu z jednej przestrzeni będzie mogło korzystać więcej osób.

A co może się wydarzyć w Rzeszowie, gdzie Twoje biuro zaprojektowało duży fragment miasta z halą targową?

W planie urbanistycznym centralne miejsce zajmuje piękna hala targowa zaprojektowana w latach 50. przez Stanisława Kusia. Dziś stoi w połowie pusta, a cały handel wylał się na plac i całkowicie ją zasłonił. Chcemy przywrócić hali funkcję targową, otworzyć ją na plac i ulicę. Cały projekt obejmuje teren prawie dwunastu hektarów i tworzy strategię do powstania miejscowego planu. Na tej podstawie rozpisane będą konkursy na poszczególne budynki.

Co jest istotą tej strategii?

W tym rejonie miasta brakuje infrastruktury społecznej dla młodzieży i dzieci. Rzeszów ma ambicje przyciągnięcia studentów i młodych rodzin. Dlatego ważną częścią są akademiki i ogrody zabaw. Grupa wiekowa pomiędzy 5 a 20 lat jest przez urbanistów pomijana lub infantylizowana. Trzynastolatek nie spędza już czasu na placu zabaw dla małych dzieci i nie stać go na siedzenie w kawiarni. Nie ma więc przestrzeni publicznej w centrum miasta, w której nastolatkowie mogliby spędzać czas wolny.

Czemu to takie ważne?

Bo przestrzenią można leczyć. Parki i ogrody zabaw to nie tylko huśtawki, ale ważne miejsca dla zdrowia, kiedy są piękną przestrzenią publiczną. Za dużo w niej różnych panów na koniach z brązu, a za mało przestrzeni dla dzieci, rodziców, osób starszych. Dlatego zamiast alei wokół pomnika Piłsudskiego, który tam stoi, zaprojektowałam wielopokoleniowy plac zabaw i pomnik praw wyborczych kobiet, ale nie z brązu i granitu, lecz z wody i zieleni. Uważam, że w warstwie symbolicznej miasta kobiety i dzieci powinny zajmować więcej miejsca. Historyczne centra zdominowane są przez symbolikę związaną z władzą i wojną. A my potrzebujemy więcej placów zabaw, toalet publicznych, bazarów z tanim i zdrowym jedzeniem. Urbanistyka potrzebuje uwzględnienia perspektywy zdrowia i życia codziennego.

I to jest właśnie ta architektura cienia, o której napisałaś książkę?

Tak. Ona jest w cieniu architektury urzędów, muzeów, pałaców i wszystkiego, co jest związane z kapitałem i władzą. Interesuje mnie infrastruktura, która jest związana z doświadczaniem codzienności. Znamienne: żaden parlament na świecie nie został zaprojektowany przez kobietę.

Twierdziłaś kiedyś, że warszawiak docenia bazar dopiero, jak pojedzie do Stambułu czy Marrakeszu. U siebie się go wstydzi. Czy to się zmieniło?

O tak! Dla moich młodszych koleżanek Hala Mirowska, czyli „brzuch Warszawy", to najlepsze miejsce na mapie miasta. Młodzi kochają bazary, o czym świadczy wysyp takich inicjatyw jak „Groszowe Sprawy" czy twórczość „Franka Warzywa". Bazary, lumpeksy, szczeliny miejskie zostały przez młode pokolenie odczarowane. Nieformalność jest pożądana, nie jest już przedmiotem wstydu.

Tylko że rozmawiamy z perspektywy wielkomiejskiej. Mamy w Warszawie Halę Mirowską, w Krakowie Stary Kleparz, ale wystarczy pojechać choćby do Wieliczki, i tam to już wygląda inaczej. Tam się przyjeżdża tylko po to, żeby kupić i sprzedać, i to najpóźniej do godziny 12 czy 13. A potem nic więcej tam się nie dzieje.

Najważniejsze jest zachowanie istniejących targowisk jako źródła zdrowego i lokalnego jedzenia, bo to tworzy więzi. Jesteśmy tym, co jemy. Niestety zdrowa żywność staje się przywilejem. Radykalnie zmienia się krajobraz otaczający miasta, zmieniają się łańcuchy dostaw, jedzenie staje się coraz bardziej uprzemysłowione i ma to wpływ na nasze zdrowie. Wokół miast gospodarstwa rolne wypierane są przez hale spedycyjne i to jest problem.

Bazary przetrwają? ↦

↦ Żeby przetrwać, muszą się zmieniać. Muszą nauczyć się konkurować z paczkomatami i nową formą robienia zakupów. Muszą też konkurować z sieciami i korporacjami, które mają tanich dostawców i sposoby na przenoszenie kosztów gdzie indziej. Należy pamiętać, że bazar to jest żywy organizm, który dostosowuje się do zmiennych warunków rynku. Kupcy mają łatwość adaptowania się do zmian. Mają użyteczną cechę, którą określa się jako „gospodarkę zaradności". Są to osoby przedsiębiorcze i pomysłowe. Kupcy z Bakalarskiej przyciągają nowych klientów świetną kuchnią, festynami, usługami. Ich siła tkwi w tym, że sami mogą o sobie stanowić, nikt im nie narzuca formy handlu ani nie sprawdza, czy alejki i wystawki są równo poustawiane. Klienci głosują swoimi nogami i portfelami.

Kiedy rozmawialiśmy o Błoniu, wspomniałaś, że czekasz, co tam się wydarzy oddolnie. Jak architektura może aktywizować?

Na bazarze zaprojektowałam schodkowe wystawki, które mogą być używane jak mały amfiteatr, jest też stół społeczny i bar, posadzka jest gładka, tak aby mogły po niej jeździć dzieci na rolkach i deskorolce. Dzięki temu, że jest to bazar i park jednocześnie, może z tego miejsca skorzystać więcej osób. Architekturę można projektować tak, żeby dawała się wykorzystywać na wiele sposobów, zmienić jej funkcję, dodać nową albo rozbudować. Budynek, który przez setki lat był kościołem, za chwilę może stać się hotelem. Biurowiec może stać się akademikiem, lokum poprzemysłowe zmienić się w muzeum. Już projektując budynek pod jakąś funkcję, można myśleć o dalszej perspektywie. Cyrkularność architektury jest teraz bardzo potrzebna. To wymaga nowych kompetencji, ale też radykalnego powrotu do korzeni architektury i projektowania z materiałów, które są dostępne lokalnie, łatwe w przerabianiu i dostosowaniu do zmiennych potrzeb człowieka.

Architekci muszą się zatem nauczyć przewidywać przyszłość?

Rzeczywistość zmienia się coraz szybciej i dochodzi do marnotrawstwa; burzone są budynki zaledwie piętnastoletnie, dlatego że zostały zaprojektowane bez myślenia o ich rozbudowie lub transformacji. To ogromna strata dla środowiska. Szacuje się, że w ciągu najbliższych 25 lat w Europie wyburzy się dwa miliardy metrów kwadratowych budynków, to jest tyle, co łączna powierzchnia Warszawy, Krakowa, Poznania, Wrocławia i Gdańska. Budownictwo odpowiada dziś za prawie 40 proc. światowej emisji dwutlenku węgla. Każda rozbiórka powinna być więc ostatecznością.

ALEKSANDRA WASILKOWSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

„Aleja pazurów" w azjatyckiej hali targowej na Bakalarskiej. Warszawa, sierpień 2020 r.

poniżej: Automatyczne szalety miejskie w Warszawie, Pracownia Architektoniczna Aleksandra Wasilkowska

ALEKSANDRA WASILKOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Jak to zmienić?

Priorytetem powinny być renowacje i ponowne wykorzystanie materiałów. Bardzo dużo nauczyłam się od kupców na Bakalarskiej. Tam każda hala targowa, którą budujemy, ma przeskalowane fundamenty i startery konstrukcyjne wystające na elewacji, po to, żeby za kilka lat można było dobudować kondygnację

w bok lub do góry. Tam żaden fragment blachy falistej czy okno się nie zmarnuje. Wszystkie elementy budowlane krążą po targowisku i zawsze znajdują drugie życie. Stąd Bakalarska jest od dziesięciu lat cały czas w przebudowie. Panuje tam radykalny pragmatyzm i gospodarność. Kultura „zrób to sam" jest wpisana w naszą „gospodarkę zaradności".

Takie jest też Twoje doświadczenie?

Dość wcześnie zostałam samodzielną matką i zderzyłam się z rzeczywistością pełną barier. W parkach nie było toalet publicznych, więc dziecko przewijałam zimą na ławce. Wózek z dzieckiem i zakupami wnosiłam na trzecie piętro bez windy. W zasięgu pieszym nie było żadnych bazarów, a ostatnie warzywniaki w śródmieściu zlikwidowano tuż przed euro-remontem. Miałam duże szczęście, że niedaleko był plac zabaw, ale w śródmieściu to jest rzadkość. Jako kobieta i architektka staram się w swoich projektach o tym pamiętać. Dlatego właśnie buduję toalety publiczne, bazary, szkoły i place zabaw. Chciałabym choć w niewielkim stopniu uzupełnić tę lukę.

Mało jest kobiet w tym zawodzie.

Tych na świeczniku jest mało, co nie oznacza, że ich w zawodzie nie ma. Wręcz przeciwnie, ponad połowa osób studiujących na wydziałach architektury to dziewczyny, ale już profesorek jest zdecydowanie mniej niż profesorów. Niestety wciąż kobietom jest trudniej przebić się w tym zawodzie, zdobywać zamówienia, łączyć pracę opiekuńczą z pracą zawodową albo po prostu przebijać się przez stereotypy. Ale jest kilka silnych polskich architektek, jak Jadwiga Grabowska-Hawrylak, Halina Skibniewska, Ewa Kuryłowicz, Iwona Buczkowska, Magdalena Staniszkis, Ewa Porębska, i coraz więcej młodych przebojowych specjalistek. Mam nadzieję, że one będą radykalnie zmieniać nasze środowisko i sposób budowania.

Architektura też ma być feministyczna?

Architektura feministyczna chce przede wszystkim uwzględnić potrzeby dotychczas marginalizowane. Potrzeby kobiet, starszych, dzieci, migrantów, flory i fauny. W Błoniu najcięższy bój stoczyłam o zieleń, której wiele osób tam nie chciało. Na niewielkim terenie udało się posadzić ponad 400 drzew i krzewów. Wkrótce wyrośnie tam spory park, który będzie naturalnie schładzać plac. Już teraz w dni wolne od targu, czyli przez połowę tygodnia, z tego miejsca korzysta masa ptaków i owadów. Jest to jedyne miejsce w okolicy, gdzie mogą się napić wody. Wody z dachów nie wrzucamy do kanalizacji deszczowej, ale magazynujemy w ogrodach deszczowych, nieckach i misach retencyjnych. Ważna jest też dominująca biel i jasne materiały.

JACEK TARAN

ALEKSANDRA WASILKOWSKA jest architektką pracującą na pograniczu urbanistyki, architektury, scenografii i sztuki. Zajmuje się projektami bazarów, toalet publicznych, parków, wystaw, budynków edukacji i kultury oraz strategii miejskich. Ostatnio Projekt Targ Błonie autorstwa jej pracowni otrzymał nagrodę Grand Prix „Polityki" oraz znalazł się na krótkiej liście nagrody EU Mies Van Der Rohe. Wasilkowska jest również autorką scenografii, kostiumów i wystaw, a także cyklu książek „Architektury Cienia", w których bada hybrydalny i oddolny potencjał miasta.

Dlaczego?

Świeży biały śnieg ma najwyższe albedo, czyli najlepiej odbija promienie słoneczne. Białe dachy, place czy budynki ogrzewają się o trzy stopnie mniej niż budynki w ciemnych barwach. W czasie upałów białe dachy mają funkcję pasywnego chłodzenia, są więc najlepsze do ograniczania zmian klimatu. Z tego powodu niektóre miasta na globalnym południu mają ustawowo białe dachy. Projektowanie jasnych budynków jest oszczędnością i poprawia mikroklimat. Trzeba tylko uważać, ponieważ w niektórych kulturach Azji biel oznacza żałobę.

Toalety, bazary... A co z cmentarzami w miastach?

W krajach zsekularyzowanych, takich jak Dania, cmentarze położone w centrach miast otwiera się jako parki, w których między nagrobkami i drzewami można po prostu leżeć na kocu i czytać książkę. Ciepło z krematorium bywa wykorzystywane do ogrzewania dzielnic. W Berlinie stary dziecięcy cmentarz przy Prenzlauer Berg otworzono jako ogród zabaw. Bardzo lubię to miejsce i zawsze je odwiedzam z dziećmi i moją przyjaciółką, która nieopodal mieszka.

Stare nekropolie potrafiliśmy jakoś oswoić. Myślę, że już często traktujemy je jak miejsca spacerów. Ale co z nowymi?

Funkcjonujemy w społeczeństwach wielokulturowych. A na przykład mniejszość wietnamska w Polsce nie ma swojego cmentarza i zmarłych wysyła do Wietnamu. Myślę, że tradycja pochówków będzie ewoluować i będą powstawać cmentarze wielowyznaniowe, które oferować będą odpowiednie warunki dla rytuałów różnych religii. Będzie też powstawać coraz więcej grobów cyfrowych i cmentarzy w chmurze, a ze względu na brak miejsca kolumbaria pojawią się w parkach.

Co ciekawego dzieje się teraz w architekturze? Dostrzegasz zjawiska warte promowania?

Dobra współczesna architektura chce być przede wszystkim etyczna, niekoniecznie klasycznie piękna. Jednym z moich ostatnich odkryć jest belgijski architekt Marcel Raymaekers, który był pionierem budownictwa cyrkularnego. Na przestrzeni lat zbierał setki odpadów antycznych budowli, odpadów z wyburzeń i rozbiórek, i z tych niechcianych materiałów zbudował ponad 150 domów w różnych zakątkach Europy. Te budynki przypominają domy-samoróbki, jakie znamy z polskich wsi i przedmieść, sklecone z tego, co akurat było pod ręką. Raymaekers nie miał ani uprawnień, ani pozwoleń, budował w szarej strefie, co doprowadziło go do bankructwa. Ale jego historia stawia ważne pytania o to, kto ma prawo budować dom i co robić, żeby architektura była bardziej dostępna.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

WIARA

JESTEŚMY GOTOWI

JAKUB PANKOWIAK:

Nie zastanawiam się nad tym, jak będę się czuł, stojąc przed tak dużą grupą biskupów. Jeszcze kilka lat temu spotkanie z episkopatem na Jasnej Górze mogłoby być dla mnie zbyt trudne.

ANNA GOC: Będzie Pan w delegacji skrzywdzonych, która w listopadzie spotka się z biskupami na Jasnej Górze?

JAKUB PANKOWIAK: Wstępnie ustaliliśmy, że nasza trójka, czyli inicjatorzy listu skrzywdzonych – Tośka Szewczyk, Robert Fidura i ja – weźmiemy udział w zebraniu plenarnym KEP.

Spotkanie to jest Waszą inicjatywą, na którą przystali biskupi. Jak je sobie wyobrażacie?

Szczegóły spotkania i jego przebieg będziemy chcieli wypracować z ks. Piotrem Studnickim, kierownikiem biura delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży. Obie strony muszą czuć się partnerami, jedna nie może dominować nad drugą. Spotkanie trzeba dobrze przygotować, także po to, żeby nie było pierwszym i ostatnim. Zależy nam na tym, by rozmowa była moderowana, chcemy mieć wpływ na wybór moderatora. To powinna być osoba, której jako pokrzywdzeni możemy zaufać. Ktoś, kto będzie reagował, jeśli coś pójdzie nie tak.

Co może pójść nie tak?

Dotąd nasze spotkania z niektórymi biskupami miały podobny scenariusz – my, jako osoby skrzywdzone wykorzystaniem seksualnym w Kościele, czuliśmy, że najpierw powinniśmy opowiedzieć nasze historie, krzywdę, która nas spotkała. Jakoś się uwiarygodnić. Niektórzy z nas robili to wiele razy.

I ja, i Tośka, i Robert opowiedzieliśmy nasze historie publicznie już jakiś czas temu. Przepracowaliśmy je. Teraz jesteśmy gotowi, żeby spotkać się z episkopatem.

Gotowi – w jakim sensie?

Nie zastanawiam się na przykład nad tym, jak będę się czuł, stojąc przed tak dużą grupą biskupów. Jeszcze kilka lat temu rozmowa z biskupami na Jasnej Górze mogłaby być dla mnie zbyt trudna.

Dlatego pomyśleliśmy, że nasza trójka będzie najbezpieczniejszą delegacją. Jesteśmy już trochę weteranami w rozmowach na trudne dla nas tematy. W tym sensie jesteśmy gotowi. Tak przynajmniej myślę, ale jak będziemy się tam czuli – trudno to przewidzieć.

Chcemy skupić się na naszych postulatach i na tym, jak doprowadzić je do realizacji.

Po raz pierwszy delegacja pokrzywdzonych spotka się z wszystkimi biskupami. Dlaczego to spotkanie jest dla Was ważne?

Mamy takie doświadczenia, że bezpośrednie spotkanie z człowiekiem zmienia o wiele więcej niż postulaty, listy, artykuły. Każde z nas rozmawiało z biskupami, spośród których nie wszyscy byli od początku przekonani do tego, że warto nam zaufać i działać na naszą rzecz, a po spotkaniu otwierali się na to. Wiemy, że w tych biskupach mamy sojuszników. To zaledwie kilka osób, ale starają się zrozumieć naszą sytuację i próbują ją z nami zmieniać.

Podkreślacie, że chcecie wysłuchać także biskupów. Zrozumieć ich perspektywę – czyli?

Będą tam biskupi, którzy w świadomy sposób źle traktowali pokrzywdzonych. Nie chcę im tego wykrzyczeć ani ich oceniać, ale chciałbym usłyszeć od nich, dlaczego tak postępowali. Publicznie nigdy tego nam nie wyjaśnili.

Jako grupa pokrzywdzonych postulujemy, by abp. Tadeusza Wojdy, przewodniczącego KEP, nie było na spotkaniu 19 listopada. Jeśli jednak będzie, chciałbym go zapytać, dlaczego w taki sposób potraktował dwie kobiety z archidiecezji gdańskiej, które próbowały zgłosić wykorzystanie seksualne przez księdza.

Z relacji kobiet wynika m.in., że ich zeznania zostały niewłaściwie zaprotokołowane przez delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży – były w nich przeinaczenia i manipulacje. Abp Wojda, który był w tym czasie metropolitą gdańskim, miał nie odpisać na listy kobiet. Także na ten, w którym jedna z nich wyznała, że nie była w stanie powiedzieć w kurii o wszystkim, czego doświadczyła ze strony księdza. I że jest gotowa uzupełnić swoje zeznania.

Nawet jeśli abp Wojda nie złamał prawa, to jego zachowanie – o czym mó-

ADAM CIEREŚZKO / AFP / EAST NEWS

wią kobiety – było dla nich krzywdzące. Chciałbym więc zapytać i usłyszeć odpowiedź: dlaczego tak je potraktował?

Odsunięcie abp. Tadeusza Wojdy z funkcji przewodniczącego KEP było pierwszym postulatem w liście, który wysłaliście Radzie Stałej KEP. W odpowiedzi biskupów pojawia się informacja, że abp Wojda „zwrócił się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zbadanie stawianych mu zarzutów zaniedbań".

Sporo osób pokrzywdzonych oczekuje, że nasz postulat – zawieszenia abp. Wojdy w pełnieniu obowiązków przewodniczącego KEP do czasu wyjaśnienia stawianych mu zarzutów – zostanie spełniony. Nie mogą tego zrobić biskupi, ale sam abp Wojda może podjąć taką decyzję, więc nie jest to postulat niewykonalny.

Chcemy też wiedzieć, w jaki sposób zarzuty, które są formułowane pod jego adresem, będą wyjaśniane. Mamy nadzieję, że postępowanie nie będzie prowadzone tylko na podstawie dokumentów, które abp Wojda wysłał Stolicy Apostolskiej. Ważne, żeby osoby pokrzywdzone zostały przesłuchane.

Do czasu wyjaśnienia sprawy – jak w przypadku każdej osoby, która pełni ważną funkcję publiczną i wobec której prowadzone są podobne czynności – oczekiwalibyśmy, że nie będzie brać udziału w życiu publicznym.

Skoro część sygnatariuszy nie chce obecności abp. Wojdy na spotkaniu z pokrzywdzonymi, delegacja i tak spotka się z biskupami mimo jego obecności?

Gdy będziemy omawiać koncepcję spotkania z delegatem KEP, na pewno zaproponujemy spotkanie bez abp. Wojdy, uwzględniając postulaty części pokrzywdzonych.

Jeśli okaże się, że nie ma możliwości spotkania bez przewodniczącego KEP, ↦

JAKUB PANKOWIAK – doktor sztuk muzycznych, wykładowca Akademii Muzycznej w Poznaniu. Studiował także na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie i w Musikhochschule Lübeck. Laureat wielu konkursów w Polsce i za granicą. Uhonorowany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej" (2017). Był jednym z bohaterów filmu dokumentalnego braci Sekielskich „Zabawa w chowanego".

Na zdjęciu: Poznań, 4 lipca 2020 r.

↦ nie będziemy odwoływać naszej obecności. Spotkanie nie jest zagrożone.

Mówi Pan, że spotkanie na Jasnej Górze może uwrażliwić biskupów, zmienić ich podejście do osób pokrzywdzonych. Jednak dyskusja, w której wypowiadają się pokrzywdzeni, a także specjaliści, psychoterapeuci, trwa od wielu lat. Może się z nią zapoznać każdy, także biskupi.

Jeżeli punktem wyjścia uczynimy to, że przez wiele lat dochodziło do zaniedbań i biskupi nic z tym nie robili, zaczynali działać dopiero pod presją mediów, prawdopodobnie w tym miejscu zostaniemy. Choć sporo w tym jest prawdy, jak pokazują choćby nasze historie.

Można mieć pretensje i nawet trzeba mieć pretensje, bo to Kościół powinien jako pierwszy szukać rozwiązań.

Chcemy jednak pójść dalej i zacząć rozmowę. Przez te kilkanaście lat sporo się wydarzyło: abp Wojciech Polak został delegatem KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży, powstała Fundacja Świętego Józefa, są też biskupi, którzy coraz lepiej rozumieją naszą sytuację i coraz chętniej i częściej spotykają się z nami, by wspólnie działać na rzecz praw osób pokrzywdzonych.

Który z postulatów jest dla Pana najważniejszy?

Wprowadzenie zmian w prawie kanonicznym, które sprawią, że jako pokrzywdzeni będziemy mieli status strony, a nie jak dotąd świadka we własnych sprawach.

Grupa skrzywdzonych z Polski w porozumieniu z biskupami ma zgłosić w czasie Synodu propozycję zmian prawa kanonicznego. Czy uważacie, że ten głos ma szansę się przebić?

Członkowie Rady Stałej KEP poprosili, żebyśmy przesłali nasze postulaty mailem na adres sekretariatu KEP. Pracujemy nad nimi z kanonistami, chcemy wyjść z konkretnymi i doprecyzowanymi rozwiązaniami. Na pewno wysłanie mailem to za mało, powinniśmy się spotkać także z delegacją synodalną, by szczegółowo nasze propozycje omówić.

Biskupi, którzy będą na październikowym posiedzeniu Synodu Biskupów, mają przedstawić nasze postulaty zmian w prawie i je poprzeć. W swoim liście zaznaczyli, że w harmonogramie prac synodalnych jest zaplanowana dyskusja o zmianie prawa kanonicznego w odniesieniu do osób pokrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym w Kościele. Synod jest jednak miejscem, w którym przedstawia się setki pomysłów. Mamy obawy, że nasz głos tam przepadnie.

Macie inny pomysł?

Wyobrażamy sobie to raczej tak, że we współpracy z kanonistami tworzymy rozwiązania prawne, przedstawiamy je episkopatowi, który je wspiera i wspólnie, w formie publicznego listu, wysyłamy postulaty Stolicy Apostolskiej. Wtedy możemy czekać na ruch ze strony papieża.

Taki list ma szansę zostać zauważony przez media zagraniczne, przebić się do opinii publicznej, wywołać dyskusję i wpłynąć na to, że prawo zostanie zmienione na korzyść pokrzywdzonych.

Kolejnym Waszym postulatem jest określenie dokładnego terminu rozpoczęcia działań niezależnej komisji badającej przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele od 1945 r. Biskupi odpowiedzieli Wam, że jak na razie trwają prace nad projektem komisji, który mają przedstawić 19 listopada.

W sprawie komisji wątpliwości i pytań mamy najwięcej. Zaczynając od tego, że pytaliśmy biskupów o niezależną komisję, a nie o komisję złożoną z niezależnych ekspertów. Niezależną przede wszystkim od KEP, czyli taką, w której prace biskupi nie będą ingerować.

Wciąż nie wiemy, czy komisja będzie miała dostęp do wszystkich archiwów. Czy episkopat zadba o to, żeby wyposażyć członków komisji w potrzebne uprawnienia i zgody, bo takie będą potrzebne ze strony Stolicy Apostolskiej. Pytanie, czy w tych archiwach jeszcze coś jest? Bo wyobrażam sobie, że niektórzy biskupi mogą chcieć uporządkować swoje archiwa przed rozpoczęciem działania komisji.

Jest także pytanie o skład komisji. W powstałej na zlecenie francuskiego episkopatu Niezależnej Komisji ds. Nadużyć w Kościele było dwudziestu dwóch specjalistów, m.in. prawnicy, psychiatrzy, antropolodzy.

Nie mamy żadnych informacji o składzie, choć dyskusja o powołaniu komisji trwa od bardzo dawna. Dla nas jest ważne, czy wśród jej członków będą osoby reprezentujące pokrzywdzonych w Kościele. Albo obdarzone przez nie zaufaniem.

Nie wiadomo też, kto będzie finansował jej prace. Tym bardziej że to raczej nie będzie praca na dwie lub trzy godziny, tylko pewnie na cały etat przez kilka miesięcy, a być może i kilka lat.

Prace francuskiej komisji, na której – jak mówił ks. Piotr Studnicki w „Tygodniku" – wzoruje się polski episkopat, trwały 30 miesięcy.

Znamy ludzi, którzy byli krzywdzeni przez księży w latach 60. i 70. Zwykle nie zgłaszali swoich spraw. Dla nich wyniki pracy komisji mogą być jedyną możliwością na odzyskanie poczucia sprawiedliwości. Nazwanie tego, co się wydarzyło, przybliżenie skali, jest czasem kwestią walki o życie.

Dlatego w odpowiedzi na list biskupów ponawiamy nasze pytanie: „W jakim terminie komisja rozpocznie prace?".

W swoich postulatach zwróciliście uwagę na potrzebę wprowadzenia kobiet w proces przyjmowania zgłoszeń od osób pokrzywdzonych w Kościele, by zapobiec sytuacji, gdy ksiądz przyjmuje zeznania osoby pokrzywdzonej przez księdza.

Wprowadzenie kobiet, także świeckich, wydaje nam się kluczowe. Myślę, że bariera spotkania się z księdzem, a jak wiemy, czasem jest ich dwóch, by złożyć zeznanie, jest dla wielu pokrzywdzonych nie do pokonania. Z tego powodu mogą swojej sprawy nie zgłosić. Dla innych skrzywdzonych może to być bez znaczenia. Chodzi więc o możliwość wyboru.

Zaapelowaliście o spisanie złych i dobrych praktyk w kontakcie Kościoła z pokrzywdzonymi. Biskupi odpowiedzieli, że pracują nad nowelizacją „Wytycznych KEP dotyczących ochrony dzieci i młodzieży" i że tam zostaną uwzględnione dobre praktyki. Nie wspomnieli jednak o liście złych praktyk.

Lista złych praktyk jest równie ważna, bo ona pozwala zwrócić uwagę na to, czego doświadczamy w kontakcie z Kościołem i jak możemy się czuć, gdy je-

KAROLINA MISZTAL / REPORTER

Ingres biskupa Tadeusza Wojdy w katedrze oliwskiej. Gdańsk, 28 marca 2021 r.

Skrzywdzeni odpowiadają biskupom

W LUTYM 2022 R. w „Tygodniku Powszechnym" opublikowaliśmy reportaż Stanisława Zasady „Nie musimy tego robić" – historię Kingi i Marty, które oskarżyły ks. Adriana G. (wszystkie imiona zmienione) o wykorzystanie seksualne. Zgłosiły swoje sprawy gdańskiej kurii, gdy metropolitą gdańskim był abp Tadeusz Wojda.

14 MARCA 2024 R. abp Wojda został przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski.

NA POCZĄTKU MAJA do gdańskiej sprawy wrócił Zbigniew Nosowski w „Więzi". Z jego ustaleń wynika, że w marcu 2024 r. do Nuncjatury Apostolskiej w Warszawie wpłynęło zawiadomienie, zgodnie z *motu proprio* „Vos estis lux mundi" (VELM) w sprawie abp. Wojdy. VELM dotyczy zarzutów zaniedbań przełożonych w wyjaśnianiu przestępstw seksualnych księży wobec nieletnich i bezbronnych dorosłych.

20 MAJA zareagowali skrzywdzeni wykorzystaniem seksualnym w Kościele. 46 osób podpisało się pod listem do Rady Stałej Episkopatu Polski. Inicjatorami są Tośka Szewczyk, Robert Fidura i Jakub Pankowiak. Przedstawili osiem postulatów. Pierwszy dotyczy „zawieszenia abp. Tadeusza Wojdy w pełnieniu obowiązków przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski do czasu wyjaśnienia zarzucanych mu zaniedbań. W przypadku potwierdzenia stawianych mu zarzutów – usunięcia go z funkcji przewodniczącego".

12 CZERWCA Rada Stała KEP odpowiedziała na list skrzywdzonych. Biskupi odnieśli się do postulatów skrzywdzonych, ale – jak zauważają inicjatorzy listu – nie do wszystkich. – Biskupi poinformowali nas jedynie, że zarzuty wobec abp. Tadeusza Wojdy będą wyjaśniane, co jest dla nas oczywiste. Nie dostaliśmy odpowiedzi, czy na czas ich wyjaśniania abp Wojda będzie dalej pełnił funkcję przewodniczącego episkopatu – komentowała dla „Tygodnika" Tośka Szewczyk. – Z tym pytaniem nie możemy czekać do listopada, czyli do kolejnego posiedzenia KEP.

1 LIPCA skrzywdzeni odpowiedzieli biskupom ponownie. ©℗ AG

steśmy w ten sposób traktowani. Może uwrażliwić. Jest jak lista błędów, których nie powinno się powtórzyć.

Tym bardziej że osoba przyjmująca zgłoszenie może zachować się w taki sposób, że pokrzywdzeni poczują się bardzo źle. Nie poniesie jednak żadnej odpowiedzialności, bo tego typu praktyki nie mają odniesienia w prawie kanonicznym.

Na przykład?

Może przeczytać osobie pokrzywdzonej, która ma za chwilę złożyć zeznania, więc jest i tak w trudnej psychicznie sytuacji, wybrane paragrafy prawa kanonicznego po włosku.

Miałem taką sytuację w czasie procesu dotyczącego bp. Edwarda Janiaka. Zapytałem, czy mogę być w czasie składania zeznań z osobą towarzyszącą. Usłyszałem, że nie, bo zabrania tego prawo kanoniczne. Poprosiłem więc o wskazanie, który kanon o tym mówi. Wtedy asystent arcybiskupa poszedł po jakąś książkę i przeczytał mi jeden z kanonów prawa kanonicznego po włosku, a potem przetłumaczył go na język polski. Nie spodziewałem się, że coś takiego może się wydarzyć. W żaden sposób nie mogłem zweryfikować tłumaczenia. Nic jednak nie mogłem z tym zrobić. Jedynie opowiedzieć o tym publicznie, podkreślając, że to było doświadczenie, które wprowadziło dodatkowy niepokój w i tak już trudnej sytuacji. I liczyć na to, że osoby przyjmujące zgłoszenia od pokrzywdzonych to przeczytają i we własnym zakresie postarają się tego nie powtarzać. Lista złych praktyk byłaby pomocna nie tylko dla nas, także dla delegatów, którzy mogą pewnych raniących nas zachowań nie być świadomi.

Jako pokrzywdzeni jesteście w ciągłym kontakcie z innymi pokrzywdzonymi, reagujecie, gdy wychodzą na jaw kolejne sprawy. Jakie są koszty tego zaangażowania?

Dla większości osób, które się tym zajmują, to są ogromne koszty. Co miałem do zapłacenia, zapłaciłem po filmie dokumentalnym „Zabawa w chowanego" braci Sekielskich. Opowiedziałem swoją historię, pokazałem twarz. Wtedy koszty były ogromne, także psychiczne. Nastąpiła weryfikacja przyjaciół. A po publikacji powrót do normalnego życia, przyzwyczajenie znajomych, ludzi wokół, że taka historia mi się przytrafiła i że w ten sposób postanowiłem coś z nią zrobić.

Dzisiaj czuję się otrzaskany w tym, co robię. Mam chyba ugruntowaną konstrukcję. Nie zastanawiam się, co ktoś o mnie myśli, jak ktoś odbierze moje działania. Skupiam się na tym, żeby osiągnąć cel. Choć teraz nierzadko słyszę pytania: „po co wam to wszystko?", „po co w ogóle rozmawiacie z biskupami, zostawcie to państwu – sądom, prokuraturze".

Co Pan odpowiada?

Wiem, że nie muszę tego robić. Nie muszę dawać swojej energii, codzienności, przeżywać stresu wynikającego z dyskusji wokół naszych listów. Nie mam z tego powodu ani satysfakcji, ani radości. Także na myśl o tym, co mnie czeka. Moja sprawa jest zamknięta. Ale jest też dowodem na to, że zmiany w podejściu do osób pokrzywdzonych są konieczne. Mam nadzieję, że te, które próbujemy wprowadzić, będą chronić kolejne osoby, które – tak jak my wiele lat temu – są bezbronne.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Modlitwa Faustyny

JAREMA PIEKUTOWSKI

Krytykowana przez niektórych księży, broniona przez świeckich – koronka do Miłosierdzia Bożego jest dla wszystkich.

Wyjazd z ul. Sierpińskiego zawsze podnosił mi adrenalinę, tym bardziej że jechałam z dzieckiem, wioząc je np. do przedszkola. To na tym skrzyżowaniu od czterech lat zbiera się 28 września grupa ludzi i modli koronką. Po pierwszej takiej akcji okazało się, że miasto jednak przebuduje ulicę" – tak mieszkanka Lublina opowiadała Agnieszce Gierobie, autorce „Gościa Niedzielnego", w 2017 r. Modlitwa koronką do Miłosierdzia Bożego w miejscach publicznych zaczęła się w 2004 r. w Łodzi, przed meczem zwaśnionych drużyn ŁKS-u i Widzewa. „Wtedy pierwszy raz od dawna kibice spokojnie rozeszli się do swoich domów. To działa!" – pisała Gieroba na portalu Wiara.pl.

Internet jest pełen informacji o łaskach i cudach, które mają dziać się dzięki odmawianiu tej modlitwy.

Boży gniew

Jeśli dosłownie traktować mistyczne wizje św. Faustyny Kowalskiej, to zapewnienia o szczególnych łaskach pochodzą od samego Chrystusa. Prawdopodobnie we wrześniu 1936 r., przechodząc korytarzem do kuchni klasztoru Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Krakowie, usłyszała: „Odmawiaj nieustannie tę koronkę, której cię nauczyłem. Ktokolwiek będzie ją odmawiał, dostąpi wielkiego miłosierdzia w godzinę śmierci" („Dzienniczek" 687).

Moment, kiedy Faustyna pierwszy raz „usłyszała wewnętrznie" słowa koronki (bo takich słów używa nieraz w „Dzienniczku"), miał miejsce rok wcześniej, 13 września 1935 r., w siedzibie zgromadzenia w Wilnie. Jej wizja (Dz 474-476) obfituje w emocjonujące szczegóły. Przedstawia anioła, którego Faustyna nazywa „wykonawcą gniewu Bożego". Błyskawice, które wychodziły z obłoku i przechodząc przez ręce anioła dotykały ziemi, miały według interpretacji Faustyny być znakiem „gniewu Bożego, który miał dotknąć ziemię, a szczególnie pewne miejsce", którego jednak zakonnica nie chciała wymienić „dla słusznych przyczyn". Wizjonerka zaczęła prosić anioła o powstrzymanie się od uderzenia, jednak w pierwszej chwili – pisze – jej prośba była „niczym wobec gniewu Bożego".

Jednak po chwili – za sprawą interwencji samego Boga – zaczęła się modlić słowami koronki: „Ojcze Przedwieczny, ofiaruję Ci Ciało i Krew, Duszę i Bóstwo najmilszego Syna Twojego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa, za grzechy nasze i całego świata. Dla Jego bolesnej męki miej miłosierdzie dla nas". W tym momencie anioł okazał się bezsilny i „nie mógł wypełnić sprawiedliwej kary, która się słusznie należała za grzechy". Następnego dnia św. Faustyna usłyszała potwierdzenie wczorajszej wizji wraz z dokładną „instrukcją" odmawiania modlitwy przez dziewięć dni, na zwykłej cząstce różańca.

Na stronie archidiecezji krakowskiej czytamy o koronce dosłownie: „Podyktował ją Pan Jezus Siostrze Faustynie". Czy faktycznie należy więc traktować usłyszane przez świętą słowa jako wypowiedź Chrystusa?

Wybujała wyobraźnia?

– Teologowie dokonują rozróżnienia między objawieniami prywatnymi, czyli wizjami Jezusa czy Maryi, a objawieniem publicznym. Objawienie publiczne kończy się wraz ze śmiercią ostatniego apostoła – mówi dr hab. Monika Waluś, teolożka, wykładowczyni UKSW. – Natomiast w Ewangelii wg św. Jana Chrystus mówi: „Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz [jeszcze] znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Koronka do Miłosierdzia Bożego odmawiana na ulicach Lublina. 28 września 2021 r.

prawdy" (J 16, 12-13). To oznacza, że ludzie mogą doświadczać Boga i zapisywać swoje doświadczenie, i te zapisy mogą nam pomóc rozumieć głębiej objawienie publiczne. Św. Faustyna miała takie doświadczenie i opisywała je najlepiej, jak potrafiła. Nie była wykształconą teolożką, opierała się na tych obrazach, które znała. Co ciekawe, w jej wizjach bardzo trafnie z teologicznego punktu widzenia przedstawiona jest Trójca Święta, choć Faustyna nie miała w ogóle dostępu do książek dotyczących trynitologii.

Wizja Faustyny, podczas której zakonnica słyszy tekst koronki, może budzić wątpliwości. Zastanawia zwłaszcza pojawiający się w wizji motyw powstrzymywania gniewu Bożego, często spotykany w ówczesnej literaturze pobożnościowej i w objawieniach prywatnych. Oto gniew Boży ma uderzyć w taki czy inny sposób w ludzi, a powstrzymuje go interwencja świętych, masowe nawrócenie lub pewna forma modlitwy. Podczas objawień we francuskim La Salette w 1877 r. dwoje dzieci usłyszało głos Maryi, mówiącej między innymi: „Jeżeli lud mój nie zechce się poddać, będę zmuszona puścić ramię Mojego Syna. Jest ono tak mocne i tak ciężkie, że nie zdołam go dłużej powstrzymywać. (...) Chcąc, by Mój Syn was nie opuścił, jestem zmuszona ustawicznie Go o to prosić, a wy sobie nic z tego nie robicie!".

Motyw ten pojawia się także w popularnej pieśni kościelnej „Serdeczna Matko", gdzie rolę powstrzymywania gniewu Bożego znowu bierze na siebie Maryja: „Lecz kiedy Ojciec rozgniewany siecze, / szczęśliwy, kto się do Matki ucieczе".

Trudno się dziwić, że oddziałująca na wyobraźnię wizja rozgniewanego Boga spotyka się z gwałtowną krytyką. W ostatnich latach oskarżenia chrześcijańskiego Boga o okrucieństwo pojawiały się często w wypowiedziach przedstawicieli „nowego ateizmu": Richard Dawkins nazywał Boga „sadomasochistą". Podobne argumenty pojawiają się też ostatnio w Polsce. „Twierdzimy, że pomysły Boga i jego syna na to, jak mamy żyć, to prosty przepis na nieszczęście. Jeśli taki rzeczywiście jest Bóg, jak przedstawia się go w Kościele, Biblii, to jest okrutnikiem, z którym lepiej nie mieć nic wspólnego. Bo to jest ojciec z najgorszego snu" – piszą autorzy książki „Chrześcijaństwo. Amoralna religia", Artur Nowak i Ireneusz Ziemiński.

Katolicki midrasz

Dlaczego św. Faustyna widzi Boga jako okrutnika, który jest gotów zniszczyć ziemię i trzeba powstrzymywać jego gniew? Monika Waluś: – Niedawno przyszedł do mnie student na egzamin i mówi, że przecież Bóg nie mógł stworzyć świata w siedem dni. Pytam go więc: czy słyszał coś o metaforach, symbolice liczb, obrazowaniu? Czy rozumie, że siedem dni może oznaczać liczbę symboliczną, także siedem miliardów lat? Tak samo jest z Faustyną. Jej wizja nie jest reportażem z niebios, to jest alegoria, spojrzenie obrazowe. Midraszowe, interpretacyjne. Faustyna opowiada obrazami, tak jak chasydzi, mistyczki i mistycy, dzieci albo ludzie w tradycji opowiadanej. Prorok Izajasz mówi: „wasze winy wykopały przepaść między wami a waszym Bogiem" (Iz 59, 2). To, co obrazowo nazywamy gniewem Bożym, pokazuje, że nasze złe czyny mają konsekwencje, które uderzają w nas samych. Nie chodzi o to, że Bóg się na nas obraził, skrzywił się i teraz chce zniszczyć nas czy nasze dzieci. Chodzi o to, że sami się niszczymy, a przede wszystkim – że jest z tego wyjście.

W wizji Faustyny wyraźne jest napięcie między dwoma aspektami Boga – sprawiedliwością, którą uosabia anioł, oraz miłosierdziem, którego święta doświadcza następnie i które „czyni gniew bezsilnym". Czyżby Bóg był wewnętrznie sprzeczny, walczył w tej wizji sam ze sobą?

– Istnieje pewne napięcie między tymi dwoma atrybutami, ale sprawiedliwość Boga nie jest sprzeczna z Jego miłosierdziem – mówi teolog dr Sebastian Duda. – Owszem, można sprawiedliwość rozumieć jako wydawanie i wykonywanie sprawiedliwego wyroku. Ale gdy przyjrzeć się Listowi św. Pawła do Rzymian, to widzimy Boga, który jest sprawiedliwy w sposób sprawczy – to znaczy usprawiedliwia nas, czyni nas na powrót sprawiedliwymi. W tej sprawiedliwości zawiera się miłosierdzie, rozumiane jako moment pojednania, przebaczenia grzechu. Ta sprawiedliwość nie jest zemstą. Tak jak dziś w zaawansowanych systemach prawnych ważna jest funkcja resocjalizacyjna kary: ustanawiająca na nowo.

Mistyka koronki

Treść koronki do Miłosierdzia Bożego zawiera tajemnicze, mistyczne sformułowania. Modlący się składa niejako w ofierze Chrystusa Bogu Ojcu, wypowiadając na dużych paciorkach różańca słowa: „Ojcze Przedwieczny, ofiaruję Ci ciało i krew, duszę i bóstwo najmilszego Syna Twojego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa, na przebłaganie za grzechy nasze i całego świata". Ten fragment do dzisiaj budzi poważne wątpliwości.

Ks. prof. Wincenty Granat, dogmatyk katolicki i rektor KUL, wielki swego czasu teologiczny autorytet, pisał w 1970 r.: „W modlitwie powyższej zawierają się istotne błędy teologiczne; po pierwsze Bóstwo Syna jest to samo, co i Boga Ojca, a więc nie może być ofiarowane Ojcu Przedwiecznemu; po drugie nie wolno składać na ofiarę czy jakkolwiek w ogóle ↦

ofiarować Bóstwa; po trzecie nie może być ono przebłaganiem za grzechy, gdyż Bóstwo, a konkretnie Bóg odpuszcza grzechy, lecz nie jest ofiarą przebłagania; to w naturze ludzkiej Zbawiciel jest przebłaganiem za grzechy nasze".

Argumenty ks. Granata powtarza dziś np. twórczyni popularnego kanału youtube'owego „Okiem tradycjonalisty". Czy modląc się, możemy faktycznie składać w ofierze Chrystusa Bogu Ojcu?

– A co się dzieje podczas Eucharystii na ołtarzu? – pyta Waluś. – Czy kiedy podczas mszy świętej dokonuje się przeistoczenie, to tylko człowieczeństwo Chrystusa jest obecne? Tak naprawdę św. Faustyna nawiązuje tutaj do istoty Eucharystii.

– Podejście ks. prof. Granata jest scholastyczne, stąd to silne rozróżnienie na naturę ludzką i boską Chrystusa. Ale istnieją we współczesnej teologii Wielkiej Soboty inne nurty, wskazujące, że Bóg jak najbardziej rozpoznał, czym jest śmierć także w swoim Bóstwie – mówi Duda. – Dzięki temu mógł stać się przebłaganiem, mógł stać się samym Miłosierdziem. I my możemy w tym procesie uczestniczyć.

Wobec prywatnych objawień Kościół nie wymaga wiary. Mogą one jednak pomagać – tak jak wizje Faustyny – zrozumieć Boże miłosierdzie.

Kiedy się modlić?

Kolejne częste nieporozumienie związane z koronką dotyczy zalecanej godziny modlitwy – 15.00. W wielu przekazach pojawia się przekonanie, że 15.00, nazywana Godziną Miłosierdzia, jest momentem, w którym należy odmawiać koronkę i – co więcej – wówczas modlitwa ma większą skuteczność niż kiedy indziej. Takiemu rozumieniu sprzeciwia się samo Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, do którego należała Faustyna Kowalska. Na prowadzonej przez nie stronie faustyna.pl czytamy: „Koronka do Miłosierdzia Bożego nie może być (...) modlitwą w Godzinie Miłosierdzia, gdyż jest skierowana do Boga Ojca (...), a modlitwa w Godzinie Miłosierdzia ma być skierowana wprost do Jezusa".

Przekonanie o szczególnej mocy modlitwy właśnie o godzinie trzeciej może wynikać ze słów z wizji św. Faustyny, w której Chrystus mówi: „W tej godzinie nie odmówię duszy niczego, która Mnie prosi przez mękę moją" (Dz 1320). Słowa te są jednak często wyrywane z kontekstu. Wcześniejsze słowa Chrystusa przemawiającego do Faustyny brzmią bowiem: „(...) choć przez krótki moment zagłębiaj się w Mojej męce, szczególnie w Moim opuszczeniu w chwili konania. (...) Pozwolę ci wniknąć w Mój śmiertelny smutek". Nie chodzi więc o magiczne działanie. Godzina trzecia to moment śmierci Chrystusa na krzyżu – a więc wybór tej pory ma znaczenie symboliczne i mistyczne. Kontemplacja śmierci Chrystusa nie służy też zamartwianiu, budzeniu w sobie poczucia winy, lecz głębokiego współczucia z cierpieniem i samotnością oraz odnajdywaniu miłosierdzia na ich dnie.

Skruszona zatwardziałość

Treść koronki akcentuje Miłosierdzie Boże dla wszystkich (dlatego używa się w niej liczby mnogiej: „miej miłosierdzie dla nas i całego świata"). Z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się nam to oczywiste, jednak warto zwrócić uwagę na kontekst, w jakim ta modlitwa powstawała. W pierwszych dekadach XX wieku Kościół pozostawał nadal pod silnym wpływem potrydenckiej, surowej teologii moralnej, w której gniew i sprawiedliwość (rozumianą jako wydawanie sprawiedliwych wyroków) akcentowano momentami znacznie silniej niż miłosierdzie.

Ten ton wybrzmiewał silnie w popularnej wówczas literaturze pobożnościowej. Wystarczy zacytować słowa XVII-wiecznego jezuity Mikołaja Łęczyckiego, którego „Pobudki do unikania grzechu śmiertelnego i kilka innych rozważań pobożnych" wydane zostały w Polsce po raz kolejny pięć lat przed objawieniami św. Faustyny: „Ci, którzy się nie uczyli teologii, wiedzieć powinni i zrozumieć, że Bóg nikogo nie wtrąca do piekła, dopóki naznaczonej liczby grzechów nie wypełni. (...) Najświętsza Panna powiedziała raz św. Brygidzie: »Grzesznicy nie zwracają na to uwagi, że jeden grzech ciężki, w którym mają upodobanie, wystarczy, aby byli na wieki potępieni. Skoro tedy grzesznik wypełni liczbę grzechów, którą dla niego Bóg przewidział, już na pewno od Boga odrzucony będzie«".

Jak bardzo perspektywa ta różni się od tej, która pojawia się w wizji Faustyny: „Chociażby był grzesznik najzatwardzialszy, jeżeli raz tylko zmówi tę koronkę, dostąpi łaski z nieskończonego miłosierdzia Mojego" (Dz 687).

Sposób na miłosierdzie

Czy faktycznie lubelska ulica przebudowana została pod wpływem modlitwy? Trudno powiedzieć, ale przynajmniej niektórym przesłanie zawarte w koronce do Bożego Miłosierdzia pozwala lepiej rozumieć objawienie. – Tak, to prawda, zło, którego dokonali nasi przodkowie i my sami, sprawia, że potrzebne jest nam miłosierdzie – mówi Waluś. – I ono jest tuż obok.

© JAREMA PIEKUTOWSKI

OGŁOSZENIE

KLUB TP Warszawa
KLUBTYGODNIKA.PL

WARSZAWA: Poszukujemy nieustannie partnerów w dialogu i nowych tematów. Przyjdź, włącz się do rozmowy i działań Klubu „TP" Warszawa.

Koordynatorka
Joanna Rózga
warszawa@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP" na **klubtygodnika.pl**

Sobota, 6 lipca godz. 16:00 zapraszamy na wspominki o **Halinie Bortnowskiej**, Jazdów 3/12, Warszawa

Więcej informacji o Klubach „TP" na **klubtygodnika.pl**

STOWARZYSZENIE **IM. JERZEGO TUROWICZA**

MATERIAŁY PRASOWE 11 BIT STUDIOS

Scena z „Indiki”

Biesy w wirtualnym świecie

MONIKA OCHĘDOWSKA

Oto ludzie, posłuszni wobec władzy, krok po kroku przyzwyczajają się do życia w strachu. Opresyjną przestrzeń reprezentuje żeński zakon, umieszczony gdzieś na peryferiach dawnej Rosji. Czy da się stąd uciec?

Od wielu lat we wsi Jelnia w obwodzie niżnonowogrodzkim działa sekta uznająca Władimira Putina za świętego. Od czasu do czasu informuje ona o cudach, które dzieją się za sprawą prowadzącego kraj ku światłości prezydenta. Zresztą nie tylko sekta Matki Fotiny, także rosyjska telewizja doskonale wie, po której stronie opowiada się dzisiaj Bóg.

Splot przeróżnych okoliczności i zdarzeń doprowadził do tego, że rosyjskie prawosławie charakteryzuje niebezpieczny, także pod względem teologicznym, alians z władzą. Jak wielokrotnie referowała na tych łamach Anna Łabuszewska, miksowanie prawosławia i sowieckiej doktryny to wzięty chwyt propagandowy Kremla. Po wybuchu pełnoskalowej wojny z Ukrainą Cerkiew stała się wyjątkowo ważnym narzędziem politycznym, a patriarcha Cyryl – sprzymierzeńcem Putina.

„Kapłani mówią, że powinieneś umrzeć za ojczyznę. To szaleństwo” – złości się Dmitry Svetlow, architekt, scenarzysta i założyciel studia Odd Meter, który dwa lata temu wyemigrował z Rosji do Kazachstanu. Tam – przy wsparciu warszawskiego 11bit studios – ukończył grę komputerową, będącą w dużej mierze krytycznym komentarzem zaangażowania Cerkwi w zbrodnie Putina. Svetlow odważnie i wprost skrytykował też wojnę z Ukrainą w nagraniu na YouTubie, obnażając kłamstwa władzy oraz język, jakim się posługuje, uzasadniając swoje działania.

Jego gra „Indika”, dostępna w sklepach internetowych od ponad dwóch miesięcy, opowiada w gruncie rzeczy o tym, jak ludzie, posłuszni wobec władzy, krok po kroku przyzwyczajają się do życia w nieustannym strachu. Opresyjną przestrzeń w „Indice” reprezentuje żeński zakon, umieszczony gdzieś na peryferiach dawnej Rosji. Przełożone traktują młode siostry obcesowo, zlecając im wykonywanie ciężkich, często bezsensownych prac, które – gdy wcielamy się w postać głównej bohaterki – stają się także naszym udziałem.

Trwa zima, przez okolicę przetacza się wojna, być może jesteśmy blisko frontu. Przemierzając połacie skrzypiącego pod stopami śniegu dostrzegamy ślady niedawnych starć: wysadzony most, płonącą lokomotywę, rannych albo martwych żołnierzy. Jest strasznie, a jednocześnie pięknie, bo scenografia gry i jej grafika przywodzą na myśl filmy Pawła Pawlikowskiego, szczególnie „Idę”. Nie bez znaczenia jest tu wykształcenie Svetlowa – dbałość o architektoniczne szczegóły sprawia, że często mamy ochotę po prostu ↦

MATERIAŁY PRASOWE 11 BIT STUDIOS X2

Sceny z „Indiki”

↦ się zatrzymać i rozejrzeć, by podziwiać okolicę. Ale przekraczając rzeki, wioski, cmentarze i opuszczone domy w ciele samotnej, drobnej Indiki, czujemy lęk, który nieodmiennie towarzyszy bohaterce, ale też każdej kobiecie w czasie wojny.

W zarzuconym na plecy worku mamy tylko modlitewnik i list, który należy dostarczyć we wskazane miejsce – co w nim jest? Czy siostry przełożone nie wysłały nas tak naprawdę na pewną śmierć? Czy sprawa, z którą idziemy, jest ważna? A może to tylko kolejne z wielu niedorzecznych poleceń?

W rozmowie z „Tygodnikiem” Svetlow nie chce zdradzać zbyt wiele na temat bohaterki, dając graczom przestrzeń na przeróżne interpretacje:

– Historię Indiki przepisywaliśmy co najmniej cztery razy właśnie po to, by pozbyć się wszelkich wskazówek, pozwalających na zbyt łatwe objaśnienie świata gry. Zależało nam, by uczynić tę historię uniwersalną. To opowieść o człowieku, który z jakiegoś powodu pozwala poddawać się torturom. O człowieku, który żyje w świecie surowych zasad i strachu przed ich nieprzestrzeganiem. Myślę, że ostatecznie to opowieść o każdym i każdej z nas. Czy nie zadajemy sobie czasem pytań o to, czy zasłużyliśmy na miłość, którą otrzymujemy? Czy jesteśmy wystarczająco dobrzy? To są właśnie wątpliwości mojej bohaterki.

Postać Indiki z pewnością wiele mówi o samym twórcy. Dmitry wychował się w religijnym domu. Dwa razy w tygodniu odwiedzał cerkiew, chodził z mamą na pielgrzymki, a przez jakiś czas mieszkał z rodziną w klasztorze. Dziś jest krytyczny nie tylko wobec zwierzchników Cerkwi, ale w ogóle wobec kościelnej hierarchii.

Dlatego Indika w trakcie swojej wędrówki próbuje ratować się modlitwą – jeśli jej na to pozwolimy. Ale ma przy tym liczne wątpliwości, także dotyczące wiary, które powoli nam wyjawia. Nie znamy, dzięki zabiegom scenarzysty, ich pochodzenia – celem gry będzie ich rozpoznanie, bo też w trakcie czekających nas przygód przeprowadzimy wiele rozmów, zarówno sami ze sobą, jak i z towarzyszem wędrówki, którego spotkamy na szlaku.

Bez obaw, ta gra nie polega na zbieraniu punktów. Albo inaczej: możemy je zbierać, ale ostatecznie – do niczego nam się nie przydadzą.

– Zawsze żyjemy w strachu przed utratą punktów – uśmiecha się Svetlow. – Niestety, dopiero w momencie, gdy stracimy wszystko, zrozumiemy, o co naprawdę chodzi w grze, w którą zostaliśmy wrzuceni. Tak to już jest, nie wiemy, kto wymyślił zasady i dlaczego powinniśmy ich przestrzegać. Gramy wedle nich, ponieważ wszyscy tak robią.

W pytaniach o zasady gry i pochodzenie zła nie sposób nie dostrzec wpływów Fiodora Dostojewskiego.

– Kiedy pisałem scenariusz gry, rzeczywiście po raz kolejny czytałem „Biesy” – przyznaje Svetlow. – Chciałem dostroić się do stylu pisania Dostojewskiego, specyficznego stylu rosyjskiej rozpaczy. Mam nadzieję, że da się to odczuć, grając w grę. Ale atmosfera „Indiki” ma też wiele ze stylu Mikołaja Gogola.

Całość jest tak wyjątkowa na tle innych produkcji, że wielu graczy na przeróżnych popularnych forach od kilku tygodni zastanawia się, z czym tak naprawdę mamy tu do czynienia. Jak napisał w opiniach o „Indice” jeden z komentujących, nie wiadomo, czy to „dojrzały gaming, slow-gaming, czy w ogóle anty-gaming, ale cieszę się, że komuś chce się robić takie rzeczy. To zdumiewające, że najgłębsze opowieści o wolności wciąż rodzą się w miejscach, gdzie opresja jest najdotkliwsza”.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Dziękuję Zofii Zin za pomoc w pracy nad tekstem.

ZUZANNA

Radzik:
Hagar rusza w drogę

O czym marzycie tego lata, o bezruchu czy byciu w drodze? We mnie wszystko ciąży ku wakacyjnej stałości, jednemu miejscu, braku wyzwań, niezmienności. Ile jednak razy z urlopem czy wakacjami rymowała mi się włóczęga, takie bycie w drodze, które prowadzi zygzakiem, stawia na trasie rozmaitych ludzi, uzależnia od ich życzliwości, jest piętrzącą się każdego dnia przygodą i trudnością, dającą radość spotkań i pokonania wyzwań. Zawsze lubiłam taki rodzaj drogi, z jej nieprzewidywalnością, zaskoczeniami i zwrotami akcji. Może dlatego z wakacjami kojarzy mi się Abraham, ojciec wiary żyjący w nieustannym przemieszczeniu. Abraham, który wyszedł z domu, by stać się sobą, a nawet czymś więcej. Tylko że dla niego nie była to przerwa od rutyny, ucieczka przed regularnością codzienności, ale sposób bycia w oderwaniu od stałości. Czyli to nie towarzysz na wakacje, tylko na niepewność czasów.

To w sumie zastanawiające, że ścieżki Abrahama oplatają całą ważną biblijnie geografię. Wraz z ojcem i bratem wyszedł z Ur (czyli z południowej Babilonii, prawie nad Zatoką Perską) do Charamu (dziś w południowo-wschodniej Turcji), by po śmierci ojca wywędrować do Kanaanu (dziś Izrael/Palestyna). Tam jednak nie zagrzał miejsca, bo panował głód, który wypchnął go do Egiptu. Potem, owszem, wraca do obiecanej mu ziemi, przestawia namiot to tu, to tam. Ale zdążył już przewędrować pół starożytnego świata. Traktujemy to jako oczywistość, to jego wyjście z Ur, ale spójrzcie na mapę, co to za odległości. Czyste szaleństwo! Czy to za szaleństwo lub szalone posłuszeństwo zostaje się ojcem wiary? Za pójście za odsłaniającą się z wolna obietnicą?

Czytam sobie całą jego historię, wzdrygając się miejscami. Co z tym, że tchórzy i nie przyznaje się do własnej żony, która ląduje w cudzym haremie? I to dwa razy! A Sara, podążająca za obietnicą jemu daną, gdzie ich droga zaniesie? Los tej matriarchini musiał być trudny, nawet pomijając podwójny pobyt w haremie za sprawą tchórzostwa małżonka. Ostatecznie to na niej przez tyle lat ciążyło spełnienie obietnicy o stworzeniu wielkiego narodu z potomstwa Abrahama, a ona nie była w stanie dać mu syna. Kiedy próbuje dojść do celu inną drogą, poprzez oddanie mężowi swojej niewolnicy, jednak to emocje biorą górę, a między kobietami rośnie napięcie.

I wtedy na scenie tej opowieści z impetem staje Hagar, egipska niewolnica Sary. Hagar też rusza w drogę. Nie dlatego, że ktoś jej kazał, ale dlatego że upokorzona przez Sarę, nie chce dać się tak traktować. Wyprowadza ją z domu Abrahama poczucie własnej wartości. Wychodzi na pustynię i tam, przy studni, spotyka ją Anioł Pański. „Skąd przyszłaś i dokąd idziesz" – pyta. Tekst jednak już podpowiedział, dokąd zmierza Egipcjanka. W kierunku Szur, czyli w kierunku domu. Anioł Pański prosi, by Hagar wróciła do Sary i Abrahama, a w zamian daje jej obietnicę: pomnoży jej potomstwo tak, że będzie trudne do zliczenia. Godnościowa ucieczka Hagar, jej małe, osobiste wyjście z niewoli, dopisuje do opowieści, która jest zasadniczo dziejami Abrahama, ten poboczny wątek. Kobieta, obca, niewolnica, wyszarpuje sobie tym wyjściem w drogę swoją własną obietnicę. Nie jest już tylko narzędziem, jakiego użyła Sara, by przyspieszyć wypełnienie się obietnicy danej Abrahamowi. Ma własną. Zdobyła ją. Tekst mówi, że to dlatego, iż doznała upokorzenia. Ale czy nie dlatego, że nie dała się upokarzać dalej?

Hagar ostatecznie przyjmie propozycję i wróci do domu Abrahama i Sary, tylko po to, by zostać wypędzoną parenaście lat później. Na razie jednak nazywa sytuację, w której się znalazła. Wie, że w aniele spotkała Pana. „Tyś Bóg widzialny" – mówi. „Widziałam Widzącego mnie, a jestem żywa". To spotkanie w drodze, w ucieczce, jest jej własnym objawieniem.

Matka Izmaela wciąż pozostaje wpisana w margines opowieści o Abrahamie, choć ta charakterna kobieca postać zasługiwałaby na częstszą uwagę. Jej godnościowy bunt, droga, objawienie Boże i obietnica wyróżniają ją wśród kobiet Biblii. Zakłada niejako swój dom – ostatecznie wypędzona z synem przez Sarę, żyje z nim na pustyni i niczym głowa rodu sprowadza żony z Egiptu. Matriarchini własnej linii, wedle własnej obietnicy wyszarpanej złemu, niewolniczemu losowi. Nic dziwnego, że zwróciły uwagę na jej postać czarnoskóre feministyczne teolożki. Łączy bycie obcą, bycie niewolnicą, bycie w ciasnej, domowo-intymnej relacji – z gospodynią. Jej ciało jest używane, nie do jej celów, nie za jej zgodą. Ale mimo to znajduje siłę, żeby zawalczyć o siebie i swoją godność. Wyrasta poza opowieść o Abrahamie i tworzy własną ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wakacje są zawsze po to, by odpocząć. By zwolnić, przyjrzeć się czemuś nowemu, wyjść poza granice swojej codzienności. By zatrzymać myśli.

W tym zatrzymaniu myśli nasze nowe wydanie specjalne będzie dobrą pomocą.

– Michał Okoński, redaktor „Tygodnika Powszechnego”

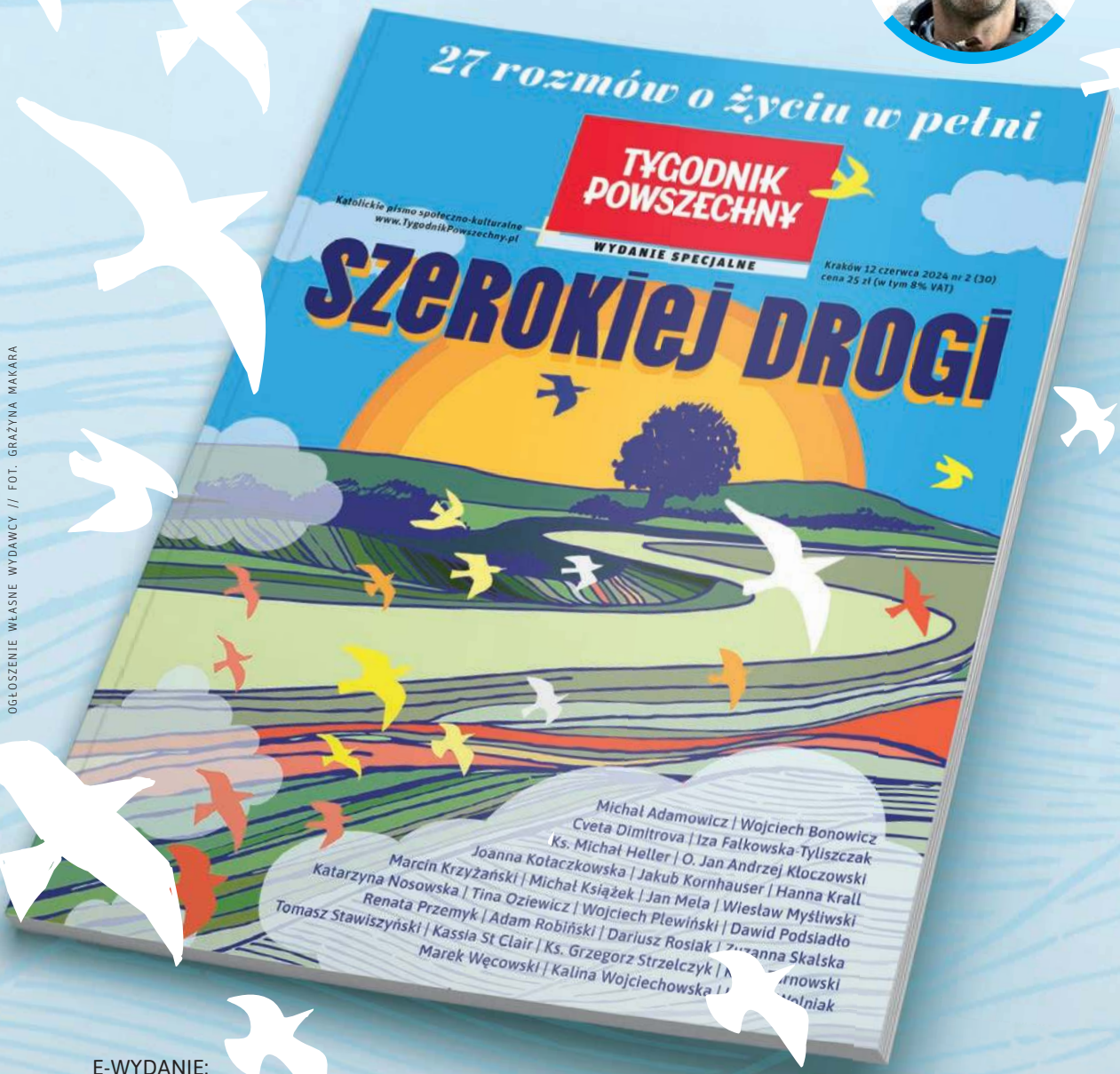

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

E-WYDANIE:
powszech.net/szerokiejdrogi

Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego” w dobrych miejscach z prasą

BEZ ZŁUDZEŃ

Po dwóch latach i czterech miesiącach wielkiej wojny jej wynik jest niepewny. Rosja maskuje swoje słabości i straszy bronią nuklearną. Zachód zaś wciąż miota się, jak nie dopuścić do klęski Ukrainy – zamiast dążyć do jej zwycięstwa. To błąd.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Pierwsza konferencja prasowa Władimira Putina po jego wizycie w Korei Północnej – zorganizowanej w iście stalinowskim stylu – miała spotęgować presję wobec zachodnich stolic. „Zachodni politycy mówią, że ich celem jest nasza strategiczna porażka na polu boju. Dla Rosji oznaczałoby to koniec tysiącletniej historii jej państwowości. W tej sytuacji powstaje pytanie, dlaczego mielibyśmy się bać i czy nie lepiej iść do końca".

Tych kilka zdań, wygłoszonych jakby bez emocji, było w istocie kolejną z – niezliczonych już – gróźb pod adresem USA i Europy. Rzecznik Kremla wprawdzie szybko przedstawił interpretację, że Putin miał na myśli „pełne osiągnięcie celów specjalnej operacji wojennej" (tj. podbicie Ukrainy). Jasne jest jednak, że dwuznaczność tych słów była zamierzona. Po tym, jak przez dwa dni Putin obściskiwał się z Kim Dzong Unem, miał to być sygnał, że jeśli Zachód nie odpuści, grozi mu moskiewsko-pjongjański sojusz dwóch dyktatorów, którzy mają broń atomową i są nieprzewidywalni, zdolni do wszystkiego.

SZERSZY OBRAZ | Dwa lata i cztery miesiące po tym, jak Rosja zaczęła inwazję, która miała trwać kilka dni, na Kremlu rośnie nerwowość. Ceremonialne zapewnienia, że sankcje nie działają, a gospodarka się umacnia, to propagandowe zaklinanie rzeczywistości. Przejawy słabości Rosji widoczne są w każdej sferze: od ekonomicznej, po jej kompleks wojskowo-przemysłowy. Wbrew zamierzeniom, podróż Putina do Pjongjangu pokazuje wiele, ale na pewno nie jego siłę.

Naturalne jest, że śledząc przebieg wojny, skupiamy się na codziennych doniesieniach z frontu. To sprawia jednak, że z oczu może zniknąć nam szerszy obraz. Dlatego warto przypominać, że Rosja wciąż jest daleka od zdobycia nawet całego Donbasu. Odkąd jesienią 2023 r. przejęła znów inicjatywę, zacięte walki skutkują dziesiątkami tysięcy zabitych żołnierzy rosyjskich (i niestety także wielu ukraińskich). Mimo to jej sukcesy na różnych odcinkach sięgają kilkunastu, maksymalnie dwudziestu kilku kilometrów.

„Rosyjska armia podobna jest dziś do oddziału partyzanckiego. Żołnierze ubierają się za pieniądze swoje i swoich rodzin, gdyż jakość umundurowania, które dostają, do niczego się nie nadaje" – te słowa obiegły niedawno Rosję, a ich autorem był generał rosyjski: Władimir Szamanow, deputowany Dumy, wcześniej dowódca wojsk powietrznodesantowych. Dodał, iż duża część Rosjan nie jest świadoma, że ich kraj jest w stanie wojny.

Rosyjskie problemy są rzecz jasna pozytywną wiadomością. Ale to za mało, aby Kijów wygrał tę wojnę.

PRÓBA AUDYTU | Zbliżający się szczyt NATO w Waszyngtonie, zaplanowany na 9-11 lipca, to okazja, by dokonać audytu polityki Zachodu (a przynajmniej jego kluczowych państw) wobec tej wojny i wobec Rosji. Zostawiając przez chwilę na boku różne jego konteksty (o tym za chwilę), przejdźmy od razu do wniosku głównego. Brzmi on: wsparcie Zachodu dla Ukrainy jest na takim poziomie, że w gruncie rzeczy ma służyć niedopuszczeniu do jej klęski, a zarazem stworzeniu warunków do negocjacji Kijów–Moskwa (z nadzieją, że piętrzące się problemy Rosji w końcu ją do tego zmuszą).

Problem w tym, że po prawie dwóch i pół roku zmagań nic nie wskazuje, by taki scenariusz miał się zrealizować.

W głównych stolicach zachodnich zawsze dominowało myślenie, że negocjacje są lepsze niż wojna. Co do zasady to oczywiście pogląd słuszny. Cóż jednak zrobić, skoro w praktyce Moskwa nie jest zainteresowana rozmowami, skoro od 24 lutego 2022 r. cały czas dąży do rozstrzygnięcia militarnego – takiego, które zbuduje jej pozycję do podyktowania Ukrainie i Europie swoich warunków?

Przedstawiając niedawno ofertę nazwaną pokojową, Putin pokazał kolejny raz, że chce zarówno zwasalizowania całej Ukrainy (tej, która zostanie po zalegalizowaniu rosyjskich aneksji; to jeden z warunków „oferty"), jak też wywrócenia międzynarodowego ładu w Europie.

SZCZYT (NIE)POKOJOWY | Zorganizowany w połowie czerwca w Szwajcarii „globalny szczyt pokojowy" słusznie nie podjął żadnego z rosyjskich postulatów. Bardziej przypominał on zresztą mityng polityczny niż negocjacje w sprawie zakończenia wojny.

Nie było zresztą z kim negocjować, bo Rosja nie została zaproszona, a program spotkania ograniczono do kwestii bezpieczeństwa ukraińskich elektrowni atomowych, eksportu ukraińskiej żywności, wymiany jeńców i powrotu dzieci wywiezionych do Rosji. Kijowowi chodziło tu bowiem o zapewnienie szerokiej obecności państw Globalnego Południa (politycy zachodni i tak przybyli), co byłoby niemożliwe, gdyby rozmowa dotyczyła wycofania wojsk rosyjskich czy ukarania winnych zbrodni wojennych.

Mimo maksymalnego odciążenia programu, wiele ważnych państw i tak albo odmówiło przyjazdu (Chiny), albo przysłało przedstawicieli niskiej rangi (m.in. Indie, RPA, Arabia Saudyjska), którzy nie podpisali deklaracji końcowej, bardzo zresztą „niewinnej". O tym szczycie, wymyślonym przez Kijów i wspieranym przez Zachód, można powiedzieć wszystko, ale nie to, że przybliżył koniec wojny. Czego zatem zabrakło?

CZERWONE LINIE | Jeśli prześledzimy politykę Zachodu wobec wsparcia militarnego Ukrainy, w oczy rzucają się jej liczne samoograniczenia. W pierwszych miesiącach inwazji trwały dyskusje, czy wysyłać systemy artyleryjskie Himars. Potem wątpliwości dotyczyły dostaw czołgów produkcji zachodniej, systemów przeciwlotniczych Patriot, myśliwców F16, rakiet ATACMS, a potem zasięgu dostarczanych już ATACMS-ów. Najnowszym przejawem tych samoograniczeń były publiczne rozważania Waszyngtonu i Berlina, czy pozwolić Ukraińcom, aby przy użyciu amerykańskiej i niemieckiej broni atakowali cele na terenie Rosji.

Koniec końców, po dłuższych lub krótszych debatach w każdym z tych przypadków Stany i inne kraje NATO rozstrzygały na korzyść Kijowa. Ale zanim to nastąpiło, efektem (zbyt) długich wahań była utrata przez Ukraińców czasu, co bezlitośnie wykorzystywali Rosjanie.

Te „czerwone linie", które Zachód sam na siebie nakładał, wynikały – i wciąż wynikają – ze strachu przed tym, co zachodni politycy nazywają „eskalowaniem konfliktu". Z takim podejściem trudno jest wygrać wojnę. ↦

Od 2014 r. miasto Toreck leży przy linii frontu w obwodzie donieckim. Do niedawna było tu względnie spokojnie. W ostatnich dniach Rosjanie zaczęli jednak na tym odcinku działania ofensywne i ostrzał miasta. Część mieszkańców ewakuowano, inni odmawiają opuszczenia domów. 25 czerwca 2024 r.

ROMAN PILIPEY / AFP / EAST NEWS

GRA STRACHEM | Kreml doskonale rozumie te emocje i rozgrywa je, co chwila strasząc zachodnie elity i społeczeństwa. Szczególnie skutecznym straszakiem jest arsenał jądrowy. Rosjanie widzą, że nie ma lepszego narzędzia niż grożenie nuklearnym armagedonem i związana z tym psychologiczna presja.

Teraz, przed szczytem NATO w Waszyngtonie, Kreml postanowił aktywizować swoje tradycyjne instrumenty, aby nikomu na „poważnym Zachodzie" nie przyszło do głowy, by słuchać „niepoważnych" Bałtów, Polaków czy Skandynawów, gdy przekonują, że Ukraina powinna otrzymać jasny sygnał co do jej przyszłego członkostwa w Sojuszu. Taki sygnał mógłby być początkiem końca strategicznej niejednoznaczności co do miejsca Ukrainy w zachodnim systemie bezpieczeństwa.

Skoro jednak Waszyngton i Berlin są przeciwne nawet temu, by Sojusz wypowiedział Akt Stanowiący NATO-Rosja z 1996 r., który reguluje (a właściwie regulował) wzajemne stosunki, tym bardziej trudno liczyć na odważne powiedzenie, że Ukraina zaczyna nieodwracalny proces integracji euroatlantyckiej. Moskwa może zacierać ręce – i interpretować to jako zachętę do dalszego działania.

DWOISTE PODEJŚCIE | Aby nie powstał zbyt pesymistyczny obraz polityki Zachodu wobec Rosji, przyznajmy: skutkiem tej wojny jest też przekonanie – coraz mocniej rozpowszechnione – że putinowski reżim to zagrożenie fundamentalne.

Nawet jeśli niektórzy przedstawiciele elit zachodnich nadal bredzą o „kompromisie" (*de facto* kosztem ukraińskich ustępstw, także terytorialnych) lub o „zamrożeniu" wojny, do większości decydentów zdaje się docierać diagnoza (w Polsce oczywista), że upadek Ukrainy – lub choćby znaczące przesunięcie linii frontu na korzyść Rosji – oznaczałyby strategiczną klęskę świata Zachodu (kompromitującą zwłaszcza dla Stanów). Rośnie też świadomość, że nie da się zbudować bezpieczeństwa Europy bez bezpiecznej Ukrainy.

Mimo to podejście wielu najważniejszych państw Zachodu, w tym USA i Niemiec, pozostaje dwoiste. Z jednej strony mamy publiczną retorykę o „wspieraniu Ukrainy tak długo, jak to będzie konieczne" – o czym mówili wiele razy prezydent Biden i kanclerz Scholz, a co ostatnio wybrzmiało w komunikacie po spotkaniu grupy G-7 we włoskiej Apulii.

Z drugiej strony jednak istnieje też wymiar myślenia niezwerbalizowanego do kamery. Zakłada on, że odzyskanie przez Ukrainę straconych terytoriów jest niemożliwe, i że tak czy inaczej niezbędne będą jakieś negocjacje ukraińsko-rosyjskie. Wydaje się, że zakłada to też Kijów, skoro na kolejny „szczyt pokojowy" (nie wiadomo, kiedy i gdzie się odbędzie) mieliby zostać zaproszeni także przedstawiciele Rosji.

Z POZYCJI SIŁY | Tymczasem jeśli Zachód chce być skuteczny – także w ewentualnych rozmowach z Moskwą – musi być bardziej aktywny. Musi narzucać Rosji agendę, a nie tylko reagować na jej działania.

To z kolei wymaga uświadomienia sobie, że w tym największym od 80 lat konflikcie zbrojnym w Europie chodzi nie tylko o Ukrainę, lecz w równym stopniu o stabilność, bezpieczeństwo i suwerenność świata Zachodu. Ostatnie lata bezwzględnie udowodniły, że ułudą jest przekonanie o możliwości pokojowej koegzystencji z reżimem Putina. Ten patrzy na Europę przez pryzmat gry o sumie zerowej, gdzie są tylko wygrani i przegrani.

Aby być skutecznym, Zachód musi też kierować do Moskwy taki przekaz, który wpisze się w rosyjską kulturę strategiczną – bo tylko wtedy będzie zrozumiany. A zatem, z Kremlem rozmawiać należy z pozycji siły i bez nakładania na siebie jakichkolwiek samoograniczeń. Nic bowiem nie prowokuje Rosji bardziej niż polityka nieprowokowania Rosji.

Banalne, ale adekwatne jest stwierdzenie, że wynik tej wojny zależy także od tego, czy Zachód „ogarnie się" na tyle, by zachował stabilność wewnętrzną. Nie dopuszczając też do przejęcia władzy przez siły antysystemowe, które mają inny (najczęściej skrajnie naiwny) punkt widzenia na Rosję. I są wielką nadzieją Kremla.

Towarzyszyć temu musi systemowe wsparcie Ukrainy, militarne i finansowe. Bez tego utrata kolejnych terytoriów będzie kwestią czasu. Obecne strategiczne niezdecydowanie musi zostać zastąpione przez strategiczną odwagę zmierzenia się z wyzwaniem, które Kreml rzuca światu zachodnich norm i wartości.

OPÓR MIMO WSZYSTKO | Wróćmy na front. W kolejnych miesiącach ukraińska obrona prawdopodobnie nie załamie się. Warunki są niezmiennie bardzo trudne, choć dostawy z nowego pakietu amerykańskiego i początek dostaw w ramach czeskiej inicjatywy amunicyjnej znacząco poprawiły sytuację obrońców. Rosja szuka więc sukcesu, demolując infrastrukturę energetyczną. Zima 2024/25 może być wyjątkowo trudna. Aby wróg nie wyrządził dalszych zniszczeń, niezbędne są szybkie dostawy systemów obrony powietrznej.

Barbarzyńska rosyjska polityka wciąż wywołuje wśród Ukraińców bardziej nienawiść do Rosji niż załamanie się ducha obrony (na co ciągle liczy Kreml). Jeden przykład: według niedawnych badań polskiej i ukraińskiej młodzieży w grupie 18-26 lat, przygotowanych przez warszawskie Centrum Mieroszewskiego, dwa razy więcej młodych Ukraińców (54 proc.) niż Polaków (27 proc.) patrzy optymistycznie na przyszłość swojego kraju.

BEZ ZŁUDZEŃ | A co wydarzy się w perspektywie dłuższej niż kilka miesięcy? Jak zawsze przy prognozach, odpowiedź musi brzmieć: to zależy. Mimo ogromnego zmęczenia, problemów mobilizacyjnych, socjalnych, energetycznych i innych, najmniej obaw można mieć o Ukraińców. Dla nich to egzystencjalna wojna o wszystko. Każdy inny scenariusz niż kontynuowanie obrony byłby dla nich gorszy.

Więcej zależy zatem od Zachodu: ten musi w końcu zdać sobie sprawę ze swojego potencjału i zdobyć się na odwagę, aby go użyć. Do tego niezbędne jest, by dojrzeć – bez różowych okularów i myślenia życzeniowego – w jakim miejscu strategicznie jesteśmy. Oraz co jest stawką tej wojny. Bo skutki klęski Ukrainy wykraczałyby dalece poza jej granice. Oznaczałyby także klęskę demokratycznego systemu zachodnich wartości – i zwycięstwo modelu, który reprezentują dyktatury typu rosyjskiego i chińskiego.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

Wolontariusz André West w Donbasie, 7 czerwca 2024 r.

André i jego droga

TEKST I ZDJĘCIA:
ANTONINA PALARCZYK
SPOD MYRNOHRADU (UKRAINA)

Bardziej zaopiekowanych skrawków asfaltu niż te, za które zabrał się ten sumienny Niemiec, nikt nie znajdzie w całym obwodzie donieckim.

Trzecia trzydzieści. Czas wstawać. Artyleria śpi, dla piechoty też za wcześnie. Za to dla André Westa, 23-letniego wolontariusza z Niemiec, to moment idealny, by zbierać się do roboty. Szybkie śniadanie i kolejne dziewięć godzin, do trzynastej, spędzimy na łataniu drogi pod Myrnohradem (przed inwazją 50-tysięcznym miastem w obwodzie donieckim). Potem słońce stanie się tak dokuczliwe, że trzeba będzie uciekać z rozgrzanego asfaltu.

ZA POMOCĄ SZCZOTEK oczyszczamy dziurę w drodze z pyłu i okruchów. André poprawia po mnie, sumienny, dokładny. Po czym zabiera się za zasypywanie dziury tłuczonym asfaltem z recyklingu. Ma tego całą naczepę swojego auta – tak jak on, całego w maskującej zieleni.

– Oho, Rosjanie się obudzili – rzuca, gdy w oddali słyszymy pomruk. Linia frontu jest kilkanaście kilometrów stąd. On skupia się na pracy. – Staranniej. Najdrobniejsze okruchy przy brzegach, większe mogą być pośrodku. Kamienie wyrzucaj – instruuje.

Bardziej zaopiekowanych skrawków asfaltu niż te, za które zabrał się André, nikt nie znajdzie w całym obwodzie donieckim.

Wygracowaną powierzchnię zasypanej dziury spryskujemy dieslem. André uruchamia zagęszczarkę, której przejazd koronuje dzieło. Towarzyszą nam zdziwione spojrzenia, rzucane zza kierownic przejeżdżających aut. Większość to wojskowe terenówki – droga, którą remontuje André, prowadzi na pozycje.

DLACZEGO? To pytanie zadaje mu chyba każdy, kto go spotyka. Dlaczego zostawił dawne życie, by łatać drogi na zapleczu frontu?

– Bo nikt inny się tym nie zajmuje – odpowiada z prostotą, gdy po czterech godzinach robimy przerwę na kawę. – Mój cel to ułatwić pracę medykom. Na dziurawej drodze ambulans ewakuacyjny z rannym nie rozwinie dużej prędkości. A wtedy liczą się sekundy.

Wolontariuszem jest od początku pełnoskalowej wojny. Pierwszy rok spędził, ewakuując cywilów z przyfrontowych miejscowości (jak wielu z barwnej międzynarodowej ekipy, która przybyła tu, by jakoś pomóc). Od tamtego czasu wojna zamieniła się z manewrowej w pozycyjną, front przesuwa się powoli, za ewakuację odpowiada dziś zwykle policja. Zostały beznadziejne drogi.

– Miejscowa administracja nie robi tego. Ani też nie wchodzi mi w drogę. Nie konsultuję z nią remontów. Sam decyduję, który odcinek remontować. Zwracają się też do mnie o to żołnierze. Koszty? Sam pokrywam wszystkie.

PO TAMTYM ROKU, spędzonym na ewakuowaniu cywilów, często pod ostrzałem, łatanie dróg wydaje się być wręcz zajęciem relaksującym. Choć blisko frontu, jest zdecydowanie bezpieczniejsze. André czuje, że pomaga mu odzyskać spokój w głowie. Tak potrzebny przy zespole stresu pourazowego, którego nabawił się w 2022 r.

– Moja głowa tu odpoczywa, ale ciało nie. To naprawdę okropna robota i chyba tylko zupełny wariat miałby z niej frajdę. Za to widzę, że ma ona sens.

– Wydajesz się zafascynowany, gdy opowiadasz o tej pracy – mówię.

– To tylko moje ADHD – André uśmiecha się, choć niezbyt mu chyba do śmiechu. – Staram się robić najlepiej to, co robię. Mam kilka książek o konstrukcji dróg, czytam amerykańskiego ebooka o asfalcie.

JEGO PTSD zaczęło się od wizualnych halucynacji. Tak André wspomina pierwsze objawy zespołu stresu pourazowego. – Po kilku sytuacjach, gdy podczas ewakuacji znaleźliśmy się pod artyleryjską nawałą – wspomina. – Potem eksplozje zaczęły pojawiać się w różnych losowych momentach, ale były tylko wytworem mojej wyobraźni. Bezdźwięczne. Po tym odróżniałem je od prawdziwych i orientowałem się, że to tylko moja głowa. Potem zaczęły się pojawiać nocne koszmary, wszystkie dotyczące wojny, realistyczne. We śnie wywoziłem babuszki, gdy nagle eksplodowała bomba atomowa i znikałem.

Teraz takie sny wracają tylko co dwa-trzy tygodnie. Za to objawem, który towarzyszy mu na co dzień, jest chroniczne zmęczenie: – Niezależne od tego, ile godzin prześpię. Mógłbym w tym momencie, tu na krześle, zasnąć. Myślę, że to najgorszy objaw PTSD.

Wracamy do pracy. Droga przed nami daleka. ©

Bój o corridę

AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z ALMERII (HISZPANIA)

Walki byków uznawane są w Hiszpanii ustawowo za dziedzictwo kulturowe. Obrońcy praw zwierząt nie ustępują i chcą ich zakazu. Co na to młodzi torreadorzy? Odwiedziliśmy ich szkołę.

Utrzymanie w ryzach peleryny to nie lada wyzwanie, gdy ma się osiem lat, słupek rtęci pokazuje 38 stopni, a od Morza Śródziemnego wieje silny wiatr, który wcale nie chłodzi.

Nie przeraża to jednak młodych adeptów szkoły dla torreadorów w Almerii, nadbrzeżnego miasta w południowej Hiszpanii. Przerwa na łyk wody – i wracają do ćwiczeń na betonowym boisku.

– Liczą się postura i estetyka, ale ważny jest też uśmiech – mówi mi José Márquez, były torreador, który prowadzi zajęcia. Wyjaśnia, że dziś uczniowie ćwiczą tzw. przejście z peleryną. To moment, gdy torreador triumfuje już nad bykiem i dostaje kilka minut chwały na arenie.

MARZENIE | W almeryjskiej szkole torreadorów uczy się obecnie 21 adeptów: 20 chłopców i jedna dziewczyna. Lekcje odbywają trzy razy w tygodniu po prawie trzy godziny. Najmłodsi mają osiem lat, najstarsi dziewiętnaście. Są podzieleni na grupy według zaawansowania.

Jednym z młodszych uczniów jest 13-letni Antonio, którego rodzice muszą dowozić do szkoły z oddalonej o 70 km gminy Láujar de Andarax. Niski brunet wyznaje, że jest im za to bardzo wdzięczny, bo żeby przywieźć go na zajęcia, muszą zwalniać się wcześniej z pracy.

Jak to się u niego zaczęło? – Już jako trzylatek trzymałem w rękach pelerynę i muletę [czerwony materiał do przyciągania uwagi byka – red.]. Mistrz przyjeżdżał wtedy do naszej wsi na festiwale i pokazy. To wtedy zapragnąłem zostać torreadorem – wspomina Antonio.

MAESTRO | Mówiąc „mistrz" (hiszp. *maestro*), Antonio ma na myśli Manuela Ruiza. Ten 52-letni były torreador to dyrektor szkoły w Almerii. Dla uczniów jest też wzorem: ma na koncie wiele słynnych występów, w tym na arenie Las Ventas w Madrycie, jednym z najbardziej prestiżowych miejsc dla torreadorów. Występował także we Francji, Meksyku, Ekwadorze.

Gdy przed wizytą w szkole rozmawiałam z Ruizem w pobliskiej kawiarni, przyznał, że u podopiecznych ocenia nie tylko umiejętności fizyczne i taktykę, ale też prezencję i sposób wypowiedzi. – Kondycja jest ważna, ale liczy się też praca nad charakterem. Torreadorzy nie spoczywają na laurach, stale nad sobą pracują. Osiągają sukcesy, ale pozostają skromni. Mają też swój charakterystyczny sposób bycia, styl ubierania – wylicza Ruiz.

Ośrodek w Almerii prowadzi od 14 lat. Wspomina, że gdy sam zaczynał treningi w latach 80. XX w., w kraju były tylko dwie szkoły przygotowujące do zawodu torreadora. Dziś jest ich ponad 70, z czego połowa działa w Andaluzji.

Ruiz: – Zdecydowałem się zaoferować miastu i jego mieszkańcom moje umiejętności, stworzyć coś, czego mnie samemu tak bardzo brakowało, gdy zaczynałem w tym fachu, czyli szkołę dla torreadorów. Dla kogoś, kto chce nim być, nigdy nie jest za późno, ale przygotowanie od zera musi potrwać. Dlatego warto zaczynać pracę już z dziećmi.

PORZUCILI PIŁKĘ | Gdy Ruiz zjawia się na zajęciach, widać, że budzi szacunek. Wcześniej mówił mi, kogo z najstarszych uczniów zamierza wystawić w najbliższej corridzie, ale na razie nie chce tego zdradzać, by nie zniechęcać innych. Codzienna ciężka praca – to jego dewiza.

– Widzisz tego niskiego blondyna? – wskazuje Ruiz, gdy przyglądamy się lekcji przejścia z peleryną. – To Pablo. W zeszłym roku przyszli do mnie jego rodzice i mówią: „Nasz syn od najmłodszych lat trenuje piłkę nożną, kupowaliśmy mu najlepsze korki, woziliśmy na treningi. Dobrze mu szło. Ale teraz mówi nam, że nie chce już być piłkarzem, lecz torreadorem. Nie wiemy, skąd mu się to wzięło".

Teraz zwracam uwagę, że także inni uczniowie noszą piłkarskie koszulki. Być może nie tylko Pablo chciał być wcześniej piłkarzem.

CRISTINA QUICLER / AFP / EAST NEWS

Walki byków na arenie La Maestranza w Sewilli, 24 kwietnia 2023 r.

Dziś, po roku zajęć w szkole Ruiza, 16-letni Pablo jest dobrze zapowiadającym się torreadorem. Ma już za sobą pierwszy występ w rywalizacji młodzieżowej.

PLAN B | Dumą dyrektora jest też 19-letni Antonio.

Pytam go, dlaczego chce zostać torreadorem.

– Dla mnie to nie zawód, ale sposób na życie – odpowiada. – Żeby być torreadorem, trzeba mieć pewne cechy i umiejętności, które rozwijasz i starasz się doprowadzić do perfekcji. Szkołę dla torreadorów łączę z uczelnią. Jestem na pierwszym roku studiów pedagogicznych. Ale to mój plan B. Najważniejsze są dla mnie walki z bykami.

Silny wiatr uniemożliwia w końcu trening na boisku. Dyrektor zabiera więc ze sobą kilku uczniów za budynek szkoły, gdzie wiatr jest mniej dolegliwy. Tam postanawia ćwiczyć z nimi uderzenie szpadą. Polega to na tym, że jeden z uczniów odpowiedzialny jest za trzymanie taczki z postacią byka, wypchaną w środku słomą.

– Wyżej łokieć, nie ruszaj tak ramieniem – instruuje Ruiz, gdy Antonio staje naprzeciw wypchanego byka.

NAGRODA NIEZGODY | Walki torreadorów z bykami odbywają się dziś w dziesięciu krajach świata: Hiszpanii, Portugalii, Francji, Meksyku, Wenezueli, Peru, Ekwadorze, Gwatemali, Chinach i Indiach.

W Hiszpanii na specjalnie przeznaczonych do tego arenach, zwanych *plaza de toros*. Areny, które są w niemal każdym hiszpańskim mieście, to owalne odkryte obiekty, gdzie walki toczone są na piaszczystym podłożu. Widać, że bliskość aren stanowi walor promocyjny dla okolicznych restauracji, które oferują „mięso z byka".

Zwierzęta, które biorą udział w corridzie, zwane są *bravos*. To odmiana masywna (może ważyć nawet 500 kg) i co najważniejsze: temperamentna.

Temperamentny jest także spór, który trwa w Hiszpanii o corridę od lat, z różnym natężeniem. Teraz powrócił, gdy w maju minister kultury Ernest Urtasun postanowił, że w tym roku nie przyzna 30 tys. euro dla najlepszego torreadora. „Ludzie nie rozumieją, dlaczego przyznajemy nagrody za torturowanie zwierząt" – uzasadniał decyzję.

Ministra poparli politycy z lewicowej koalicji Sumar, z której się wywodzi Urtasun. Socjaliści, z którymi Sumar tworzy razem rząd, nie zajęli stanowiska. W końcu to rząd socjalistów, na czele z ówczesnym premierem Josém Luisem Zapatero, ustanowił w 2011 r. tę nagrodę. Ostatni raz przyznano ją w 2023 r. Juliánowi Lópezowi, zwanemu „El Juli", na zakończenie jego 25-letniej kariery.

PO STRONIE ZWIERZĄT | Decyzję ministra z satysfakcją przyjęła partia ochrony praw zwierząt PACMA, która od 21 lat walczy o zakaz corridy. Jako jedyna z hiszpańskich partii politycznych ma to wpisane w swój program.

– W ciągu ostatnich czterech lat w Hiszpanii przyznano corridzie ponad 6 mln euro subwencji ze środków unijnych, państwowych i lokalnych. Ponadto szkoły dla torreadorów i fiesty z walkami byków otrzymują dodatkowe środki. Ile? Tego dokładnie nie wiemy. Jako PACMA cieszymy się z decyzji ministra kultury, ale to za mało. Priorytetem jest teraz odebranie corridzie subwencji – mówi mi Eduardo Milla, koordynator PACMA w Almerii.

Partia zbiera teraz podpisy pod projektem ustawy, która ma odebrać corridzie jej specjalny status (aby projekt był procedowany, potrzeba ich pół miliona). W 2013 r. weszła bowiem w życie ustawa, która walki byków uznaje za dziedzictwo kulturowe Hiszpanii.

Praktyka pokazuje, że najwięcej walk byków organizuje się w Andaluzji, następnie w Madrycie oraz w Kastylii-La Mancha.

TRADYCJA... | Wszelkie wydarzenia z udziałem byków są natomiast zakazane na Wyspach Kanaryjskich i w Katalonii. Ubolewa nad tym 74-letni Juan Antonio Prades, który corridy ogląda od prawie pół wieku. Prades, który pochodzi z delty Ebro w Katalonii, uważa, że walki z bykami są nierozerwalnie związane z tożsamością Hiszpanów.

– W każdej wsi i miasteczku organizuje się fiesty na część patrona miasta, w moim regionie to cztery dni fiesty i zabawy z udziałem byków. Wszyscy brali w tym udział, tworzyło się nawet sztuczne areny do walki byków. Tak się wychowałem. Niezależnie, czy rozmawiamy o Galicji, Asturii, Kraju Basków czy o Andaluzji. Kiedy nie ma w mieście specjalnej areny, organizuje się ją na głównym placu miasta. I tak już jest, od kiedy świat jest światem, mamy to w genach – mówi Juan Antonio.

Mężczyzna przekonuje, że corrida to prawdziwy spektakl: – Gdy się ją ogląda, trzeba zwracać uwagę na szczegóły. W corridzie, w której torreador próbuje ujarzmić i zapanować nad bykiem, nie ma miejsca na improwizację. Chyba że coś idzie nie po myśli torreadora i musi ocalić życie. Oglądam corridy od prawie 50 lat, a zawsze znajduję w nich coś nowego.

...CZY CIERPIENIE | Juan Antonio przyznaje, że ma świadomość, iż byk cierpi. Ale podkreśla, że corrida to część hiszpańskiej kultury, która w dodatku pobudza gospodarkę i turystykę.

Inaczej widzą to działacze partii PACMA: zapewniają, że Hiszpania jest bogata w inne tradycje i nie musi kontynuować tej związanej z cierpieniem zwierząt.

– Weterynarze mówią, że to bardzo bolesna śmierć. Przy każdym uderzeniu byk traci krew i siłę, aż do momentu, gdy umiera. Naszym zdaniem to znęcanie się nad zwierzętami nie może być ↦

Po lewej: ćwiczenia w szkole torreadorów: uczeń trzyma taczki imitujące byka, drugi uderza szpadą. Poniżej: przejście z peleryną, tj. moment triumfu nad bykiem. W tle dyrektor szkoły Manuel Ruiz (z lewej) i nauczyciel José Márquez. Almeria, czerwiec 2024 r.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA X2

traktowane jako element kultury – mówi mi Eduardo Milla, polityk PACMA.

Partia ma listę wszystkich organizowanych w Hiszpanii walk byków. Jej działacze planują protesty przed każdą areną do czasu, aż corrida zostanie zakazana w całym kraju.

I wskazują na pewną niekonsekwencję: we wrześniu 2023 r. w Hiszpanii weszło w życie nowe prawo chroniące zwierzęta. Czytamy w nim, że właściciele zwierząt domowych powinni ukończyć specjalny kurs przygotowujący ich do „nowej roli". Ponadto zwierzęta nie mogą być umieszczane na wystawach sklepów zoologicznych, nie można też zostawiać psów bez opieki w domu powyżej 24 godzin. Za znęcanie się nad zwierzętami może grozić od 500 do nawet 200 tys. euro grzywny. Nowe prawo pomija temat ochrony byków, które przecież umierają podczas corridy.

„DZIECKO GRATIS" | Osobna kwestia to obecność dzieci na walkach.

Obecnie to, czy nieletni mogą być na corridzie, zależy od prawa w danej wspólnocie autonomicznej (odpowiednik województwa). Niedawno jedna z firm zajmujących się sprzedażą biletów na corridę w Sewilli zaczęła kampanię: „Jeden bilet, jedno dziecko gratis", proponując darmowy bilet dla dzieci poniżej 8. roku życia.

Firma uzasadnia to tak: „Rozwiązanie ma wprowadzić najmłodszych w świat corridy i wzbudzić u nich zainteresowanie". Kampania spotkała się z krytyką nie tylko obrońców praw zwierząt, ale też psychologów, którzy wskazywali, że to może źle wpływać na rozwój dzieci.

Z kolei na wyspiarskich Balearach areny byków muszą być oznaczone tabliczkami ostrzegającymi, że „spektakle mogą być nieodpowiednie dla osób wrażliwych"; zabroniony jest tam wstęp dzieci. Choć to może się zmienić – prawicowy rząd regionalnych Balearów pracuje nad zmianą przepisów.

ODWROTNY EFEKT? | Juan Antonio Prades uważa, że decyzja ministra o nieprzyznawaniu nagrody to kolejny krok do zniszczenia kultury corridy w Hiszpanii.

Dlatego 74-latek prowadzi stronę internetową, która nazywa się *Tauroarte* (w wolnym przekładzie: O sztuce walk byków). Jej deklarowany cel to, jak czytamy: „Za wolność i istnienie corridy w Kolumbii, Meksyku, Wenezueli (...) i krajową nagrodę w Hiszpanii".

W maju parlament Kolumbii zakazał organizacji walk. Prades uważa, że to samo może grozić pozostałym krajom, w których władze przejmuje lewica.

Były torreador Manuel Ruiz mówi mi, że corrida to sztuka i powinna być apolityczna. Ruiz uważa, że nie przyznając nagrody dla najlepszego torreadora, Ministerstwo Kultury osiągnęło odwrotny efekt do zamierzonego: – Ludzie nie chcą, aby ktoś im mówił, jak żyć. Ci, którzy nie byli zwolennikami corridy, dziś zaczęli się tym bardziej interesować. Na ulicy oczywiście możesz usłyszeć wiele radykalnych głosów. Ale rezygnacja z przyznawania krajowej nagrody dla najlepszego torreadora sprawiła, że wiele regionów kraju postanowiło przyznać swoje regionalne nagrody. Jak Kastylia-La Mancha, Walencja, Andaluzja.

Ruiz uważa też, że popularność corridy nie słabnie. Świadczyć ma o tym publiczność na prestiżowej fieście w Madrycie, na cześć patrona miasta świętego Izydora, podczas której kolejne corridy odbywają się przez 28 dni. Także w tym roku podczas większości pokazów arena, mogąca pomieścić 24 tys. widzów, była wypełniona po brzegi.

Innego zdania jest Eduardo Milla z partii PACMA: twierdzi, że w 2022 r. w wydarzeniach z udziałem byków uczestniczyło 775 tys. ludzi, podczas gdy w 2019 r. były to ponad trzy miliony. – To jedne z najgorszych statystyk od dekady, co najlepiej świadczy, że spada zainteresowanie corridą – mówi Milla.

A GDYBY... | W dniu, gdy odwiedzam szkołę dla torreadorów, w Madrycie trwa kolejny dzień tegorocznej Fiesty Świętego Izydora, rzecz jasna z walkami byków. Jej rangę podnosi obecność króla wśród publiczności.

Gdy Manuel Ruiz ćwiczy teraz z trójką uczniów, jak prawidłowo zadawać cios szpadą w byka, reszta chłopców myślami jest gdzieś indziej.

– Teraz Ferrera! – krzyczy jeden, a inni, też przyklejeni do telefonów, powtarzają to nazwisko. Antonio Ferrera to jeden z najlepszych hiszpańskich torreadorów, uczniowie mu kibicują.

Dla nich spełnieniem marzeń byłby występ na madryckiej arenie Las Ventas, zbudowanej w latach 30. XX wieku. Zapewne będzie to dane tylko nielicznym z nich.

Na razie skupiają się na treningach. Nie chcą myśleć, co by było, gdyby... Gdyby na przykład corrida została jednak zakazana w całej Hiszpanii.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ELIJAH NOUVELAGE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Również w półmilionowej Atlancie, stolicy stanu Georgia (na zdjęciu), rosną dziś ceny nieruchomości. Wcześniej problem dotyczył głównie metropolii, dziś jest tak w całych Stanach. Wrzesień 2023 r.

W pogoni za American dream

MARTA ZDZIEBORSKA

Kupno własnego domu było w USA wyznacznikiem prosperity. Ponieważ Amerykanów coraz rzadziej na to stać, źle oceniają gospodarczą sytuację kraju. To zły sygnał dla Bidena i jego reelekcji.

Katie Gillespie, 42-latka z Austin, nie zdążyła się przebrać. Gdy rozmawiamy wczesnym popołudniem, ciągle ma na sobie turkusową koszulkę z logo sieci supermarketów H-E-B, popularnej wśród Teksańczyków.

Jako pracownica stoiska z pieczywem i ciastami, Katie zaczyna swój długi, niekiedy 12-godzinny dzień pracy o czwartej rano. Mija się z mężem Derekiem, też piekarzem, który po nocnej zmianie wraca do domu około piątej. Wybrali taki grafik, aby mieć większy udział w wychowaniu swoich dziesięcioletnich bliźniaczek. Nawet jeśli Derek rano śpi, to dziewczynki, szykując się do szkoły, zawsze mogą go obudzić i poprosić o pomoc.

Małżeństwu nie brakuje w życiu determinacji. Podobnie jak i pecha.

PRZED I PO PANDEMII | Cofnijmy się o parę lat. Jest początek roku 2020, gdy Katie i Derek przymierzają się do kupna domu. Mają 50 tys. dolarów wkładu własnego i czystą historię kredytową. Chcą wziąć pożyczkę hipoteczną, zakontraktowali już agenta nieruchomości i rozglądają się za ofertami.

Ich plany niszczy pandemia: Ameryka pogrąża się w lockdownie, Katie traci pracę i ląduje na zasiłku. W takiej sytuacji żaden bank nie da im pożyczki, nawet jeśli Derek dalej pracuje. Małżeństwo zostaje więc z oszczędnościami, które tracą na wartości wraz z inflacją, oraz z szybującymi cenami nieruchomości.

Katie mówi dziś w rozmowie z „Tygodnikiem", że za nieduży dom w południowej części ich miasta, którą upatrzyli sobie cztery lata temu, musieliby teraz zapłacić ponad 400 tys. dolarów. Przed pandemią za taką kwotę kupiliby prawie dwa domy.

W Austin, uznawanym za jedno z najdroższych miast do życia w Stanach, wzrosły też ceny najmu. Katie wylicza, że jej rodzinę stać na zamieszkanie jedynie na wschodnich przedmieściach, gdzie jest wysypisko, kilka zakładów recyklingu i piszczy bieda. Wynajem małego domu w tej lokalizacji kosztowałby 2,5 tys. dolarów miesięcznie.

ŻYJEMY SKROMNIE | Aby uniknąć takich wydatków, od kilku lat pomieszkują w wymagającym remontu domu, który należy do jej ojca. – Tata kupił go w latach 80. XX wieku za 60 tys. dolarów. To niewiele więcej, niż zaoszczędziliśmy na wkład własny. Teraz, aby wziąć kredyt hipoteczny, musielibyśmy mieć na starcie 100 tys. dolarów – wylicza Katie.

Czasem myśli, że jedynym sposobem na zdobycie własnego kąta będzie kiedyś ↦

odziedziczenie tego domu w spadku. – Nie przestajemy oszczędzać na wkład własny: nie jeździmy na wakacje, nie chodzimy do restauracji, nie dajemy sobie drogich prezentów. Żyjemy skromnie – Katie z nostalgią wspomina czasy, gdy przystępne cenowo Austin przyciągało studentów i miłośników muzyki na żywo.

Dziś przyciąga firmy technologiczne. W czasie pandemii, uciekając przed wysokimi kosztami życia i podatkami w Kalifornii, swoje biura otworzyli tu najwięksi: Amazon, Apple, Tesla. Miasto przeistoczyło się w plac budowy: projektowano nowe drapacze chmur, centra handlowe i osiedla. Do przeprowadzki do Austin zachęcał też fakt, że na początku pandemii kredyty hipoteczne na 30 lat były nisko oprocentowane, na poziomie 3 procent.

Dziś oscylują wokół 7 procent. Gdy pod koniec maja spadły wreszcie poniżej tego pułapu, był to powód do zadowolenia. Nie zanosi się jednak na szybkie zmiany. Rezerwa Federalna (odpowiednik NBP w Polsce) już wielokrotnie sygnalizowała, że z obniżką stóp wstrzyma się do czasu, aż inflacja skurczy się z ponad 3 do 2 procent.

ROSNĄCE KOSZTY | Problem wysokich cen nieruchomości, wcześniej typowy dla dużych liberalnych miast (jak Nowy Jork i San Francisco), dziś dotyczy całych Stanów. Według danych cytowanych przez dziennik „The New York Times", od końca 2019 r. średnie ceny domów w całym kraju wzrosły o 46 proc., a stawki za wynajem o 22 procent.

Jeśli dodać do tego wyższe ceny żywności i paliwa, a także drogie żłobki, które muszą opłacić młode rodziny z dziećmi, kredyt hipoteczny jest dla wielu nieosiągalny. Cytowana przez telewizję CNN Hana Husković, 36-letnia ekonomistka z urzędu statystycznego w Atlancie, mówiła, że wraz z żoną Michelle nie są w stanie zaoszczędzić na wkład własny. Po urodzeniu ich synka Michelle zrezygnowała z kariery i skupiła się na wychowaniu, bo nie stać je na koszmarnie drogi żłobek.

Na to samo zdecydowało się małżeństwo z Kalifornii: Allison Powell, pielęgniarka, chodzi dalej do pracy, a jej mąż Liam wziął urlop z policji i zajmuje się niespełna roczną córką (opieka w żłobku kosztowałaby aż 2,5 tys. dolarów miesięcznie). Para przyznaje, że już teraz sięga po oszczędności, by pokryć koszty życia. „Czuję, że stać nas będzie na kupno domu dopiero około pięćdziesiątki. Nie mamy szans na spełnienie *American dream* w takim stopniu, jak moi rodzice w latach 90. XX wieku" – mówiła Allison. Wraz z mężem wynajmują dom od rodziców, po preferencyjnych stawkach – tak jak Katie i Derek z Austin.

KALIFORNIA BOGATYCH | Z kolei młodzi single idą o krok dalej: aby obniżyć koszty życia, wiele osób samotnych wraca do rodzinnego domu. Z analizy Pew Research Center wynika, że robi tak 57 proc. singli w wieku od 18. do 24. roku życia.

Z rodzicami przez pół roku pomieszkiwała też 26-letnia Nikayla Jefferson z San Diego w Kalifornii. Ponieważ, jak mówi „Tygodnikowi", trudno w takich warunkach uniknąć konfliktów, przeprowadziła się na kilka miesięcy do znajomych w północnej Kalifornii. Podnajmuje u nich pokój za 1,2 tys. dolarów miesięcznie. Jak na ten stan, to i tak tanio. W San Diego za mieszkanie z jedną sypialnią i salonem musiałaby płacić co najmniej 1,9 tys. dolarów. Studentka, która właśnie kończy magisterkę z politologii, nie ma takich pieniędzy.

– Długo wykluczałam wyprowadzkę z Kalifornii – mówi mi Nikayla. – Jednak latem pojadę do znajomych w Minnesocie, aby zobaczyć, jak się tam żyje. Słyszałam, że wynajem przyzwoitego pokoju kosztuje tam do 800 dolarów, a mieszkania do 1400 dolarów – wylicza i ocenia, że nigdy nie będzie jej stać na dom w rodzinnym stanie.

– Kalifornia staje się miejscem tylko dla bogatych, a rządzący nie robią nic, by to zmienić. Nie czuję, że los mojego pokolenia ich obchodzi – podsumowuje Nikayla.

ZASTÓJ NA FLORYDZIE | Mieszkaniowy kryzys widać też w Sarasocie, mieście nad Zatoką Meksykańską na Florydzie. Dorota Świerkowska, pośredniczka z ponad 30-letnim stażem na amerykańskim rynku nieruchomości, mówi „Tygodnikowi", że wśród jej klientów wymiotło klasę średnią. O pomoc w szukaniu domu zwracają się do niej już tylko majętni emeryci lub ludzie po pięćdziesiątce, którzy po latach pracy np. w Nowym Jorku chcą odpocząć na słonecznej Florydzie.

– Przestałam mieć zapytania od osób szukających najtańszych domów. Dziś nawet rodziny, w których dwie osoby zarabiają, mają trudności z utrzymaniem się, nie mówiąc już o wzięciu kredytu hipotecznego. Jednocześnie nie brakuje bogatych Amerykanów, zarabiających po 200 tys. dolarów rocznie. Jeśli ślub wezmą dwie osoby z takimi pensjami, będzie ich stać na dom – ocenia pośredniczka.

W Sarasocie ceny nieruchomości ostatnio wyhamowały. Dorota Świerkowska uważa, że przyczyną jest nie tylko mniejszy popyt, ale też wybory prezydenckie: – To trend, który obserwuję na Florydzie co cztery lata. Ludzie zwlekają z decyzją o kupnie domu, bo nie są pewni, jaką politykę ekonomiczną będzie prowadzić zwycięski kandydat.

Z drugiej strony przybywa właścicieli domów, którzy chcą się z Florydy wyprowadzić. Robią to, bo nie stać ich na opłatę podatku od nieruchomości. Ten poszybował wraz ze wzrostem wartości ich domów. – Niektórzy płacą teraz nawet 4,6 tys. dolarów rocznie. Jeśli dodać do tego wysokie koszty utrzymania, taki wydatek jest dla wielu nie do przeskoczenia – tłumaczy Dorota Świerkowska. Dodaje, że mieszkańcy Florydy przenoszą się głównie do Karoliny Południowej lub Georgii, gdzie kupią tańszy dom i zapłacą niższy podatek.

O takim trendzie mówi mi też Katie Gillespie. Jej teściowa sprzedała dom w modnej dzielnicy Austin i wyprowadziła się do oddalonej o prawie 30 km miejscowości Pflugerville. Powód: jej podatek od nieruchomości wzrósł do 2,3 tys. dolarów rocznie.

BIDEN MA PROBLEM | Wysokie ceny na rynku nieruchomości to efekt topniejącej podaży. W USA od dekad budowano za mało domów w stosunku do tempa, w jakim rosła populacja. Budowę dodatkowo spowolnił kryzys finansowy, który zaczął się rozkręcać w 2007 r., rosnące koszty i narzucane przez władze lokalne restrykcje (np. zakazujące stawiania bloków na osiedlach jednorodzinnych). Problem z dostępnością mieszkań pogłębia też wspomniane wysokie oprocentowanie kredytów.

Trudna sytuacja mieszkaniowa może być jednym z istotnych wątków w kampanii o Biały Dom. Społeczne nastroje odbijają się na ocenie stanu amerykańskiej gospodarki za rządów Joego Bidena. Z kwietniowego sondażu Bloomberg News/Mor-

ning Consult, prowadzonego w siedmiu kluczowych dla tych wyborów stanach, wynikało, że aż 70 proc. uważa, iż gospodarka zmierza w złym kierunku. I to pomimo, że bezrobocie jest rekordowe niskie, a płace sukcesywnie rosną.

Nawet po skazaniu Trumpa w procesie karnym, to jemu respondenci bardziej ufają w sprawach gospodarczych (41 vs. 37 proc. według ogólnokrajowego sondażu FT-Michigan Ross).

Frustracja narasta zwłaszcza wśród młodych Amerykanów, w grupie wiekowej do 34. roku życia. Częściej niż inni postrzegają problemy na rynku mieszkaniowym jako te, które mogą wpłynąć na ich decyzje wyborcze. To zły sygnał dla Bidena – w 2020 r. młodzi byli jedną z kluczowych grup elektoratu, która pomogła mu zdobyć prezydenturę.

RUCHY W KAMPANII | Cytowany przez agencję Associated Press ekonomista Mark Zandi do wyborczej układanki dokłada też wysokość rat kredytów hipotecznych. „Jeśli oprocentowanie spadnie do poziomu ok. 6 proc., szanse na zwycięstwo Bidena wzrosną. Ale jeśli poszybują do 8 proc., to Trump może mieć szansę na przewagę" – ocenia Zandi.

Może dlatego Biden coraz częściej skupia się w swej kampanii na sytuacji mieszkaniowej. Podczas lutowego orędzia o stanie państwa (corocznego przemówienia, w którym prezydent mówi o ważnych dla kraju sprawach) obiecał ulgi podatkowe dla osób kupujących lub sprzedających swój pierwszy dom. W kwietniu jego administracja zakazała podwyższania czynszu o więcej niż 10 proc. na osiedlach dla najbiedniejszych, które zbudowano przy wsparciu rządu federalnego. Dotyczy to 2,6 mln mieszkań w całym kraju.

Rząd federalny sygnalizuje też, że będzie naciskać na władze lokalne, by luzowały przepisy, które utrudniają szybką budowę mieszkań i domów. Ale w tej kwestii Biały Dom ma ograniczone pole manewru i głównie może kusić miasta federalnymi grantami na inwestycje.

DOMEK NA DZIAŁCE | Niektórych do reformy przepisów nie trzeba przekonywać. W całym kraju lokalne władze zmniejszają minimalną powierzchnię, na jakiej wolno budować, i zezwalają na stawianie na działkach przybudówek lub

ARCHIWUM PRYWATNE

KATIE GILLESPIE *żyje skromnie, jej rodzina oszczędza na dom. Z nostalgią wspomina czas, gdy Austin było tanim miastem.*

EMMA THOMPSON / ARCHIWUMM PRYWATNE

MICHAŁ KOPERA *z Boise w stanie Idaho ma szczęście: wraz z żoną zdążyli z zakupem domu, zanim ceny wymknęły się spod kontroli.*

małych drewnianych domów. Ich najem może być atrakcyjny dla gorzej zarabiających Amerykanów.

Restrykcje budowlane poluzowały również, po raz pierwszy od 60 lat, władze miasta Boise, stolicy stanu Idaho. Boise zapracowało sobie na miano jednego z najmniej przystępnych cenowo rynków mieszkaniowych. Podobnie jak w teksańskim Austin, to głównie za sprawą uciekających z Kalifornii pracowników branży technologicznej.

Wie coś o tym Michał Kopera, 41-letni naukowiec z wydziału matematyki na Boise State University. Władzom jego uczelni coraz trudniej jest zatrzymać pracowników, których pensje nie nadążają za rosnącymi kosztami życia. Kopera wylicza, że w ostatnich latach na jego wydziale grupa statystyków skurczyła się z pięciu do dwóch osób, a z zaprzyjaźnionego wydziału informatyki odeszło czterech profesorów.

– Trudniej nam też przyciągnąć studentów do pracy przy projektach naukowych. Lukę zapełniają obcokrajowcy, dla których komfort życia ma mniejsze znaczenie, albo miejscowi, którzy nie wyobrażają sobie wyprowadzki z Boise – mówi mi Michał Kopera.

DOBRY MOMENT | Naukowiec ma duże szczęście, bo zdążył z zakupem domu, zanim ceny w Boise wymknęły się spod kontroli. W 2018 r. wraz z żoną Eweliną wzięli kredyt na dom wart 250 tys. dolarów; oprocentowanie wynosiło wtedy ok. 4,5 procenta. Musieli wykupić drogie ubezpieczenie kredytu, bo nie mieli wkładu własnego. Jednak po dwóch latach nie trzeba już było płacić ubezpieczenia, bo wartość domu podskoczyła o 50 tys. dolarów i zakwalifikowano im to jako wkład własny. Dziś ich dom wart jest ok. 440 tys. dolarów.

– Mieszkamy na obrzeżu Boise, ale z dobrym dojazdem do centrum. Dziś moglibyśmy tylko pomarzyć o kupnie domu w tym miejscu. Coraz więcej ludzi wyprowadza się na dalsze przedmieścia i stoi codziennie w korkach, jadąc do pracy – mówi Kopera.

Polak znalazł się w gronie 14 mln pożyczkobiorców w USA, którzy w latach 2020-21 skorzystali na niskich stopach procentowych i refinansowali kredyty hipoteczne. Gdy Biden zaczynał swoją kadencję, średnie oprocentowanie pożyczki na 30 lat wynosiło zaledwie 2,7 procenta. Nic dziwnego, że dziś Ameryka jest wściekła.

PÓJDĄ? NIE PÓJDĄ? | 26-letnia Nikayla Jefferson z San Diego mówi mi, że czuje się opuszczona przez rząd federalny i nie wyklucza, że odpuści sobie głosowanie w listopadowych wyborach prezydenckich. – Jestem z Kalifornii, więc mój głos nic nie znaczy. Tutaj zwycięstwo i tak przypadnie Bidenowi – Nikayla nawiązuje do faktu, że w tym liberalnym stanie głosy elektorskie od dekad zgarniają kandydaci Partii Demokratycznej.

Gorzej dla Bidena, jeśli udział w głosowaniu odpuszczą sobie również ludzie młodzi z tych stanów, w których wynik wyborów nie jest oczywisty; w wielu z nich poparcie dla obu kandydatów jest dziś bardzo wyrównane. Tam też coraz trudniej dogonić *American dream.*

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

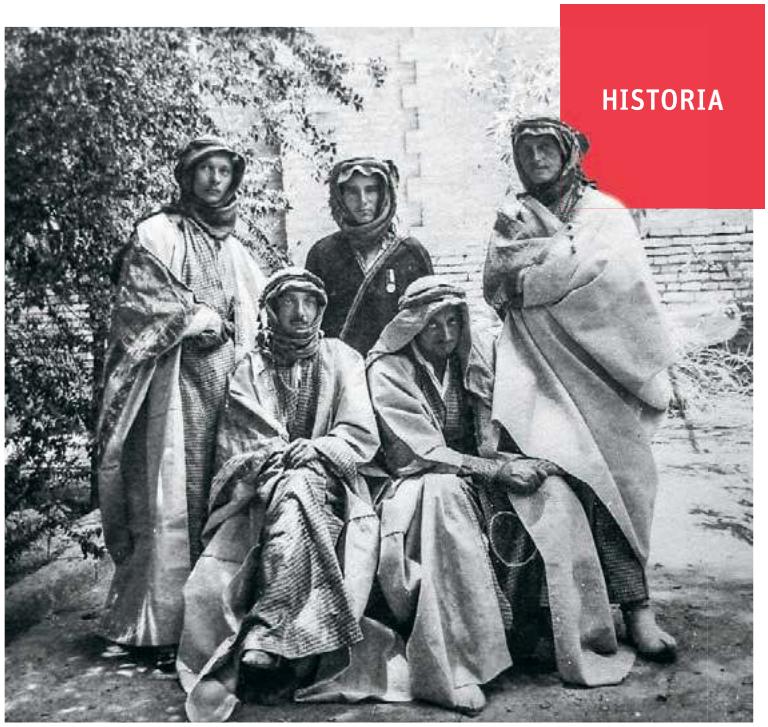

DOMENA PUBLICZNA X2

ŚWIĘTA WOJNA ORIENTALISTÓW

Globalny konflikt, który wybuchł 110 lat temu, w lipcu 1914 r., ogarnął też Bliski Wschód. Berlin i Londyn stanęły przed pokusą, by wzbudzić burzę w świecie islamskim i skierować ją przeciw rywalom.

ALEKSANDER R. MICHALAK

W drugiej połowie wieku XIX i na początku XX zainteresowanie Bliskim Wschodem przeżywało w Europie wielki rozwój. Orient znacząco się przybliżył – za sprawą nauki, odczytania starożytnych języków, jak też bardziej dosłownie, dzięki kolei i statkom parowym. Również odkrycia archeologiczne zwiększały zainteresowanie światem, w którym powstały Biblia i Koran.

Na badania naukowe nakładały się sprzeczne interesy ówczesnych imperiów. W lipcu 1914 r. zaowocowały wybuchem I wojny światowej. Na Bliskim Wschodzie wojna przybrała postać zmagań, w których poczesne miejsce zajęła idea dżihadu, „świętej wojny". Kto chciał ją wywołać?

MIĘDZY IMPERIAMI | Pierwsze oskarżenia pojawiły się szybko. Był rok 1915, gdy holenderski orientalista Snouck Hurgronje postawił tezę, iż „święta wojna" – ogłoszona przez sułtana-kalifa, który wraz ze swoim Imperium Osmańskim stanął po stronie Niemiec i Austro-Węgier – to w dużej mierze koncepcja wymyślona w Berlinie. Hurgronje twierdził, że to Niemcy – środowisko niemieckich orientalistów – organizują ów dżihad, którego celem ma być wypchnięcie z regionu Brytyjczyków i Francuzów.

Dziś historycy są bardziej ostrożni i chętnie podkreślają wcześniejszy, osmański kontekst dżihadu. Nie lekceważąc ich argumentów, niemieckie zaangażowanie pozostaje jednak bezsporne. Podobnie jak nadzieje cesarza Wilhelma II, że zmieni on przebieg wojny.

Faktem jest też, że imperialna rywalizacja o poparcie Arabów (i ogólnie muzułmanów) nie zaczęła się w roku 1914, lecz wcześniej – jako walka wywiadów, głównie brytyjskiego i niemieckiego. Dziś najbardziej znana, legendarna wręcz, jest aktywność na tym polu „Lawrence'a z Arabii": Thomasa E. Lawrence'a, brytyjskiego archeologa, któremu poświęcono książki i filmy. Nawoływał on do arabskiego powstania przeciwko Turkom.

Tymczasem Lawrence nie był jedyny. Jego rywale też werbowali muzułmanów – dla sprawy państw centralnych. Jednak Musil, Prüfer czy Wassmus to nazwiska dziś zapomniane.

Po lewej: ten niemiecki oddział specjalny miał zniszczyć brytyjski rurociąg w Persji; akcja nie udała się.

Pośrodku: orientalista Curt Prüfer (wysunięty, z lornetką) na czele tureckiego oddziału, 1914 r.

Po prawej: Leo Frobenius, najsłynniejszy niemiecki afrykanista, wyruszył do Sudanu i Etiopii, by wywołać tam antybrytyjskie powstanie.

LIBRARY OF CONGRES

SŁABNĄCA TURCJA | Zanim o nich opowiemy, cofnijmy się nieco w czasie.

Na przełomie wieków XIX i XX Imperium Osmańskie, kiedyś władające Budapesztem i Podolem, było cieniem dawnej potęgi. Zachęcało to kraje Europy do ingerowania w sprawy tureckie. Narzędziem tej ingerencji stawała się obrona interesów mniejszości, żyjących w islamskiej Turcji – chrześcijan, Żydów, Kurdów.

I tak, Francja chętnie podejmowała rolę patrona katolików, w tym libańskich maronitów (ochrona ta okaże się ważna podczas masakr dokonanych przez Druzów). Rosja interweniowała w sprawach Kościoła prawosławnego, Koptów i Abisyńczyków. Najsłabiej rysowała się pozycja Wielkiej Brytanii, z racji na niewielką liczbę protestantów na Bliskim Wschodzie. Londyn podjął się więc protekcji wobec Druzów, Samarytan i Żydów.

W końcu wieku XIX zaczął się też zmieniać system sojuszy. Dawny alians osmańsko-francuski nie miał się najlepiej – sympatie sułtana wobec Paryża zmalały, odkąd Francuzi zabrali mu Tunis, a Francja stała się w 1870 r. znowu republiką, którego to ustroju władca Imperium Osmańskiego nie cenił.

NOWY SOJUSZ... | W tej politycznej dynamice szansę dostrzegł Wilhelm II. Cesarz Niemiec odwiedził Stambuł w 1898 r. i nawiązał osobistą relację z sułtanem Abdülhamidem II. Turcy przywitali Niemca z honorami, a że sułtan szybko wyperswadował mu wspieranie syjonizmu (żydowskie osadnictwo w Palestynie stawało się istotnym czynnikiem politycznym), wszystko wskazywało na początek nowej przyjaźni.

Zgrzytem podczas wizyty była jedynie obojętna postawa chrześcijan libańskich. Jednak Wilhelmowi zależało głównie na wyznawcach islamu. W Damaszku przy grobie Saladyna – sułtana, który w XII w. pokonał Królestwo Jerozolimskie – cesarz ogłosił się opiekunem 300 milionów muzułmanów.

Pewien brytyjski dziennikarz skomentował to cierpko: „Mam nadzieję, że ta przyjaźń nie rozciągnie się na Indie".

...I NOWE OPCJE | Dlaczego Indie? Ponieważ ich bezpieczeństwo spędzało sen z powiek politykom w Londynie. Żyło tam (głównie na terenie obecnego Pakistanu, należącego wtedy do brytyjskich Indii) także około 60 mln muzułmanów. Albion obawiał się, że w razie konfliktu pójdą za głosem islamskiego przywódcy duchowego – był nim turecki sułtan – i w efekcie Niemiec.

Sojusz z sułtanem wydawał się więc otwierać nowe strategiczne możliwości dla Berlina, zagrażał zaś interesom Wielkiej Brytanii. Także w Egipcie i Arabii. Kolej Bagdadzka (Berlin–Bagdad, budowana z pomocą Niemiec) i Kolej Hidżaska (z Damaszku do Medyny) dawały zaś możliwość szybkiego przerzutu osmańskich wojsk na terenie Bliskiego Wschodu.

Sojusz Niemiec i Osmanów otwierał jeszcze jedną możliwość. Od XVI w. sułtanowie zaczęli podawać się za kalifów – religijnych przywódców całego islamu. Abdülhamid II próbował to wykorzystać, grając kartą zjednoczenia muzułmanów (idea panislamizmu) i zwrócenia ich przeciw europejskim mocarstwom. Religijna władza sułtana-kalifa stawała się dla Brytyjczyków – w nowej konfiguracji politycznej – tym groźniejsza, gdyż uznawali jego zwierzchność nad muzułmanami w Indiach.

ABU DŻIHAD | Jednym z pierwszych w Niemczech, którzy podkreślali potencjał przyjaźni z Turcją, był baron Max von Oppenheim. Ten dyplomata, orientalista i katolik wywodził się ze słynnej rodziny żydowskich bankierów.

Oppenheim, który później miał zyskać przydomek Abu Dżihad, był jednym z tych oczarowanych Orientem Europejczyków, którzy zewnętrznie upodabniali się do Arabów, mieszkali w ich dzielnicach i płynnie władali językiem arabskim.

W Niemczech dostęp do wyższych urzędów blokowało mu pochodzenie, ale na Bliskim Wschodzie baron obficie korzystał z możliwości, jakie dawał Orient. Przemierzył Półwysep Arabski i opisał swoją podróż w pracy, która odbiła się w Europie dużym echem. Dokonał też archeologicznych odkryć w Tell Halaf (dziś w Syrii), dotyczących aramejskiej i asyryjskiej przeszłości regionu.

Pod koniec XIX w. baron rezydował w Kairze, skąd słał niezliczone raporty. Choć niemieckie MSZ nie traktowało ich zbyt poważnie, Oppenheimowi udało się uzyskać dostęp do cesarza. Gdy na lato zjeżdżał do Niemiec, osobiście opowiadał mu o Bliskim Wschodzie.

NA OKU ALBIONU | W 1905 r. Oppenheim wziął udział w Międzynarodowym Kongresie Orientalistów w Algierze, na który Niemcy wysłały mocną ekipę 14 naukowców. Wykorzystał to, by studiować topografię Algierii i francuskie możliwości militarne. Był też na kolejnym kongresie w Kopenhadze w 1908 r., gdzie omawiał znalezione przez siebie inskrypcje z Żyznego Półksiężyca – jak zwano wtedy obszar ciągnący się od Egiptu przez Palestynę i Syrię po dzisiejszy Irak. ↦

↦ Anglicy mieli go stale na oku, podejrzewali o szpiegowanie dla kajzera. Równie czujnie przyglądali się innym niemieckim archeologom, uznając, iż nabywając wiedzę o Bliskim Wschodzie i władając miejscowymi językami, mogą oni zagrażać interesom Londynu. W 1906 r. brytyjski konsul alarmował w sprawie prac prowadzonych w Babilonie i Kela Szergat: „Myślę, że oba te miejsca mają służyć nie tylko celom archeologii, ale działać również jako centra gromadzenia informacji i szerzenie wpływów niemieckich". Także Gertrude Bell, znana archeolożka i szpieg w służbie Korony, słała raporty na temat niemieckich wykopalisk.

Z kolei Oppenheim odwiedzał brytyjskie wykopaliska w Karkemisz, gdzie spotkał się z przyszłym „Lawrence'em z Arabii". Brytyjczyk nie poczuł do niego sympatii i ostrzegał o jego potencjalnie szpiegowskiej działalności. Sam najprawdopodobniej także parał się działalnością wywiadowczą.

ICH CZAS | Gdy więc latem 1914 r. w Europie zaczęły się zmagania Ententy i państw centralnych, Berlin podjął energiczne kroki, by „skonsumować" sojusz z Turcją. W październiku 1914 r. sułtan włączył się do wojny. Dla niemieckich orientalistów nadszedł czas, aby wzbudzić burzę w świecie islamskim i skierować żywioł ten przeciw oponentom.

Przykład szedł z góry. Wilhelm II jeszcze w lipcu 1914 r. mówił, że konsulowie w Oriencie powinni „podpalić cały świat mahometański do dzikiego powstania", tak aby Anglia utraciła Indie. Z kolei Oppenheim, który przerwał wykopaliska w Mezopotamii, spekulował o wznieceniu islamskich buntów w Egipcie, Indiach, Sudanie i Afryce Północnej.

W listopadzie 1914 r. sułtan-kalif istotnie ogłosił „świętą wojnę" i – po konsultacjach z Niemcami i Austro-Węgrami – wydał pięć fatw (religijnych nakazów). Nakładały one obowiązek dżihadu wobec chrześcijan, który nie obejmował jednak Niemców i Austriaków. Szukając historycznych uzasadnień, pewien pomysłowy islamski uczony przedstawił niemiecki atak na Belgię jako zemstę za działalność Gotfryda z Bouillon – wodza pierwszej krucjaty, która w 1099 r. zdobyła Jerozolimę. Gotfryd wywodził się bowiem z terenu obecnej Belgii.

DOMENA PUBLICZNA

Max von Oppenheim, szef niemieckiego wywiadu na Bliskim Wschodzie; zdjęcie z ok. 1917 r.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Alois Musil, czeski ksiądz i etnograf, przez Beduinów zwany „szejk Musa"; zdjęcie z ok. 1914 r.

PLANY | Oppenheim stanął na czele Biura Informacyjnego ds. Wschodu (*Nachrichtenstelle für den Orient*), które miało zajmować się wywiadem i propagandą w krajach Bliskiego Wschodu i Azji. Powołał do niego niemieckich orientalistów, a także współpracowników tureckich, arabskich, irańskich i hinduskich.

„Święta wojna" stanowiła jednak tylko jeden z punktów niemieckiego planu. Stworzony z rozmachem, obejmował on także aktywizację ruchów mogących szkodzić Entencie: syjonistów, Finów, Polaków, Irlandczyków, bolszewików.

Na początku 1915 r. gen. Erich von Falkenhayn, szef Sztabu Generalnego, przekazał do ambasady w Konstantynopolu projekt wzniecenia buntu w świecie islamu. Miał objąć wielki obszar: Afganistan, Persję, Kaukaz, Arabię, Sudan, Egipt, Trypolitanię, Indie.

Zawierał też listę osób do wykorzystania. Znaleźli się wśród nich orientaliści Curt Prüfer (podopieczny Oppenheima) i pochodzący z Austro-Węgier Alois Musil, których miano posłać do Arabii. Do Etiopii i Sudanu mieli ruszyć podróżnik i etnograf Leo Frobenius oraz archeolog Bernhard Moritz. Planowano wykorzystać kontakty z egipskimi, hinduskimi i trypolitańskimi nacjonalistami i bojownikami religijnymi.

SZEJK MUSA | Nie wszyscy eksperci uznali pomysł dżihadu za fortunny. Zwłaszcza Alois Musil sceptycznie podchodził do możliwości wywołania „świętej wojny" w Arabii.

Był Czechem, poddanym Austro-Węgier i księdzem; kształcił się w jerozolimskiej École Biblique i na uniwersytecie bejruckim. Eksplorator Arabii i etnograf, był postacią równie nietuzinkową co Lawrence, któremu nie ustępował wiedzą na temat pustyni i jej mieszkańców. Jego zainteresowania miały motyw religijny – do Arabów przyciągało go to, że ich warunki życia przypominały te z czasów biblijnych.

Musil uchodził za osobę, która potrafi współpracować z Beduinami i zachęcić ich do wojny po stronie Turcji. Osobiście brał udział w ich wojennych rajdach, z szacunkiem zwali go „szejkiem Musą". Jednak znając Beduinów lepiej niż Oppenheim, Musil nie widział w nich materiału na wojowników dżihadu. Pogrążeni w sporach plemiennych, przekupywani przez Brytyjczyków, nie identyfikowali się z Turcją. Ich świat kończył się na pustyni.

Musil zdecydował, by nie angażować się w działania na rzecz dżihadu – ze swojej misji wrócił, nie wskórawszy zbyt wiele.

OD SUEZU PO KABUL | Kolejny orientalista, Curt Prüfer, pomagał logistycznie zorganizować ofensywę na Kanał Sueski w styczniu i lutym 1915 r., kupując tysiące wielbłądów i werbując Beduinów. Akcja skończyła się klęską Turcji i Niemiec. Potem Prüfer z pomocą egipskich nacjonalistów usiłował bezskutecznie wzniecić antybrytyjskie powstanie w Egipcie. Angażując się bardziej niż Musil, okazał się równie trzeźwym obserwatorem: zniechęcony postawą Arabów i ich dezercjami, określił „świętą wojnę" jako tragikomedię.

Inny orientalista, Oskar Ritter von Niedermayer, ruszył na czele misji do Kabulu. Celem było pozyskanie emira Afganistanu do walki przeciw Wielkiej Brytanii. Jej uczestnicy tygodniami przemierzali pustynię (nocami, bo w dzień upał był zbyt wielki). Ominęli angielskie patrole i dotarli do Kabulu, gdzie obdarowali emira prezentami. Wśród nich były takie nowości techniki jak budzik radiowy. Ich wysiłek okazał się daremny – emir był ostrożny.

W Persji rolę agitatora objął Wilhelm Wassmuss, dyplomata, szpieg i awanturnik. Zachęcał plemiona do walki

IMPERIAL WAR MUSEUM

Zanim został legendarnym brytyjskim emisariuszem wśród Arabów, Thomas Lawrence (w środku) prowadził wykopaliska. Tu przy płycie hetyckiej w Karkemisz (dziś Syria); zdjęcie z lat 1912-14.

z Brytyjczykami. Zwany „niemieckim Lawrence'em", osiągnął najbardziej wymierne sukcesy na polu dżihadu: jego działania przez jakiś czas wiązały siły brytyjskie. Sukcesy Wassmussa zbladły jednak, gdy – ujęty przez miejscowego wodza, który chciał sprzedać go Albionowi – uciekł wprawdzie, lecz zostawiając bagaż z dyplomatycznymi kodami. Brytyjczycy je złamali, co okazało się dla nich bardzo pomocne.

W MEKCE I ABISYNII | Równie śmiałą misję otrzymał Max Roloff-Breslau. W przebraniu muzułmańskiego pielgrzyma miał wyruszyć z Holenderskich Indii Wschodnich (dziś Indonezja) do Mekki, po drodze agitując dla sprawy niemieckiej. Roloff-Breslau musiał wprawdzie ograniczyć tę trasę do terenów Bliskiego Wschodu, ale i tak był to zamiar ambitny. Udało mu się dotrzeć do Mekki, gdzie prowadził agitację. Jej rezultaty okazały się jednak ograniczone, z powodu niechęci Arabów wobec Turków, i brytyjskich łapówek, hojnie rozdawanych miejscowym wodzom. Roloff-Breslau trzeźwo oceniał, że dżihad ma szansę zaistnieć tylko wtedy, jeśli Turcja odniesie wcześniej sukcesy na froncie.

Kolejny uczony, Leo Frobenius – najsłynniejszy niemiecki afrykanista, podróżnik i twórca koncepcji kręgów kulturowych – został wysłany, by wzniecać „świętą wojnę" w Sudanie i Abisynii (dziś Etiopia). Wyruszył z Damaszku Koleją Hidżaską przez Medynę, suto zaopatrzony w fundusze i odziany w fantazyjny strój kolonialnego zawadiaki.

Jednak również jego misja zakończyła się fiaskiem: po kilku tygodniach hałaśliwej działalności na terenie Hidżazu (dziś to Arabia Saudyjska) i po przybyciu do Erytrei, został on ujęty przez Włochów i deportowany. Po powrocie do Europy nie popisał się dyskrecją, ujawniając w wywiadach charakter swej misji. Wzbudziła ona niepokój w neutralnych dotąd Włoszech, które miały swoje kłopoty z muzułmańskimi poddanymi na terenie Libii (w maju 1915 r. Włochy włączyły się do wojny po stronie Ententy).

KONTRAKCJA | Zagrożone turecko-niemieckim dżihadem, mocarstwa Ententy nie pozostały bierne. Major Hennessy z brytyjskiego Biura Arabskiego w Kairze sugerował nawet naśladowanie Niemców. Pisał, że należałoby uświadomić muzułmanom, „że istnieje tylko jedna prawdziwa siła zdolna zrozumieć muzułmańskie ambicje i ideały, i pokierować nimi, a jest nią Anglia". W Biurze Arabskim, wywiadowczo-propagandowym, znaleźli się Thomas E. Lawrence i Gertrude Belle. Brytyjczycy nie przebierali w środkach, np. rozpowszechniając ulotki przedstawiające niemieckich żołnierzy wśród „nieczystych" świń.

Anglicy nie zamierzali jednak wzniecać dżihadu przeciw państwom centralnym. Chcieli za to przeciągnąć na swoją stronę Arabów, którzy nie sympatyzowali z Turkami. Miał ich reprezentować przywódca Husajn Ibn Ali, emir Mekki. Ten plan, w który zaangażowany był porucznik Lawrence, powiódł się (na marginesie: flagę arabskiego powstania zaprojektował dyplomata Mark Sykes; ten sam, który wraz z Francuzem François Georges'em-Picotem zawrze w 1916 r. umowę dzielącą Bliski Wschód między Wielką Brytanię a Francję).

Również Francuzi nie przeoczyli podżegań do dżihadu i pilnie obserwowali niemieckie działania. W 1916 r. ich *Commission Interministérielle des Affaires Musulmanes* – nadzorująca propagandę i relacje z Maghrebem oraz Bliskim Wschodem – powołała nawet specjalny komitet, aby zaplanować ripostę na niemieckie wysiłki.

Jedną z późniejszych konsekwencji tych działań było zbudowanie w Paryżu Instytutu Muzułmańskiego (*Institut Musulman de la Mosquée de Paris*). Jego plan zrodził się właśnie wtedy – w 1916 r., w okresie rywalizacji z Niemcami o rząd muzułmańskich dusz.

FIASKO | Panislamizm zawiódł tureckie i niemieckie nadzieje – religijna solidarność muzułmanów nie okazała się aż tak wielka, by odmienić losy wojny. Warto też wspomnieć, że rola Turcji nie była bynajmniej bierna wobec działań Niemiec; jej tajna służba (Specjalna Organizacja, *Teşkîlât-ı Mahsûsa*), która też zajmowała się powstańczą agitacją muzułmanów, radziła sobie często lepiej niż niemieccy agenci.

Niemniej światowy dżihad przeciw siłom Ententy okazał się fiaskiem. Choć tureccy sunnici, Kurdowie i arabscy szyici wsparli jego ideę, to sunnicy Arabowie stanęli po stronie brytyjsko-francuskiej. Nie doszło do masowych wystąpień w Indiach i Egipcie.

Wśród niemieckich orientalistów byli zresztą i tacy, którzy od początku krytykowali ideę dżihadu. Friedrich Rosen, orientalista i dyplomata żydowskiego pochodzenia, już 10 lat przed wojną przekonywał, by nie pokładać nadziei w panislamizmie. Już po przegranej wojnie Rosen stwierdził, iż niemieccy orientaliści w ich romantyzmie inspirowali się powieściami Karola Maya.

To ocena zapewne zbyt skrajna, której przyświecała już świadomość klęski. Jednak trudno nie zgodzić się, że działania niemieckich agentów w Oriencie były wyjątkowo awanturnicze. Gdyby May nie zmarł dwa lata przed Wielką Wojną, być może miałby o czym pisać.

Tymczasem, nieopisane i niesfilmowane, na długo popadły w zapomnienie.

© ALEKSANDER R. MICHALAK

CHIARA ZONTA / ARCHIWUM PRYWATNE

Aleksandra i Łukasz Gadomer. Łukasz założył zbiórkę na rehabilitację żony po ogromnym udarze pnia mózgu, najrzadszym, najgroźniejszym udarze, niespotykany u młodych osób.

TROCHĘ LEPSZY ŚWIAT

KINGA DAWIDOWICZ

Badania pokazują, że aktywne pomaganie – nawet drobny gest skierowany w stronę drugiego człowieka – potrafi zmniejszyć poczucie samotności. Pomagając, zawiązujemy więź z ludźmi, budujemy wspólnotę.

Konieczność, marzenia czy poczucie obowiązku – co powoduje, że decydujemy się prosić o pomoc? Pomagam.pl to miejsce, gdzie wszystkie te potrzeby, projekty i cele znajdują przestrzeń i możliwość realizacji. Obecnie na stronie portalu znaleźć można 20 kategorii zbiórek – od leczenia, przez pomoc ofiarom pożarów, po sport, kulturę czy edukację. Pozwala to zbudować pełny obraz tego, jaką ideą kieruje się Pomagam.pl – chodzi o stworzenie przestrzeni dla wszystkich potrzebujących.

Jego prezeska, Dobrosława Gogłoza, podkreśla, że spotyka się często z wahaniem potencjalnych organizatorów zbiórek, ze wstydem, z którym się mierzą już na etapie myślenia o ich założeniu. Ludzie, szczególnie ci najbardziej potrzebujący, długo zastanawiają się, czy ich potrzeba jest wystarczająco ważna. Do nich wszystkich Gogłoza kieruje komunikat: warto innym pozwolić zdecydować, kogo chcą wesprzeć. A udzielenie pomocy jednej osobie nie musi oznaczać zabrania środków komuś innemu. Tym, co niejednokrotnie wstrzymuje przed podjęciem decyzji o poproszenie o pomoc, jest wartościowanie i porównywanie na skali „ważności" potrzeb.

A przecież nasze potrzeby są zwyczajnie obrazem tego, że jako ludzie i społeczeństwo jesteśmy różnorodni. Jak mówi Gogłoza, argumentem decydującym o założeniu zbiórki powinno być przede wszystkim przekonanie, że mamy potrzebę, która jest dla nas ważna i której sami nie jesteśmy w stanie zrealizować. Czasem będzie to zebranie funduszy na kosztowne leczenie, a czasem poproszenie o wsparcie w wydaniu solowego albumu lub tomiku poezji. Coraz szerszą kategorią okazują się też zbiórki prowadzone na rzecz zwierząt – zarówno tych domowych, psów i kotów, jak i pełniących

MATERIAŁ PARTNERA

określone funkcje na przykład w wiejskich gospodarstwach.

Pomagam.pl to jednak nie tylko przestrzeń, gdzie można znaleźć pomoc finansową. To również miejsce, w którym otrzymamy wsparcie psychiczne od społeczności darczyńców. Najlepiej chyba ilustruje to zmieniona ostatnio sekcja na stronie – „komentarze" zastąpione zostały kategorią „słowa wsparcia". Organizatorzy zbiórek niejednokrotnie wspominają, że poczucie akceptacji, wyrazy uznania dla ich odwagi i sygnały kibicowania ich zamierzeniom spływały często od obcych ludzi. Budowały siłę do mierzenia się z trudnymi wyzwaniami i rozbudzały wiarę, że uda się osiągnąć zamierzony cel. Wielokrotnie przy okazji zbiórek odzywają się starzy znajomi, przyjaciele i koledzy, o których być może zdążyliśmy dawno zapomnieć, a którzy w tych okolicznościach wyciągają pomocną dłoń. To też pokazuje, że hasło, które znajduje się w siedzibie Pomagam.pl – „Przywracamy wiarę w ludzi" – nie jest tylko chwytliwym sloganem.

LĘK I RADOŚĆ

Tak było w przypadku historii Adama Grendziaka, założyciela zbiórki „Wygrać bitwę o życie". W sierpniu 2021 usłyszał diagnozę lekarzy – szpiczak mnogi, czyli bardzo rzadki złośliwy nowotwór układu krwiotwórczego, który stanowi około 1% wszystkich nowotworów złośliwych. Często towarzyszy mu również hiperkalcemia, skutek uboczny choroby, powodowany nadmierną ilością wapnia w organizmie, co prowadzi do m.in. dużych trudności w poruszaniu się, zmęczenia, a nawet do śpiączki. Choroba niestety mocno spustoszyła organizm – guzy zniszczyły kość udową, co spowodowało konieczność wstawienie endoprotezy. Kręgosłup w wyniku zmian chorobowych uległ deformacji i pięć kręgów zostało skręconych, a jeden wymagał rekonstrukcji. Jak można przeczytać na stronie zbiórki, Adam nie jest w stanie podnieść cięższych rzeczy.

Rzeczywistość zmusiła go do przestawienia się na plan minimum, który zakładał po prostu przeżycie. Za namową lekarzy założył zbiórkę, razem z szesnastoletnim synem Karolem napisał „list" do potencjalnych darczyńców, w którym z perspektywy syna opisał własną sytuację. Mówi, że najtrudniejsze było przełamanie wstydu. „Czułem się bardzo niewygodnie w pozycji proszącego, niemal jak żebrak, ale znalazłem się w miejscu, w którym nie miałem wyboru. Koszty leczenia, które może przynieść szansę poprawy, są poza zasięgiem większości osób. Przykładowo podanie jednej dawki nowoczesnego leku kosztuje 200 tys. złotych. Dla uzyskania pożądanego efektu potrzeba około 8-12 podań". Adam jednak dodaje, że początkowy wstyd i opór przed proszeniem o wsparcie, obawa przed odsłonięciem się przed obcymi ludźmi, ustąpiły miejsce radości, gdy zbiórka zaczęła przynosić efekty.

Równolegle ze wsparciem finansowym spływały wiadomości od bliskich, znajomych i całkiem obcych ludzi, dzięki którym perspektywa pokonania choroby nabrała realnych kształtów. Dzięki wielu udostępnieniom zbiórki w internecie historia Adama miała szansę odbić się echem i przynieść efekty również w postaci realnych propozycji pomocy – przy zakupach, transporcie, domowych porządkach. Wsparcie partnerki i syna jest ogromne, jak mówi Adam, ale bez tego kręgu życzliwych osób, na przykład sąsiadów, którzy się dowiedzieli o jego sytuacji, byłoby dużo trudniej. „Ciężko mówić w tej sytuacji o poczuciu szczęścia, ale na pewno pojawiła się radość, że walka z efektami choroby nie jest toczona samotnie, że widzę sensowność tej walki".

POTRZEBY SERCA

Royal College of Music to uczelnia artystyczna, która renomą dorównuje najsłynniejszej nowojorskiej The Juilliard School. Od kilku lat zajmuje pierwsze miejsce na liście rankingu QS World University w kategorii Performing Arts. Jej prestiż i niezwykle wysoki poziom wzbudzają ogromne zainteresowanie wśród przyszłych studentów, a samo dostanie się na nią jest wspaniałym osiągnięciem. Katarzyna Ratajczak, skrzypaczka kończąca właśnie studia na Akademii Muzycznej w Łodzi, znalazła się w wąskim gronie osób, które przeszły eliminacje i pomyślnie zdały egzaminy do londyńskiej uczelni. Jak sama mówi: „Studia na tej prestiżowej uczelni są szansą na wszechstronny rozwój, nowe doświadczenia oraz naukę w niezwykle inspirującym środowisku, ze światowej sławy skrzypkami i nauczycielami. Dla każdego młodego instrumentalisty takie studia stanowią zwieńczenie wieloletniej ciężkiej pracy. Jednocześnie otwierają one perspektywy porównywalne chyba tylko ze skokiem w nadświetlną przyszłość muzycznych możliwości. College, dzięki specjalnemu programowi, wspiera także absolwentów w ich karierze zawodowej, większość z nich znajduje pracę zgodną z oczekiwaniami".

Młoda skrzypaczka ma szansę zrealizować swój muzyczny potencjał i marzenie, ale główną przeszkodą jest wysokie czesne, którego wymaga szkoła (rok nauki kosztuje około 160 tys. złotych). Zmiany związane z brexitem spowodowały, że dla kandydatów z Unii Europejskiej możliwości wsparcia w postaci kredytów czy stypendiów zostały zawieszone, a dotacje z krajowych programów stypendialnych, konkursów czy instytucji kultury są ciągle niewystarczające.

Marzenie, żeby zrealizować marzenie – tym jest obecnie zbiórka Katarzyny Ratajczak. Oczywiście pojawiły się u niej wątpliwości, że zbiórka może zostać odebrana i oceniona jako kaprys. Katarzyna podkreśla jednak, że warto ludzi obdarzyć zaufaniem i wiarą w to, że z natury są dobrzy. Potwierdzeniem tego były głosy wsparcia, które dostawała zarówno od swoich rówieśników z Akademii, jak i od obcych.

Istotne jest też, że Katarzyna, mimo że zbiórka nie była pierwszym pomysłem, jaki przyszedł jej do głowy, miała pełne wsparcie bliskich. W ten sposób udało jej się powiedzieć – nie tylko sobie, ale i światu – że ten cel jest nie tylko realizacją ambicji, ale wynika też z głębokiej potrzeby serca, bo zajmowanie się muzyką pozwala jej poczuć się u siebie, na właściwym miejscu. „Grając, mogę w pełni wyrazić siebie, a scena jest moim żywiołem, miejscem spełnień, wzruszeń i radości".

Obawy i strach przed krytyką, zwłaszcza w przypadku próśb o wsparcie projektów edukacyjnych czy artystycznych, nieobarczonych wyższą koniecznością, są naturalne – wystawiamy się wtedy na zarzuty z wielu stron. Warto jednak, jak podkreśla Katarzyna Ratajczyk, powiedzieć sobie, że jedynym sposobem na całkowite uniknięcie krytyki jest zaprzestanie jakichkolwiek działań i tym samym życie w wegetacji.

BUDOWANIE WSPÓLNOTY

„Niewygodne emocje, które nam towarzyszą w odsłanianiu swojej prywatności, pokazywaniu, że czegoś potrzebujemy od innych (czyli nie jesteśmy samowystarczalni) są naturalne i często nieuniknione. ↦

ARCHIWUM PRYWATNE

Katarzyna Ratajczyk założyła zbiórkę na czesne w Royal College of Music w Londynie.

ARCHIWUM PRYWATNE

Adam i Karol Grendziak. Karol założył zbiórkę na leczenie szpiczaka mnogiego, złośliwego nowotworu zdiagnozowanego u jego taty.

↦ Możemy ten strach jednak oswoić, uświadamiając sobie, że mamy prawo prosić o pomoc, a jeśli komentujący oceniają naszą postawę jako roszczeniową, mamy też prawo powiedzieć: nie chcesz, nie dawaj, nie komentuj" – mówi profesor Magdalena Śmieja z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Łukasz Gadomer, organizator zbiórki dla swojej żony Oli, przyznaje, że emocje, które mu towarzyszyły podczas jej zakładania, były skrajnie trudne. Jak sam twierdzi, zawsze był osobą, która nie chce i nie lubi kogokolwiek prosić o pomoc, zwłaszcza jeżeli dotyczy to kwestii finansowych. Dotychczasowa pełna niezależność była tym, co cenił sobie bardzo wysoko. Jednak wszystko zmieniło się, gdy Ola Gadomer w wieku 27 lat doznała niezwykle silnego udaru pnia mózgu, jego najrzadszej i najgroźniejszej odmiany, niespotykanej u młodych osób.

Nastąpiło to po dwóch miesiącach od ślubu Łukasza i Oli. Udar poważnie uszkodził mózg, a Olę dotknął niedowład czterokończynowy. Kosztowna rehabilitacja w specjalistycznym ośrodku, comiesięczne opłaty za terapię, które będą konieczne również po opuszczeniu szpitala – jak mówi Łukasz, przekroczyło to możliwości finansowe większości ludzi. Jednak najsilniejszym argumentem za schowaniem dumy i przełamaniem oporów był fakt, że pomoc potrzebna była dla najbliższej mu osoby. Zdecydował się na założenie zbiórki.

Ten gest spotkał się z całkowitym zrozumieniem nie tylko wśród najbliższych i przyjaciół, ale, jak podkreśla Łukasz, ogromne wsparcie spotkało go również ze strony nieznajomych. Często były to osoby, które nie poprzestawały na wpłacie, ale dopytywały o postępy leczenia, wysyłały słowa wsparcia, towarzyszyły Łukaszowi w tym trudnym okresie. „Widzę duże pokłady wrażliwości w ludziach, którzy decydują się nam pomóc, więc tego wsparcia jest ogromnie dużo".

„To poczucie, że wspierają nas nawet obce osoby, może dodać siły i pomóc również w podejmowaniu innych aktywności. Widzimy, że nasze działania są skuteczne, jesteśmy akceptowani. To jest zasób, który bardzo podnosi na duchu i jest niezwykle istotnym elementem naszego dobrostanu" – mówi profesor Śmieja. Dodaje też, że zyskuje nie tylko strona prosząca. Badania pokazują, że aktywne pomaganie, nawet drobny gest skierowany w stronę drugiego człowieka, potrafi zmniejszyć poczucie samotności. Pomagając, zawiązujemy więź z ludźmi, budujemy wspólnotę.

Pomagam.pl to miejsce, gdzie różnorodność doświadczeń, historii i potrzeb może taką wspólnotę zbudować. Łukasz Gadomer dodaje, że chciałby, by jego historia mogła też przynieść jakąś zmianę innym ludziom, być impulsem do zastanowienia się nad własnym życiem, tym, co jest dla nas ważne i tym, czy udaje się nam to realizować. Być może wartością tych historii będzie również fakt, że zostawimy ten świat trochę lepszym, niż go zastaliśmy.

© KINGA DAWIDOWICZ

Pomagam.pl Mecenasem tekstu jest Pomagam.pl, serwis do zakładania zbiórek pieniędzy dla siebie, swoich bliskich i na inicjatywy bliskie Twojemu sercu.

ELIZA

Kącka:
Z tunelu w burzę

Dwie starsze twarzą w twarz ze mną w autobusie 116: „Dałam na mszę w intencji klimatu”. „Żartuje pani! Przecież to propaganda!”. „No właśnie...”. „Co »właśnie«?! Temu nie można ulegać!”. „No właśnie ja podałam, że Matce Boskiej oddaję klimat pod opiekę, by nie prześladowała nas Unia Europejska”. „Ototo”. „Powiem pani: niech się ta pogoda uspokoi. I nie będzie kwestii”. „O! Ma pani rację. Co robić? Ja już świętemu Antoniemu oddałam Unię, to Judzie Tadeuszowi – klimat”. „Bardzo dobrze, trza świętych, polityka wszystkiego nie obsłuży”. „Zwłaszcza że nie idą z Bogiem”. „Ototo!”. „Ja Boga proszę, by upomniał klimat. Musi wyjść na nasze”. „Na nasze”. „Europie by się przydał potop. Ja zamówiłam o niebo czyste tylko nad Polską”. „I słusznie”. „Co mam przechercom Opatrzność fundować”.

Wydział Polonistyki, sesja, korytarz. Stoimy w grupce pracowniczo-studenckiej. Obserwuje nas gość szwendający się po Mokotowie. Znamy się z łapania za rękaw przy Dolnej, szturchania o jałmużnę. Z akcji zupełnie bezmownych, jeśli nie liczyć jednogłoskowych postękiwań, monosylab nakłaniających „y – y? – y!”. Zawsze w sfatygowanej brązowawej marynarce i zadeptanych, otwartych od frontu butach. Poznał mnie, przydreptał. Już sięgałam do torby, a ten: „My się znamy z Sielc”. Wszyscy na niego i na mnie z niepokojem. „Owszem” – odpowiadam. „Ja tu studiowałem”. „Nic pan nie mówił!”. „Nie mówię, bo nie wiem, że mam kolegów po fachu”. Studenci w śmiech. „A skończyła pani ten wydział?”. „Skończyłam. Pracuję tu”. Uśmiechnął się: „Ja rzuciłem, ale dobrze wiedzieć, że mam gdzieś swoich ludzi. W ministerstwie też siedzi jeden nasz znajomy ze Stępińskiej. Też mój człowiek”. Wycofał się na krzesełko przy sekretariacie.

Dzwoni mój ojciec: „Cześć, mama mi wybrała numer. Spotkaliśmy na mieście kogoś, kto mówi, że cię zna”. „Aha”. „Zapomniałem, kto to”. Słyszę instrukcję-szuranie tuż przy słuchawce: „A, tak, słuchaj, dzwonię, bo mam kartkę. Już czytam: »Proszę pozdrowić Elizę, może mnie pamięta ze szkoły. Byliśmy w kółku plastycznym. Chudy byłem. Nazywam się Ignacy«”. „O! Ignacy, pamiętam. Chudy był, hehe, znaczy się tęższy teraz?”. Zmartwiona cisza w słuchawce: „Chyba normalny, nie pamiętam”. Milczymy przez chwilę. Matka głośnym szeptem mobilizuje zza słuchawki, by kończyć rozmowę. Ojciec: „Zapomniałem, że chodziłaś do szkoły”. „Nie szkodzi”. „Ale chodziłaś, nie?”. Śmieję się: „Trochę pewnie udawałam, ale coś tam się skończyło”. „To tak jak ja”. Śmiejemy się razem. Ojciec raptem spada w powagę: „Bo ten Ignacy ciebie znał wtedy. A ja nie. Nie pamiętam. Przepraszam”. „Nie ma za co, tato”. „Jest! Jest za co. To zdrada”. „Nikogo nie zdradzasz”. „Zdradzam. Bo ty już prawie nie istniejesz”. Mogę sobie tylko wyobrazić, jaki gest wykonał rzucając słuchawką.

Dwie w wieku licealnym w autobusie 503. „Napisz mu, że to przemoc”. „Ale on mnie tylko oznaczył w poście”. „Tylko?! Napisz mu, że to przemoc”. „Ale on się pewnie chce umówić”. „No to super. Napisz mu, że to przemoc”. „Ale ja chcę, żeby jeszcze się do mnie odezwał!”. „Działamy w tę stronę. Teraz twój ruch. Napisz mu pod postem, że to przemoc”. „A jak mnie wywali ze znajomych?”. „No to wyjdzie na twoje, bo to przemoc”. „Ja nie chcę, żeby wyszło na moje, chcę tego faceta!”. „No to mu napisz, że to przemoc, mówię. Będzie łatwiejszy. A jak wam nie wyjdzie, to odkopiesz ten komentarz i go zgnoisz. Proste”.

Pociąg z Krakowa, pakamera ze stolikiem. Oko w oko ze mną dwie starsze. „Wie pani, gdyby nie córka, to ja bym się już nie załapała”. „A na co?”. „Na życie. Bank, przychodnia. Wszystko przez internet”. „Eeetam, ja sobie jeszcze załatwiam sama. Chodzę tu i tam”. „To krótko potrwa. Wszystko będzie tylko w internecie”. „Co pani mówi!”. „A mówię!”. „Ale ja nie mam dzieci”. „Trzeba mieć. Wiedziałam, po co rodzę. Mojemu się zmarło, to się przerzuciłam na dzieci”. „Ale młodzi mają swoje życie”. „A to mnie nie interesuje, ja się nie będę komputerów uczyć”. Pauza. Patrzymy w okno. Bezdzietna mówi: „A ja myślę, że przyjdzie katastrofa, co wszystko wyrówna”. „Gada tak pani, bo nie ma dzieci”. „A nie. Dzieci czy nie, ja pani mówię, że jak wszystko przejdzie w internety, to się spełni mój sen, co mi się śni często”. „Jaki?”. „Śni mi się smok na niebie”. „Eee, to Biblia”. „Żadna Biblia! Smok się przybliża, wyciąga łapę. Patrzę, a to ręka!”. „Też mi!”. „Czekaj pani! Ręka rośnie, rośnie, wciąga smoka, wisi taka wielka dłoń na niebie. I mnie się pyta głosem trąby: »Alinka, gdzie jest gniazdko?« A ja myślę, że to chodzi o takie bocianie, żeby mogła znieść jajeczka”. Dzietna patrzy na mnie z przerażeniem. Bezdzietna: „Ale dłoń słyszy, co myślę – i mówi: »Alinka, kontakt, kontaktu chcę!«. No to załapałam i mówię, że mam kontakt pod stołem w kuchni. Dłoń trąbi: »Pokaż, już czas!«. Pokazałam. I wyjęła kabel. Odłączyła. Wszystko stanęło”. Dzietna: „No chyba tylko w kuchni”. „Nie, wszystko. Banki stanęły, czas stanął. Dłoń powiedziała: »Koniec świata!«. Wywróciła się od podszewki na smoka i odleciała”. Wyjechałyśmy z tunelu w burzę. I jechałyśmy w milczeniu. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Jej doktorat był poświęcony Stanisławowi Brzozowskiemu czytającemu Norwida, Vica i Newmana.

NAUKA

NASZ KONTAKT Z NIEBEM

ANDRZEJ UDALSKI, ASTRONOM:

Nadal nie wiemy, czym jest ciemna materia. Ale wykluczyliśmy najbardziej nośne hipotezy, że ciemną materię mogłyby stanowić czarne dziury, odkrywane dzięki obserwacji fal grawitacyjnych.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Rozmawiamy w zabytkowym gmachu obserwatorium przy warszawskich Alejach Ujazdowskich. Na jego szczycie są dwie charakterystyczne kopuły. Dzisiaj stanowią one już tylko symbol?

PROF. ANDRZEJ UDALSKI: To piękne obserwatorium powstało dwieście lat temu. Zresztą wówczas astronomowie też nie byli zachwyceni lokalizacją, pierwotnie obserwatorium miało stanąć na Polu Mokotowskim. Ale dziś w Warszawie jest tak jasno, że ani w jednym, ani w drugim miejscu nie da się prowadzić obserwacji. Mamy obserwatorium uniwersyteckie pod Warszawą, gdzie pewne obserwacje są prowadzone i gdzie budujemy instrumenty, ale po naprawdę poważne obserwacje musimy udawać się, jak to nazywam, na trzecią półkulę, czyli na pustynię Atakama w Chile.

Jakie jest nocne niebo nad Atakamą?

Kiedy tylko mam okazję, wybieram się tam na nocne spacery. Niebo jest przepiękne. Doskonale obrazuje to, jakim maleńkim pyłkiem we Wszechświecie jest Ziemia. Cała okolica sprawia wrażenie tak dzikiej, jak w czasach pierwszych odkrywców, choć oczywiście to nie jest prawda. Jesteśmy tam otoczeni najnowocześniejszymi urządzeniami naukowymi na świecie.

To paradoks astronomii – żadna inna nauka nie pogłębiła tak bardzo naszego zrozumienia rzeczywistości, chyba żadna inna nie posługuje się tak zaawansowanymi technologiami, a jednocześnie musicie stale uciekać przed cywilizacją.

Tak, na szczęście mamy jeszcze miejsca, w których można prowadzić obserwacje w spokoju.

Niedawno swoje 32. urodziny miał program OGLE, którym Pan kieruje. To jeden z najdłużej funkcjonujących programów badawczych w polskiej nauce.

W historii polskiej nauki chyba jesteśmy najdłużej działającym, aktywnym programem – i co ważniejsze, programem, który ciągle przynosi nowe odkrycia. Jesteśmy też, nie chwaląc się, programem mocno pionierskim w skali światowej.

O co w nim chodzi?

Na początku, 30 lat temu, w Warszawie mieliśmy wielu astronomów, którzy mieli doświadczenie zarówno teoretyczne, jak i obserwacyjne. Prowadziliśmy też w tym naszym lokalnym Ostrowiku obserwacje, ale jak już mówiłem, ze względu na niezbyt dobrą pogodę w Polsce superambitnych programów nie da się realizować. Jednocześnie prowadziliśmy także prace nad nowymi instrumentami – walka z pogodą powodowała, że wymyślaliśmy różne nowe narzędzia. Mieliśmy w tym sporo doświadczenia, i gdy nastąpił przełom początku lat 90., gdy świat się otworzył, można było pomyśleć o organizacji czegoś większego.

Główna idea naukowa opierała się na czymś, co zaproponował jeszcze w połowie lat 80. profesor Bohdan Paczyński, jeden z najwybitniejszych astrofizyków światowych XX w., który studiował tu na Uniwersytecie Warszawskim, później pracował w PAN-ie, a następnie był profesorem na Uniwersytecie w Princeton. On w swoich pracach zaproponował takie specyficzne zjawiska wynikające z ogólnej teorii względności – zjawiska mikrosoczewkowania grawitacyjnego – jako narzędzie do badania bardzo różnych problemów astrofizycznych.

Na czym polega mikrosoczewkowanie?

Jeśli obiekt, który jest obdarzony masą – a każdy obiekt jakąś masę ma – znajdzie się na linii widzenia między nami a odległym źródłem światła, to potrafi zogniskować światło tego odległego źródła, w związku z czym do obserwatora dociera więcej promieni i ten obiekt chwilowo staje się jaśniejszy. Chwilowo, bo wszystko się porusza, więc to ustawienie trzech ciał w jednej linii się zmienia i po jakimś czasie to wzmocnienie zanika. Zastosowania od razu były oczywiste, ponieważ ta soczewka grawitacyjna może nie świecić, tylko musi mieć masę.

Tymczasem jednym z takich najciekawszych problemów astrofizycznych, do dzisiaj zresztą, jest badanie tzw. ciemnej materii. Profesor Paczyński zaproponował, żeby te zjawiska mikrosoczewkowania wykorzystać do stwierdzenia, czy ciemna materia istnieje. To było w połowie lat 80. prawie *science fiction*. Zjawiska mikrosoczewkowania były przewidziane jeszcze przez Einsteina, ale on sam stwierdził, że to są czysto teoretyczne rozważania, że nikt nigdy takich zjawisk nie odkryje. No i tu się mylił, bo właśnie dzięki ideom profesora Paczyńskiego powstał np. projekt OGLE – polskie rozwinięcie tego skrótu to: Eksperyment Soczewkowania Grawitacyjnego – i już na początku lat 90. na tyle technologicznie udało się nam opanować sposoby obserwacji, że wystartowaliśmy.

Co podglądaliście?

Pomysł był taki, żebyśmy patrzyli na sąsiednie galaktyki – Obłoki Magellana – ale też w kierunku centrum naszej galaktyki, gdzie jest dużo gwiazd, i szukali charakterystycznych zmian, które mogłyby być wywołane mikrosoczewkowaniem grawitacyjnym. Pierwszym celem było udowodnienie, że te zjawiska istnieją i nie są czysto teoretycznym wymysłem – i to się udało bardzo szybko, bo już po roku.

To było takie pierwsze, rzeczywiście znaczące, bardzo głośne odkrycie projektu OGLE. A ponieważ same zjawiska mikrosoczewkowania mogą trwać nawet wiele miesięcy, więc żeby je zarejestrować, trzeba prowadzić długie, najlepiej wielokrotne kampanie obserwacyjne. Więc było dość oczywistym, że oprócz samych tych mikrosoczewek będziemy rejestrować miliony gwiazd, które będą w ciągu tych miesięcy zmieniać swoją jasność. W związku z czym będziemy mieli taką żyłę złota, w której będzie można weryfikować wiele innych pomysłów naukowych, zwłaszcza że do lat 90. nigdy nie obserwowano milionów gwiazd przez długi czas po to właśnie, żeby stwierdzić, jak one się zmieniają. W zasadzie w tych pierwszych latach było tak, że gdzie nie sięgnęliśmy, to zawsze było coś nowego, ciekawego. ↦

RICHARD / ADOBE STOCK

Droga Mleczna nad pustynią Atakama w pobliżu miasta San Pedro. Chile, lipiec 2018 r.

↦ A z projektu skoncentrowanego na mikrosoczewkowaniu staliśmy się wielkoskalowym przeglądem nieba. Obecnie obserwujemy regularnie dwa miliardy gwiazd. A gdy zaczynaliśmy, szczytem możliwości były dwa miliony. To też jest miara postępu technologicznego, jaki nastąpił w ciągu ostatnich 30 lat.

Jak się zmieniła astronomia w ciągu tych trzech dekad? Co wiemy dzisiaj, czego nie widzieliśmy wtedy?

Zmieniła się ogromnie. Przede wszystkim powstały nowe urządzenia badawcze, wielkie teleskopy nowszej generacji, które doprowadziły do wielu przełomów. Rozwinęła się astronomia w innych zakresach badań, głównie dzięki badaniom satelitarnym. Chodzi o te zakresy promieniowania, które z Ziemi są niedostępne, bo atmosfera nas chroni np. przed promieniowaniem rentgenowskim czy promieniowaniem gamma. W ostatnich latach udaje nam się obserwować niebo w tych zakresach dzięki kolejnym misjom. Dzięki temu nasze obserwacje są dużo bardziej kompleksowe.

Z kolei w ostatnich dziesięciu latach rozwinęła się zupełnie nowa dziedzina badań fal grawitacyjnych, które są jeszcze innym nośnikiem informacji o Wszechświecie. Ta dziedzina jest jeszcze we wstępnym stadium rozwoju, ale przynosi coraz więcej wyników, a jej perspektywy są bardzo ciekawe. Z naukowego punktu widzenia nastąpiło wiele ciekawych odkryć, choćby dowiedzieliśmy się o przyspieszeniu rozszerzania się Wszechświata.

Ale zagadek nie ubywa! Przeciwnie – wydaje się, że im więcej wiemy, tym więcej znaków zapytania.

To jest typowe w nauce. Tak też było z mikrosoczewkowaniem. Wydawało się nam, że jak odkryjemy pierwsze takie zjawiska, jak uda nam się odkryć ich sto, to będziemy już wiedzieli bardzo, bardzo dużo. Okazało się, że jeszcze lepiej by było, gdybyśmy mieli tysiąc, a potem jeszcze więcej. Dzisiaj tych zjawisk w sumie odkryliśmy już ponad 25 tysięcy, ale wciąż nie mamy o nich pełnej wiedzy. Są jednak wykorzystywane nie tylko do poszukiwania ciemnej materii, ale też np. do odkrywania planet. I tu też przez te lata mieliśmy wiele ciekawych odkryć.

Co dla Pana byłoby takimi największymi, najważniejszymi zagadkami, które w tym momencie są do wyjaśnienia? Na co chciałby Pan być w stanie odpowiedzieć jutro?

Jednym z takich tematów na pewno jest problem ciemnej materii. Druga jest zagadka ciemnej energii, choć jest to problem troszeczkę szerszy, podczas gdy wpływ ciemnej materii wykrywamy nawet w naszej galaktyce. Pod koniec czerwca opublikowaliśmy podsumowanie dwudziestu lat naszych badań. Pokazują one, że cały czas nie wiemy, czym jest ciemna materia. Niestety wykluczamy najbardziej nośne obecnie hipotezy, czyli czarne dziury odkrywane przez fale grawitacyjne, które mogłyby stanowić ciemną materię. To powrót do punktu wyjścia – cały czas nie wiadomo, czym ta ciemna materia jest. Widać, że ona oddziałuje grawitacyjnie, mamy sygnały, że istnieje, natomiast z pewnością nie są to takie ciała, do których byśmy byli przyzwyczajeni.

A jakie wyjaśnienie ciemnej materii wydaje się Panu najbardziej prawdopodobne? Mówi się o rozmaitych cząstkach, które miałyby ją tworzyć: aksjonach, WIMP-ach, neutrinach...

W to zupełnie nie wierzę. Bardzo liczyliśmy, że to zwykła, klasyczna, nieświecąca materia. Tu pewnie przebija się lekkie rozczarowanie, bo równolegle z naszym projektem rozpoczynały się projekty poszukiwania supernowych, które doprowadziły do odkrycia ciemnej energii, czyli czegoś, co działa odwrotnie do grawitacji i powoduje, że galaktyki oddalają się od siebie coraz szybciej. Za to przyznano w 2011 r. Nagrodę Nobla. Myśmy szukali ciemnej materii, ale niestety tutaj akurat natura okazała się przewrotna. Gdyby ciemna materia była złożona z materii klasycznej, to zapewne jakiś badacz zajmujący się mikrosoczewkowaniem Nobla by też dostał.

Ale i tak osiągnięć macie mnóstwo. Bardzo dużo zrobiliście, jeśli idzie o odkrywanie planet pozasłonecznych. W tej dziedzinie wspaniałe odkrycia pojawiły się w projekcie OGLE już wiele lat temu.

Byliśmy pionierami zastosowania dwóch technik odkrywania planet pozasłonecznych. Jedna z tych technik jest związana z mikrosoczewkowaniem.

Jeśli ten obiekt obdarzony masą, który soczewkuje nam światło odległej gwiazdy, ma wokół siebie planetę, to może się tak ustawić, że ta planeta będzie wywoływała dodatkowe efekty soczewkowania i wtedy widzimy zaburzenie zmienności jasności, z którego można odtworzyć potem, jak wyglądał ten układ planetarny. I w ten sposób już w 2003 r. odkryliśmy pierwszą mikrosoczewkową planetę pozasłoneczną. Do dziś tą metodą odkryto około 200 planet. To nie jest wielka liczba, ale ciekawe jest to, że te planety znajdują się od swoich słońc w takich odległościach, w których inne techniki nie są w stanie ich wykrywać. A z kolei te właśnie odległości są kluczowe do poznawania ewolucji układów planetarnych, bo to są mniej więcej takie odległości jak dystans między Słońcem a Jowiszem czy Saturnem. W tych rejonach, gdzie jest odpowiednio zimno, najprawdopodobniej powstają planety, w związku z czym te badania dużo wnoszą do samej teorii powstawania układów planetarnych.

Oprócz tego mikrosoczewkowaniem kilka lat temu odkryliśmy zupełnie nową kategorię planet pozasłonecznych – czyli planety swobodne. Są to planety wystrzelone ze swoich macierzystych układów, np. wskutek bliskiego spotkania z sąsiednią gwiazdą. One potem sobie po prostu wędrują po Drodze Mlecznej. Nie świecą w zasadzie, ale mogą przejść między nami a odległą gwiazdą, wywołać zjawisko mikrosoczewkowania i stąd wiemy, że one istnieją i że jest ich dużo.

A druga technika?

To metoda tak zwanych tranzytów, czyli czegoś w rodzaju zaćmień, takich jak te, które na Ziemi obserwujemy, kiedy Księżyc czy planeta wewnętrzna, taka jak Wenus, przechodzi przed tarczą Słońca. Tak samo planeta pozasłoneczna może przejść na tle tarczy swojej gwiazdy. To sprawia, że ona zasłania nieco jej światło, w związku z czym mamy takie mikrozaćmienie, które można fotometrycznie zmierzyć. Ono się powtarza zgodnie z okresem orbitalnym, więc na podstawie tych badań możemy scharakteryzować taki układ planetarny.

Tutaj byliśmy zupełnymi pionierami, od znalezienia przez nas pierwszego takiego układu w 2001 r. do 2006 r. 80 proc. wszystkich znanych planet tranzytują-

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

PROF. ANDRZEJ UDALSKI jest astronomem, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim. Od ponad 30 lat kieruje OGLE, wielkim programem obserwacji nieba, w ramach którego astronomowie stale obserwują setki milionów gwiazd. W maju tego roku prof. Udalski wraz z prof. Joachimem Wambsganssem zostali laureatami prestiżowej polsko-niemieckiej Nagrody Copernicus za dokonania w dziedzinie tropienia planet pozasłonecznych.

cych to były planety z naszego projektu. A później tę samą technikę zaczęły wykorzystywać misje satelitarne, m.in. misja Kepler, TESS i inne. Fotometria jest dużo precyzyjniejsza poza atmosferą ziemską, więc dziś to właśnie planet tranzytujących znamy najwięcej, bo około 5 tys. Mamy satysfakcję, że pierwsze pochodziły z projektu OGLE.

Chciałbym wrócić do czegoś, o czym wspomniał Pan na początku. Mówił Pan, że tutaj, w warszawskim obserwatorium, budujecie w dalszym ciągu własne instrumenty ze studentami. Dzisiaj można być astronomem i nie patrzeć w ogóle w niebo, nie zbliżać się do żadnego teleskopu – tylko analizując dane, które spływają z drugiej połowy świata na komputerze. Jak ważne jest to, żeby jednak mieć fizyczny kontakt z tymi instrumentami? Jak ważne jest to, żeby wyjść w nocy na Atakamę i spojrzeć do góry?

Jestem tradycjonalistą, więc uważam, że duże znaczenie ma to, żeby po pierwsze wiedzieć, jak instrument działa, po drugie mieć pojęcie, co się obserwuje. Rzeczywiście dziś większość obserwacji jest prowadzona w sposób zdalny. Obserwatorzy siedzą przy monitorach oddalonych o tysiące kilometrów od obserwatorium. Patrzą na cyferki, które spływają z instrumentów, a czasami nawet nie patrzą, bo robią to asystenci nocni, którzy zbierają dane.

To nieuniknione, bo mamy tyle obserwatoriów i misji kosmicznych, że trudno sobie wyobrazić, by naukowiec próbował samodzielnie prowadzić obserwacje. Same instrumenty są często tak skomplikowane, że tylko fachowcy mogą je obsługiwać. Ale ważne jest, by mieć świadomość tego, jak te dane powstają, jakie mogą być błędy – bo nie ma bezbłędnych instrumentów. Jeśli ktoś nie ma tego wyczucia, w interpretacjach mogą zdarzać się różne rzeczy.

Kiedy obserwujecie 2 miliardy gwiazd jednocześnie, to trudno, żeby astronom był na ty z każdą z nich.

Oczywiście komputery to obsługują. Mamy oprogramowanie, które potrafi wyciągać rzeczy, które natychmiast wymagają sprawdzenia, i wtedy można zareagować, np. zmienić program obserwacji. W naszym obserwatorium w Chile w zasadzie zawsze jest osoba, która prowadzi obserwacje. To dobre doświadczenie zwłaszcza dla młodych ludzi, bo to po pierwsze kontakt z niebem, a po drugie z instrumentami, a nie tylko z samą interpretacją danych.

Te spacery po Atakamie to jest też sposób na wyrwanie się z tej astronomii sprzed monitora?

Zdecydowanie tak. To cały czas duża przyjemność, mimo że tych nocy i tych wycieczek do Chile miałem dużo w życiu.

Dokąd zmierza dziś astronomia?

Jestem ostrożny w przewidywaniach, bo i technologie, i sposoby analizy danych tak szybko się zmieniają. Natomiast można powiedzieć, że na pewno będą rozwijane nowe technologie prowadzenia obserwacji, jakich do tej pory nie było i które są dziewiczymi polami, czyli astronomia fal grawitacyjnych. To, co się udało dotąd zarejestrować, to jest bardzo wąski wycinek tego, co nas czeka. Te technologie pozwolą zaglądać tam, gdzie za pomocą zwykłych fal elektromagnetycznych nie mamy dostępu. Wszechświat możemy obserwować do pewnej granicy. Do punktu, w którym fale elektromagnetyczne przestały być pochłaniane, co miało miejsce około 300 tysięcy lat po Wielkim Wybuchu. To, co zdarzyło się wcześniej, to jest *terra incognita*. Być może fale grawitacyjne pozwolą nam zajrzeć w te nieznane miejsca.

Program OGLE ma 32 lata. Jak długo jeszcze będzie działał?

Tak długo, jak tylko będziemy konkurencyjni i będziemy mieli nowe, ciekawe pomysły. Najfajniejsze jest odkrywanie czegoś nowego, a sądzę, że przed nami jest jeszcze wiele takich rzeczy. Aczkolwiek na pewno jest dużo trudniej niż w tych latach 90., gdzie w zasadzie wszystko było nowe i niezwykle ciekawe.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KRYMINAŁ DOSKONAŁY

„Pogodziłem się z myślą, że jestem marnym pisarzem. Spotkałem jednak na swojej drodze kobietę, która myślała dokładnie coś przeciwnego” – tak tłumaczy początki swojej wielkiej kariery Pierre Lemaitre.

PIOTR KOFTA

Jest autentycznym gwiazdorem, nazywanym przez francuskich publicystów, zależnie od humoru, nowym Dumasem albo nowym Balzakiem. Sam widziałem Pierre'a Lemaitre'a na żywo tylko raz. W maju 2016 r. przyjechał do Wrocławia na Międzynarodowy Festiwal Kryminału, aby odebrać honorową Nagrodę Wielkiego Kalibru, przyznawaną wybitnym twórcom tego gatunku. Samolot z Paryża złapał opóźnienie, pisarz na spotkanie z czytelnikami dotarł w pośpiechu, po czasie. W sali było już ciasno i duszno.

A potem zdarzyło się coś osobliwego: w ciągu paru minut Lemaitre przejął kontrolę nad wydarzeniami. Na samym początku oświadczył, że jest patentowanym łgarzem i to, co mówi, wypada traktować z należytą ostrożnością. Każdą kolejną odpowiedź na pytanie prowadzącego zamieniał w mini-etiudę aktorską, w skecz zakończony błyskotliwą puentą. Błaznował, lawirował, kpił z samego siebie, burzył stereotypy, podtrzymywał napięcie – w niczym nie przeszkadzało nam i jemu to, że tłumacz dosłownie stawał na rzęsach, próbując wychwycić wszystkie jego dowcipy i gry słowne.

Było to najlepsze i najciekawsze spotkanie autorskie, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem (warto o tym pamiętać, gdyż pisarz jeszcze tej jesieni pojawi się w Krakowie).

Dla ludzi

Kiedy się zobaczy Lemaitre'a w akcji, łatwiej zrozumieć fenomen jego sukcesu. Pisarz, który debiutował – z problemami, bo praktycznie nikt nie chciał wydać jego powieści kryminalnej – grubo po pięćdziesiątce, w siedem lat po debiucie miał już Nagrodę Goncourtów, czyli osiągnął sam szczyt frankofońskiego literackiego parnasu. Francuzi, przyzwyczajeni do ustalonych hierarchii, byli zadziwieni tym błyskawicznym awansem, przeskokiem z krainy kryminału i thrillera do świata *littérature blanche* – literatury wysokiej – bo to było tak, jakby na trwającym właśnie Euro w finale wygrała, powiedzmy, Gruzja. Zwłaszcza że Lemaitre pozostał wierny swojemu sposobowi pracy: żadna to wyrafinowana awangarda, raczej opanowane do perfekcji klasyczna fraza i równie klasyczne formy wywodzące się z popularnego pisania – dla ludzi, nie dla krytyków.

Lemaitre ma tę samą umiejętność co Stephen King, jest fenomenalnym opowiadaczem, literackim iluzjonistą, który oszukuje, czyniąc odbiorcę szczęśliwym. Oczywiście konstatacja, że tworzenie literatury to rodzaj wyrafinowanego oszustwa, w ramach którego obie strony kontraktu – i pisarz, i czytelnik – godzą się na zawieszenie reguł rządzących światem za oknem, jest dość banalna. Ale francuski autor niczego nie ukrywa.

„Nie opisuję rzeczywistości, kreuję fikcyjną iluzję czerpiącą z rzeczywistości. Ważne jest to, by czytelnik od początku do końca lektury wierzył w stworzoną przeze mnie postać i w to, co się z nią dzieje" – mówił w jednym z wywiadów. W powieści „Do zobaczenia w zaświatach" (2013, wyd. pol. Albatros 2014, przeł. Joanna Polachowska) – to za nią dostał Goncourtów – jeden z głównych bohaterów, Édouard Péricourt, doznaje w ostatnich dniach I wojny światowej ciężkich ran twarzy. „Anatomiczny opis tych ran jest w mojej książce absurdalny – przyznawał Lemaitre. – Ale jest skuteczny w kontekście powieściowym". W rozmowie z Jackiem Szczerbą dla „Gazety Wyborczej" deklarował z kolei, że w swoich kryminałach nie przywiązuje wielkiej wagi do researchu (który przecież uchodzi w tej branży za prawdziwy fetysz): „Zbytnia dokładność w rekonstrukcji jest nieproduktywna, przestajemy wtedy uprawiać literaturę. (...) W moim kryminale ktoś, strzelając z pistoletu smith&wesson, robi dziurę o średnicy 80 centymetrów. A przecież smith&wesson nie robi takiej dziury. Co ja na to? Mam to gdzieś".

Ale to nie jedyna iluzja, do której wywołania dąży Lemaitre. „Zawsze staram się pracować nad stylem, aby zmniejszyć dystans między czytelnikiem a narratorem. Wypracowuję coś, co nazywam iluzją oralności. To naprawdę skomplikowane. Odbiorca sądzi, że czyta tekst brzmiący prosto, (...) napisany niemal językiem potocznym, ale w istocie stoi za tym poważna literacka robota" – stwierdzał pisarz w wywiadzie dla magazynu „Le Petit Échotier". Tu trzeba nadmienić, że polszczyzna – za pośrednictwem etatowej tłumaczki Lemaitre'a Joanny Polachowskiej – bardzo dobrze znosi te zabiegi.

Pisarz, który nie pisał

W literaturze nie wszystko zależy od talentu. Trzeba mieć także odrobinę szczęścia. Na każdego pisarza, który odniósł sukces, przypadają dziesiątki, a może i setki takich, co przepadli. Nie wszyscy spośród nich byli grafomanami – ot, po prostu nie trafili na nikogo, kto umiałby przeczytać ich książki i zaryzykować.

Lemaitre nie przepadł. Ale było blisko. Jego debiutancką „Koronkową robotę" odrzuciły dwadzieścia dwa wydawnictwa. Autor słał tekst powieści w wydawniczą czeluść za namową żony. „Koronkowa robota" to świetny, mroczny kryminał z nietypowym, starannie przemyślanym bohaterem, paryskim komisarzem Camillem Verhoevenem, którego nikły wzrost (145 centymetrów) jest odwrotnie proporcjonalny do jego charyzmy, wściekłości i empatii. Co mogło przeszkadzać wydawcom? Że książka za trudna? Że bohater zbyt ekscentryczny? Że autor za stary i słabo wychodzi na zdjęciach? Trudno orzec. W każdym razie najpierw były dwadzieścia dwa listy odmowne, a potem jeden z redaktorów zadzwonił do Lemaitre'a, że po zastanowieniu zmienił zdanie.

„Koronkowa robota" ukazała się w 2006 r. w specjalizującej się w kryminałach oficynie Éditions du Masque i zebrawszy po drodze parę nagród, utorowała 55-letniemu debiutantowi drogę do kariery. Ale pytany, dlaczego zaczął tak późno, Lemaitre odpowiada zwykle, że pisarzem czuł się od zawsze. „Byłem pisarzem, który nie pisał. Przez całe moje życie krążyłem wokół literatury. Moja pierwsza książka była dosyć dojrzała, a to dlatego, że przez 40 lat właściwie pisałem w głowie. Wydaje mi się, że całe życie, od samego początku byłem pisarzem, to los sprawił, że wykonywałem jeszcze inne zawody. Jednak mam wrażenie, że zrodziłem się z literatury i że byłem pisarzem od zawsze" – mówił w wywiadzie dla portalu booklips.pl.

Urodzony w 1951 r. Lemaitre wychowywał się na przedmieściach Paryża w rodzinie urzędniczej o robotniczych korzeniach. „Pierre Bourdieu sformułował kiedyś teorię o tym, że wprawdzie przynależymy do jakiejś klasy społecznej, ale naszym punktem odniesienia jest inna klasa, do której pretendujemy. U naszych sąsiadów symbolem tej lepszej klasy było pianino. A w mojej proletariackiej ↦

Pierre Lemaitre. Paryż, grudzień 2019 r.

FRANCK FERVILLE / AGENCE VU / EAST NEWS

rodzinie były nim książki – opowiadał Szczerbie. – W 1953 r. powstała we Francji seria książek kieszonkowych – »Le Livre de poche«. To była rewolucja, bo były niedrogie. Moja matka kupiła tomy od 1 do 400. Ustawiała je na półkach zgodnie z numeracją. Nowy tytuł ukazywał się co 15 dni, brakowało czasu, żeby nadążyć z czytaniem. Matka miała neurotyczne upodobanie do kolekcjonowania – miała kolekcję różnych kolekcji...".

Lemaitre wychował się na klasykach literatury, a potem z literaturą przez dekady pracował: wprawdzie z wykształcenia jest psychologiem, ale zarabiał na życie jako prowadzący kursy wiedzy o literaturze w ramach edukacji uzupełniającej dla dorosłych, a także analogiczne kursy dla bibliotekarzy. Napisał zresztą przed oficjalnym debiutem dwie książki – obie nie znalazły uznania wydawców, ale autor bez wahania przyznaje, że były okropne.

W rozmowie z booklips.pl tłumaczy: „Pogodziłem się z myślą, że jestem marnym pisarzem. Miałem w sobie na tyle zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że nie mam swojego miejsca w literaturze francuskiej. Spotkałem jednak na swojej drodze kobietę, która myślała dokładnie coś przeciwnego. Kiedy jest się przez kogoś jak gdyby niesionym, wszystko staje się możliwe. (...) Konieczna była odwaga, która jest potrzebna do tego, by przez rok czy półtora roku poświęcić cały swój czas na jedną tylko rzecz, poświęcić siebie jednej rzeczy w sposób obsesyjny. To właśnie zawdzięczam temu, kto tchnął we mnie pewną ufność, której mi brakowało".

Lemaitre postawił na kryminał, ponieważ wydawało mu się, że to łatwy, schematyczny gatunek. Okazało się, że sprawy mają się wręcz przeciwnie: konwencjonalna sztywność kryminału czy thrillera, konieczność uwzględnienia wszystkich elementów konstrukcyjnych i doprowadzenia do efektownego, mylącego tropy zakończenia sprawiają, że ekstremalnie trudno jest powiedzieć na tym polu coś nowego. Okazało się wszelako, że inżynieria i poetyka powieści sensacyjnej bardzo przypadły do gustu Lemaitre'owi.

Udało mu się nie tylko wymyślić nieklasycznego detektywa i ukształtować własny, oryginalny styl pracy z fabułą, lecz także zrozumieć, na czym w istocie polega współczesny konsumencki głód kryminalnych intryg i brutalnych zbrodni. Okrucieństwo jest metaforą. Ludzie we współczesnych społeczeństwach Zachodu z reguły „bezpośrednio nie doświadczają zbrodni, ale jednocześnie odczuwają, że społeczeństwo jest przesiąknięte przemocą w sposób symboliczny. (...) Przykładem takiego aktu przemocy są bezrobocie, bieda czy degradacja społeczna. Także bycie wciąż pogardzanym imigrantem. Wydaje mi się, że powieść kryminalna służy temu, ażeby nadać treść naszym lękom i obawom przed takimi zjawiskami" – mówił w rozmowie z portalem kawiarenkakryminalna.pl.

> Postawił na kryminał, ponieważ wydawało mu się, że to łatwy, schematyczny gatunek. Nic bardziej mylnego. **Okazało się, że jest fenomenalnym opowiadaczem i iluzjonistą,** który oszukuje, czyniąc czytelnika szczęśliwym.

Pozostaje nieuczciwość

Jego najlepszy chyba kryminał, czyli „Alex" (2011, wyd. pol. Muza 2013, przeł. Joanna Polachowska), jest skomplikowaną, zaskakującą opowieścią o potwornej traumie, która wymaga równie potwornej zemsty – jeśli ktoś nie czytał, nie powiem już nic więcej – ale ten wzorzec myślenia o przemocowych relacjach jednostki ze społeczeństwem u Lemaitre'a nieustająco powraca. Przy czym nie chodzi tu o wolnościowo-libertariański wzorzec zapożyczony z kultury amerykańskiej, lecz o europejską lewicową wrażliwość, która dostrzega ukryte i jawne systemy opresyjnej władzy, jaką sprawują rodzice i nauczyciele nad dziećmi, mężczyźni nad kobietami, pracodawcy nad pracownikami, urzędnicy nad obywatelami.

Moja ulubiona powieść Lemaitre'a – thriller „Zakładnik" (2010, wyd. pol. Muza 2012, przeł. Joanna Polachowska) – to w istocie wściekła polityczna satyra na późny kapitalizm, w którym „teksański fundusz naftowy decyduje o tym, że ktoś w Clermond-Ferrand nie będzie już miał pracy" (wywiad dla „Le Petit Échotier"): kierownictwo pewnej korporacji przemysłowej pragnie spośród dyrektorów średniego szczebla wyłonić kandydata do sprawnego i bezlitosnego przeprowadzenia zwolnień w deficytowej fabryce.

Pomysł jest prosty – należy poddać owych dyrektorów próbie. Ukartować porwanie i sprawdzić, jak się zachowują pod presją. Czy zachowają zimną krew? Puszczą farbę o tajemnicach firmy? A może pozostaną lojalni? Problem w tym, że organizatorzy nie przewidzieli wszystkich zmiennych działających w takiej sytuacji: sfrustrowany, zdesperowany, bezrobotny menedżer przed sześćdziesiątką, zrekrutowany do przeprowadzania sfingowanych przesłuchań podczas sfingowanego porwania, ma zupełnie inne plany... „Zakładnik" ma anarchistyczną siłę prozy Houellebecqa, ale jednocześnie trzyma czytelnika na krótkiej smyczy emocjonalnego suspensu – z tej książki wychodzi się oblanym zimnym potem.

W „Do zobaczenia w zaświatach" miejsce korporacyjnych korytarzy i gabinetów zajmują okopy Wielkiej Wojny – nadgorliwy oficer, oczywiście śliski zasraniec o szlacheckim nazwisku, wysyła żołnierzy na pewną śmierć, bo wojna zaraz się skończy, a jemu brakuje orderów. Ale Lemaitre używa wojny, by opowiedzieć o czasach pokoju: o poranionych fizycznie i psychicznie weteranach, których nikt nie potrzebuje, o hipokryzji pamięci historycznej, wedle której bohaterowie winni leżeć grzecznie na cmentarzu i nie przeszkadzać w wystawianiu pomników sławiących zwycięstwo, o wielkim biznesie, który koszmarną wojenną hekatombę potraktował jako jeszcze jedną okazję do powiększenia swojego bogactwa.

Lemaitre wprawdzie sięga tu – i w dwóch kolejnych tomach trylogii „Dzieci katastrofy" – po formę powieści historycznej, niemniej robi to na swoich warunkach. Nie jest (na szczęście) Tołstojem, który zaszczepił w Rosjanach dojrzałą imperialną dumę, lecz praktykiem popularnego, ludowego pisarstwa. W jego rękach historyczny fresk zamie-

nia się w pikarejską opowieść o antybohaterach, outsiderach i wyrzutkach, drobnych kombinatorach, którzy w akcie zemsty starają się okpić system stworzony przez tych, co sprawują władzę.

„W konfrontacji ze społeczną niesprawiedliwością bohaterom pozostaje jedynie nieuczciwość" – mówił autor w rozmowie z portalem Toute La Culture, podkreślając, że świadomie korzystał zarówno ze schematów powieści sensacyjnej (musi być suspens, musi być zagadka, musi wreszcie być zapierający dech w piersiach twist na koniec), jak i XIX-wiecznej powieści odcinkowej, w której każdy rozdział musiał kończyć się spektakularnym cliffhangerem, żeby zmusić czytelnika do kupienia następnego numeru gazety.

Nie da się przerwać

Lemaitre zamierza pokryć powieściami całą historię Francji od Wielkiej Wojny aż po współczesność. Rozpoczęta niedawno tetralogia, którą otwiera świeżo u nas wydany „Wielki świat" (we Francji ukazał się już drugi tom, „La silence et la colère", czyli „Cisza i gniew") jest naturalną konsekwencją takiej polityki twórczej. Tym razem jest balzakowska w swoim obyczajowo-komediowym zacięciu – rozmontowuje kolejny mit francuskiej historii, czyli Wspaniałe Trzydziestolecie (*les Treintes Glorieuses*) powojennej *prosperity*.

W latach 1946-1975 dokonał się we Francji przełom w jakości życia przeciętnych obywateli – do masowej konsumpcji kapitalistycznego dobrobytu dopuszczono ludzi niższych klas, pokolenie młodzieży urodzonej po II wojnie pięło się w górę hierarchii prestiżu i posiadania, migrując do wielkich miast albo porzucając kolonialne przyczółki na rzecz metropolii. To, rzecz jasna, również czas krwawej – i przegranej – wojny algierskiej, gwałtownej dekolonizacji, wreszcie: generacyjnego buntu 1968 roku. Niemniej Wspaniałe Trzydziestolecie wspominane jest we Francji z tęsknotą podobną do tej, jaką Polacy darzą parę lat gierkowskiego raju na kredyt.

„W latach 60. byłem dzieckiem i dla mnie Wspaniałe Trzydziestolecie oznaczało samochody, lodówki, telewizję, nowoczesny beton w miastach, bogacące się rodziny oraz Georges'a Pompidou [ówczesny premier i prezydent Francji – przyp. red.]. Był to okres, prawdopodobnie ostatni, gdy ludzie mogli słusznie zakładać, że ich dzieci będą miały lepsze życie niż oni sami" – opowiadał Lemaitre w wywiadzie dla serwisu franceinfo.fr, dodając, że na starość ujrzał również wyraźnie cienie tamtej epoki.

„Wielki świat" rozpoczyna sagę rodzinną familii Pelletierów, osiadłych w Bejrucie przedsiębiorców z branży mydlarskiej, której potomstwo w 1948 r. rozjeżdża się po świecie: trójka dzieci – François, Jean i Hélene – trafia do Paryża, zaś najmłodszy z synów, Étienne, do Sajgonu, pogrążonego w chaosie z powodu trwającej wojny z komunistyczną partyzantką. Étienne, który wyjechał do Wietnamu za kochankiem służącym w Legii Cudzoziemskiej, wpada w Sajgonie na trop gigantycznej afery finansowej. Hélene nie wie, kim chce być. François wie: za wszelką cenę – może się nawet zeszmacić – chce być dziennikarzem. Jean jest popychadłem w rękach swojej koszmarnej żonki oraz seryjnym mordercą kobiet (spokojnie, dowiadujemy się tego na pierwszych kilkunastu stronach powieści).

Charakter prozy Lemaitre'a – który rzeczywiście ma złośliwy temperament pracowitego jak stado mrówek XIX-wiecznego autora powieści seryjnych – przejawia się tu w detalach, subtelnie, w grze ze staroświecką konwencją mieszczańskiej satyry bądź ze wzorcem interwencyjnej powieści społecznej, raczej w obserwowaniu splotów i zakrętów ludzkiego losu niż celebracji wielkich dziejowych dat.

Można zapytać na koniec, dlaczego właściwie miałyby nas interesować jakieś insiderskie potyczki Francuzów z ich własną historią. Odpowiedź wydaje się prosta: bo pod piórem Lemaitre'a mają one walor uniwersalny. Zresztą tych tekstów zwyczajnie nie można przestać czytać, jeśli już się zaczęło: są szlachetną i dobrze skrojoną literaturą. Kibicuję Lemaitre'owi, bo wiem, że ten autor jest fizycznie niezdolny do napisania złej powieści.

© PIOTR KOFTA

Pierre Lemaitre w przekładach Joanny Polachowskiej – nasz wybór

▪ **KORONKOWA ROBOTA**
Wydawnictwo Muza, 2017.
Mroczny kryminał z nietypowym, starannie przemyślanym bohaterem, paryskim komisarzem Camillem Verhoevenem, którego nikły wzrost jest odwrotnie proporcjonalny do charyzmy, wściekłości i empatii. Debiut, który odrzuciły dwadzieścia dwa wydawnictwa.

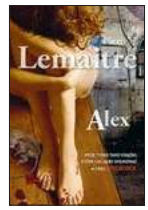

▪ **ALEX**
Wydawnictwo Muza, 2015. Najlepsze chyba dzieło Lemaitre'a jest skomplikowaną, zaskakującą opowieścią o potwornej traumie, która wymaga równie potwornej zemsty.

▪ **ZAKŁADNIK**
Wydawnictwo Muza, 2012. Wściekła polityczna satyra na późny kapitalizm, w której kierownictwo pewnej korporacji przemysłowej pragnie spośród dyrektorów średniego szczebla wyłonić kandydata do sprawnego i bezlitosnego przeprowadzenia zwolnień w deficytowej fabryce. Nie brzmi podniecająco ? Spróbujcie: autor trzyma czytelnika na krótkiej smyczy emocjonalnego suspensu – z tej książki wychodzi się oblanym zimnym potem.

▪ **DO ZOBACZENIA W ZAŚWIATACH**
Wydawnictwo Albatros, 2024.
Lemaitre używa Wielkiej Wojny, by opowiedzieć o czasach pokoju: o poranionych fizycznie i psychicznie weteranach, których nikt nie potrzebuje, o hipokryzji pamięci historycznej, wedle której bohaterowie winni leżeć grzecznie na cmentarzu i nie przeszkadzać w wystawianiu pomników sławiących zwycięstwo. ©

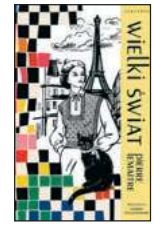

Pierre Lemaitre,
WIELKI ŚWIAT,
przeł. Joanna Polachowska, Albatros, Warszawa 2024

Muzyka klubu

JAN BŁASZCZAK

Imprezy techno w latach 90. organizowano w barach, basenach, a nawet pralniach. Dziś mają swoje festiwale. Na jednym z nich w te wakacje zagra MONO, łódzki DJ z trzydziestoletnim stażem.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Po dwudziestu latach na ulicę Piotrkowską w Łodzi wróciła Parada Wolności. Łódź, 2022 r.

Historia polskiej sceny klubowej stała się w ostatnich latach przedmiotem nostalgicznych powrotów, naukowych badań i interdyscyplinarnych analiz. Oglądaliśmy poświęcone tej scenie wystawy („Euforia", „140 uderzeń na minutę"), dokumenty („Rave") i spektakle („Mój pierwszy rave"). Nie brakowało kronik i antologii zbierających klubowe świadectwa („30 lat polskiej sceny techno", „Technowulkan", „Dzika rzecz"). Autorzy tych dzieł obierają różne perspektywy: osobistą, kronikarską albo socjologiczną. Scena klubowa staje się dla nich pretekstem do opowieści o transformacji, kapitalizmie, retrofuturyzmie, ba, udaje się ją nawet łączyć ze zwrotem ludowym.

Ale na muzyce klubowej i nostalgii za jej romantycznymi początkami można też robić politykę. Prezydentka Łodzi Hanna Zdanowska, zapowiadając powrót słynnej Parady Wolności, ogłaszała: „Wracamy do korzeni. Wracamy do legendy".

– Parada Wolności wróciła, ale została skrzywdzona, bo nie obejmie już całonocnej oficjalnej imprezy – tłumaczy MONO, łódzki DJ z trzydziestoletnim stażem. – Kiedyś platformy zjeżdżały pod Halę przy ulicy Skorupki, gdzie odbywała się impreza, i to ona była gwoździem programu, do którego parada była tylko przyczynkiem. Teraz to się odwróciło i nagle ciężarówki stały się symbolem wszystkiego.

Przykład Parady Wolności wydaje się symptomatyczny, pokazuje, jak instrumentalnie traktowany jest ten kulturalny fenomen. A także, że jego symboliczny wymiar staje się ważniejszy niż muzyka, wokół której zawiązywały się roztańczone wspólnoty. Bez niej nie da się opowiedzieć tej historii.

– Lata 90. to były takie fajne czasy, kiedy popularna muzyka elektroniczna była zarazem bardzo progresywna – wspomina DJ BLIK. – Na kanale VIVA, jakby nigdy nic, leciał sobie Aphex Twin. Totalnie pojechane, eksperymentalne rzeczy były po prostu na topie. A ja to chłonąłem jak gąbka.

Radio pralnia

Rozmowy z weteranami sceny klubowej nie pozostawiają wątpliwości, że przyczyny fascynacji holenderskim gabberem czy angielskim acid house'em bywały różne. Inny charakter miały imprezy w łódzkim Pubie Chenko, inny w krakowskim klubie Krzysztofory czy sopockim Sfinksie.

– Łódź miała swój potencjał i swoje przekleństwa – opowiada MONO. – Miasto robotnicze, biedne, więc wielu jego mieszkańców czuło potrzebę oderwania się od trudnej rzeczywistości, ucieczki w inny świat. Muzyka pozwalała złapać oddech i odlecieć.

W sopockim Sfinksie entuzjaści muzyki klubowej tańczyli ramię w ramię z przedstawicielami środowiska artystycznego i trójmiejskiej inteligencji.

– Odbywały się tu jedne z pierwszych imprez techno w Polsce – wspomina Małgorzata Żerwe, reportażystka i artystka wizualna. – To, co w historii tego miejsca wydaje mi się najbardziej cenne, to jego otwartość. Chodziłam na te imprezy, bo

PAWEŁ SKRABA / EAST NEWS

Audioriver Festival – festiwal muzyki elektronicznej. Płock, 31 lipca 2022 r.

odbywały się w Sfinksie, czułam się częścią tej wspólnoty. Najpewniej nie brałabym w nich udziału, gdyby odbywały się gdziekolwiek indziej.

Tym, co łączyło imprezy, była nie tylko wysoka liczba bitów na minutę, ale także zagraniczne kontakty ich organizatorów. Artysta i założyciel Sfinksa, Robert Florczak, w latach 80. mieszkał w Nowym Jorku, więc próbował przenieść do Sopotu atmosferę tamtejszych klubów. Janusz Zawierucki (znany jako DJ Loverover, Zawieja), organizator pierwszych klubowych imprez w Krakowie, po 1989 r. wyjeżdżał do krajów zachodniej Europy, skąd przywoził płyty i fascynację nową elektroniką. Łódź natomiast zawdzięcza wiele polsko-angielskim korzeniom DJ-a Life'a – związanego z kultową ekipą Amnesia Energy Crew (dalej: Amnesia).

Historia tej grupy dobrze oddaje realia i wspólnotowy charakter rodzącej się wówczas sceny. MONO kojarzył jej członków ze swojego osiedla. Mieli kanciapę w starym budynku przepompowni, który wchodził walcem w głąb ziemi. Amnesia zajmowała pomieszczenie na najniższym piętrze. Mieli tam gramofony, płyty i święty spokój. Jeden z jej członków – Kuba Czerwonka – kojarzył MONO ze szkoły, bo młody hipis, który ciągle kręcił się po okolicy, nie miał ucha. To on zresztą wymyślił mu sympatyczną ksywkę. MONO zawdzięcza jednak Amnesii znacznie więcej, bo starsi koledzy zapraszali go do kanciapy, gdzie poznawał nową muzykę, a także próbował swoich sił w graniu na gramofonach. Didżejska ekipa edukowała swoich sąsiadów nie tylko w bezpośrednim spotkaniu.

– Kuba był fanem krótkofalarstwa i dzięki niemu założyli nielegalne radio w 1992 r. – wspomina MONO. – Mieli nadajnik w pralni, za sprawą którego emitowali muzykę na obszarze osiedla Teofilów. Puszczali audycje z brytyjskich pirackich stacji radiowych nagrywane przez DJ-a Life'a. On wysyłał im także dźwiękowe listy, na które składały się jego miksy poprzeplatane pozdrowieniami dla kolegów i opowieściami o tym, jak mija mu czas w Londynie.

Przepompownia, pralnia, nielegalne radio – początek lat 90. to dla sceny klubowej czas wielkiej improwizacji. Na szczęście wśród jej organizatorów nie brakowało weteranów sceny niezależnej, artystów zaangażowanych w inne jej obszary. Jednym z nich był Wojciech Krawczyk – lider grupy Homomilitia, który później jako DJ Wojti zrobił karierę na scenie techno. On też mieszkał na Teofilowie – w zasięgu rażenia Amnesii.

Z bufetu na basen

Rola takich oddolnych inicjatyw była tym ważniejsza, że w tamtym okresie brakowało mediów, które pomagałyby odbiorcom wejść w ten nowy muzyczny świat. Takie tytuły zaczęły się pojawiać w połowie lat 90. i nierzadko miały większe ambicje. Wystarczy otworzyć numer krakowskiego „Future Guide" z 1996 r. Już w pierwszym artykule tego magazynu („Internet jest dla ludzi") czytam: „Jest to nowe jakościowo zjawisko, którego skutki dla ludzkości (czyli dla Ciebie) mogą według niektórych entuzjastycznych proroków ery informacji przewyższyć wynalezienie druku przez mistrza Gutenberga".

Kilka stron dalej otrzymujemy króciutki wgląd w sytuację krakowskiej sceny klubowej: „1 października 1993 r. Krzysztofory – licznie zgromadzeni z niezupełnym zrozumieniem, ale pełnym zaskoczeniem reagują na muzykę. Imprezkę prowadzi Zawieja". Zawieja był jedną z kluczowych postaci dla rozwoju krakowskiej sceny muzyki klubowej. Zanim jednak doprowadził do tego, że Krzysztofory pękały w szwach, potrzeba było czasu.

– Początkowo na imprezach bywało po kilka osób – wspomina. – Bywalcy dyskotek byli przyzwyczajeni, że tańczy się do radiowych przebojów, więc nie mogli się w tym odnaleźć. Podchodzili do mnie i pytali, co jest grane i czy nie mógłbym jednak puścić Michaela Jacksona. Z drugiej strony, dla słuchaczy muzyki alternatywnej, niekomercyjnej te imprezy też były nie do przyjęcia, ponieważ bit był trochę dyskotekowy.

Pomimo tego promotorom muzyki nie brakowało entuzjazmu i inicjatywy. A te były konieczne w realiach powszechnego braku: sprzętu, lokali, mediów. MONO zwraca uwagę na paradoks polegający na mówieniu o scenie klubowej w okresie, kiedy tych klubów tak bardzo brakowało. A przynajmniej w rozumieniu lokali o konkretnym profilu muzycznym i ustalonym programie wydarzeń. Imprezy organizowano więc gdzie tylko się dało: w barach, domach kultury, halach sportowych, a nawet basenach.

Miłośnicy gabbera, acid house'u czy techno spotykali się również na spontanicznych imprezach organizowanych w utajnionych miejscach. Czasem wymagały one wycieczki za miasto, innym razem odbywały się w samym jego centrum. Tak było w przypadku słynnej imprezy w bunkrach w parku Poniatowskiego, która odbyła się w 1992 r.

– To wąskie pomieszczenia, korytarze i zakamarki, więc pomieściło się tam maksymalnie 100-150 osób, ale wiadomość o wydarzeniu rozeszła się pocztą pantoflową po całej Łodzi – wspomina MONO, który dodaje, że były to imprezy bardzo ↦

↦ inkluzyjne. Ściągali na nie przedstawiciele wszystkich subkultur (no, może poza skinheadami). Czymś absolutnie normalnym były zaś imprezy techno rozpoczynające się zaraz po punkowych koncertach. Ściągano piece, wnosiło się gramofony – wieczór trwał w najlepsze.

Jak w domu

Każdego roku przybywało jednak w Polsce klubów specjalizujących się w tanecznej muzyce elektronicznej. Dla wielu twórców tej sceny rozpoczynał się najlepszy okres – z jednej strony profesjonalizowało się zaplecze, z drugiej – świat nie kręcił się jeszcze wokół nazwisk gwiazd i festiwalowych marek. Tymi ostatnimi były wówczas kluby – to one były gwarantem udanego wieczoru. Wokół nich zawiązywały się wspólnoty.

– Kiedyś próg wejścia, aby zostać DJ-em, był bardzo wysoki: trzeba było mieć gramofony, mikser i oczywiście płyty – tłumaczy DJ BLIK. – Pamiętam, że na pierwszy gramofon odkładałem przez rok, a drugi długo pożyczałem. W klubach zwykle był ten sprzęt, więc młodzi adepci tam trenowali i potem – siłą rzeczy – grali w tych miejscach. Rodziły się więc środowiska skupione wokół konkretnych miejsc.

Twórczość DJ-a BLIKA stanowi hołd dla tamtej epoki i towarzyszącej jej filozofii. Z tego powodu twórca nie podaje swoich personaliów, a kolejne utwory na wydawanych przez niego płytach zawdzięczają tytuły kultowym warszawskim klubom. To świadome nawiązanie do ideałów sceny klubowej, której twórcy często zmieniali pseudonimy, by nie zamienić się w markę. Grali w kompletnych ciemnościach w antygwiazdorskim geście. Dystrybuowali nieopisane płyty, by ich nazwisko nie wpływało na odbiór muzyki.

Niektórzy producenci uważali wręcz, że prymat klubu jest wpisany w DNA muzyki tanecznej. Wspominając początki swojej kariery w latach 80. DJ Sprinkles mówił mi przed laty w wywiadzie: „Termin »house music« tłumaczyło się jako muzyka klubu. Wynikało to stąd, że kluby miały swoje własne płytoteki, z których korzystali występujący w nich DJ-e. W ten sposób lokale wypracowywały swoją reputację, budowały swoje brzmienie...".

Muzyka była najważniejszą składową budującą markę klubu, ale w pewnym momencie ich legenda zaczynała żyć własnym życiem. – Dla mnie to środowisko było drugim domem – wspomina MONO. – Również dlatego, że w domu zmagałem się z ojcem alkoholikiem, a ten świat wydawał się piękny. Prawie wszystkie najważniejsze relacje zawiązywałem w miejscach, w których się tańczyło, bawiło, słuchało muzyki. To była moja ostoja.

Muzyka klubowa spadła na Polaków znienacka. Płynęła z Londynu, Rotterdamu, Berlina. Słuchali jej zarówno punkowcy, jak i hipisi.

DJ BLIK do dziś dobrze pamięta emocje, które towarzyszyły mu podczas pierwszej wizyty w warszawskiej Piekarni.

– Nie chciano mnie wpuścić, bo byłem za mały. Miałem siedemnaście lat, ale wyglądałem raczej na trzynaście. Kiedy się już udało, do wszystkich wrażeń dochodził więc smak zakazanego owocu. Wszystko widziałem przez różowe okulary: wystrój, soundsystem, publiczność. Jadłem to łyżkami.

A przecież nie mówimy o miejscach opływających w luksusy. Niektóre z nich miały kubaturę sporej hali, częściej były to jednak duszne klitki.

– Pamiętam, że ludzie nie tylko świetnie się bawili, ale byli też w stosunku do siebie bardzo empatyczni – wspomina Zawieja. – Krzysztofory znajdują się pod ziemią, więc kiedy przyszło trzysta osób, to robiło się bardzo duszno, bo wentylacja nie wyrabiała. Wśród ludzi krążyły więc butelki wody, szklanki z piwem przechodziły z rąk do rąk, bo było naprawdę gorąco – nie tylko pod względem muzycznym.

Różne podróże

Uczciwie trzeba dodać, że w klubach z rąk do rąk przechodziły nie tylko butelki z wodą. Już w 1995 r. donosił o tym „Brulion" w tekście „Techno – muzyka przyszłości" autorstwa Wojciecha Bockenheima i Michała Długosza, stałych bywalców Krzysztoforów. Znajdziemy w nim precyzyjną wiwisekcję muzyki klubowej, skrupulatne opisy sprzętu i efektów, które pozwalają uzyskać, ale także rozdział o preferowanych w tym środowisku używkach (m.in. fantastyczny akapit o prapoczątkach napojów energetycznych).

„Większość technomanów ma, rzecz jasna, na swoim koncie podróże i na LSD, i na grzybach czy meskalinie, jednak ogólne preferencje zmierzają raczej w stronę dragów bardziej finezyjnych w działaniu i bardziej eleganckich pod względem cenowym" – możemy przeczytać w tym świetnym eseju. Znów jednak wiele zależało od okoliczności, bo nie zawsze przecież bywało tak elegancko. MONO przyznaje, że na muzyce klubowej z pewnością wzbogaciła się przestępcza Łódź, a zlokalizowane na jej przedmieściach fabryki amfetaminy miały zapewniony rynek zbytu: – Byliśmy młodzi, przeżywaliśmy niesamowite doznania, więc wiele osób idealizuje teraz tamte czasy, ale trzeba też pamiętać, że ta scena rozwijała się w narkotycznym sosie. Wiele osób w Łodzi potraciło z tego powodu zdrowie, życie, trafiło do Monaru.

MONO, jak i wielu innych łódzkich twórców, wystąpi na festiwalu Audioriver, który odbędzie się w tym mieście w dniach 12-14 lipca. To ładny ukłon w stronę miejsca, które odcisnęło ważne piętno na historii polskiej sceny klubowej. Mój rozmówca ma jednak wątpliwości, czy obecność wielkiego festiwalu może stanowić dla tego środowiska jakieś nowe otwarcie. Jego zdaniem komercjalizacja znacząco osłabiła artystyczny ferment i eksperymentalny charakter, które w latach 90. cechowały to środowisko.

Po chwili jednak dodaje: – Rozumiem, że ta muzyka może wciąż gwarantować młodym ludziom ogromne emocje i na pewno nie chciałbym im tego odbierać. Oni nie znają innego świata i wierzę, że przeżywają to wszystko tak samo intensywnie, jak ja trzydzieści lat temu.

DJ BLIK jest większym optymistą: – Mam wrażenie, że powoli wracamy do tamtych czasów. Młodzi ludzie chcą szukać muzyki na własną rękę, chcą mieć coś swojego, chcą być poza systemem, poza algorytmem.

Historia polskiej sceny klubowej, z jej otwartością i oddolnością, może posłużyć im nie tylko jako retro-ciekawostka, ale bezcenny przewodnik.

© JAN BŁASZCZAK

Dziękuję Michałowi Hanusie za pomoc przy pracy nad tekstem.

EGMONT / MATERIAŁY PRASOWE

Sylvain Savoia, Marzena Sowa, „Marzi. Dzieci i ryby głosu nie mają", Egmont Polska, 2018 r.

Wyznanie jako wyzwanie

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Polscy komiksiarze od ponad dwudziestu lat biorą się za bary z gatunkiem memuaru, wzbogacając księgarniane półki ilustracjami ważnych momentów historycznych i życiowych. Oto przegląd najważniejszych albumów.

Pod koniec lat 90. rodzimi rysownicy komiksów, znudzeni fantastyczno-przygodowym mainstreamem zalewającym polski rynek, przystąpili do wydawniczej ofensywy. W 1999 r. zaczął się ukazywać m.in. magazyn „Produkt", za sterami którego stanął Michał „Śledziu" Śledziński, niegdysiejszy współpracownik popularnego miesięcznika „Secret Service", recenzującego gry komputerowe. Śledziu był zarówno redaktorem naczelnym, jak i najważniejszym autorem „Produktu". Jego publikowane w odcinkach „Osiedle Swoboda" wyznaczyło wektor rozwoju nowego komiksu.

Cykl przedstawiał nastoletnich mieszkańców blokowiska, spędzających czas na imprezowaniu, „graniu w zielone" oraz użeraniu się z osiedlowymi oryginałami. Mimo realistyczno-magicznej konwencji oraz wysokiego stężenia absurdu, w serii Śledzińskiego jak w soczewce skupiały się doświadczenia dzieciaków przełomu wieków. „Osiedle Swoboda" trudno nazwać komiksem autobiograficznym, jednak, jak twierdzi sam autor, większość przygód, które spotkały „Swobodną" ekipę, „wydarzyła się na serio lub została podsłuchana pod sklepem", z kolei postać Smutnego od lat traktowana jest jako *alter ego* Śledzia.

Redaktor naczelny „Produktu" unikał jednak utożsamiania ze swoim bohaterem – podobnie jak Agata Nowicka, prekursorka webkomiksu autobiograficznego (czyli komiksu ukazującego się w internecie, komiksowego bloga). W 2001 r. na stronie komix.blog.pl zaczęła publikować paski inspirowane własnymi przeżyciami. Z czasem na łamach „Wysokich Obcasów" dzieliła się doświadczeniem ciąży, zwracając uwagę na wiążące się z nią problemy – wówczas tabuizowane. Mimo pamiętnikarskiego zacięcia autorka ustawicznie podkreślała, że Endo, jej komiksowa odpowiedniczka, jest wyłącznie wizerunkiem medialnym, kreacją stworzoną na potrzeby opowieści.

Stołeczna twórczyni położyła podwaliny pod współczesny komiks autobiograficzny oraz, co ważniejsze, wniosła do zmaskulinizowanego świata historii obrazkowych kobiecą perspektywę, o którą w latach 70. zabiegała znana nowojorska autorka autobiograficznych komiksów, Aline Kominsky-Crumb (na podstawie jej twórczości powstał dekadę temu film „Wyznania nastolatki", dostępny dzisiaj na platformach streamingowych).

Rozmówki i śmieciówki

W pewnym momencie komiks autobiograficzny przyciągnął wreszcie uwagę mediów, a zainteresowaniem zaczęły się cieszyć przede wszystkim tytuły poruszające – na zasadach osobistego reportażu – problemy społeczne. Tak było w wypadku „Projektu: Człowiek" (2006) Nowickiej, jak również podobnej tematycznie „Ciemnej strony księżyca" (2012) Olgi Wróbel. Popularne stały się „Rozmówki polsko-angielskie" Agaty Wawryniuk, uznane za jeden z najważniejszych debiutów komiksowych 2012 r.

Absolwentka wrocławskiego ASP opisała emigrację zarobkową, doświadczenie formatywne rzeszy rodaków marzących o awansie społecznym po włączeniu Polski do Unii Europejskiej. Artystka, opowiadając o swoim dwumiesięcznym pobycie w Newcastle, zrelacjonowała pracę na saksach, burząc mit o raju czekającym na nas tuż za Eurotunelem. ↦

↦ W „Rozmówkach polsko-angielskich" na pierwszym planie pojawiają się trudności komunikacyjne, nieuczciwość pracodawców, podłe traktowanie obcokrajowców, godziny spędzone w pośredniaku oraz skręcający żołądek głód, zaspokajany przez zimne frytki.

Echa debiutu Wawryniuk pobrzmiewają w wydanym w zeszłym roku komiksie „Czy wszystko smakuje?" Katarzyny „Falauke" Czarnej. Nominowana do Nagrody Literackiej m. st. Warszawy twórczyni także opisuje doświadczenie pokoleniowe – tym razem pracę w polskiej gastronomii. Wydany przez Kulturę Gniewu album jest kroniką rzeczywistości prekariuszy, w której umowa o pracę jest mrzonką, a mobbing codziennością. Zarówno Falauke, jak i Wawryniuk nie szczędzą jednak w swoich komiksach humoru. Za pomocą żartu uwypuklają niedorzeczność kolejnych sytuacji i miejsc, w których się znajdują.

Publicystyczny potencjał komiksu autobiograficznego udobitnia komiksowy zin „Kawusia i papieroski", w którym Falauke opowiada nie tylko o własnym uzależnieniu od nikotyny, ale przybliża też historię marketingu wyrobów tytoniowych oraz romantyzowania papierosów w kulturze masowej.

KULTURA GNIEWU / MATERIAŁY PRASOWE

Falauke, „Czy wszystko smakuje?", Kultura Gniewu, 2023 r.

Ciało i nerwy

Podobną drogę obrała Katarzyna Mazur w „Zamaskowanej" (2024), będącej opisem doświadczeń osoby w spektrum. Na planszach komiksu autorka opowiada o walce o zdrowie w środowisku, dla którego neuroróżnorodność wciąż jest pojęciem mglistym, a podstawowe potrzeby autystów traktowane są jak fanaberie. Rysowniczka przybliża pojęcia takie jak *meltdown*, *shutdown* czy stereotypia (wsparcia merytorycznego Mazur udzieliła m.in. psycholożka Anita Wojtkiewicz), jak również daje wgląd w codzienność osób neuroatypowych, w której jest miejsce także na tabu: używki i seks. „Zamaskowanej" nie sposób jednak traktować jak podręcznika. Zresztą już na wstępie autorka podkreśla, że jej komiks nie odzwierciedla przeżyć i doświadczeń każdej osoby będącej w spektrum.

Jeśli Katarzyna Mazur uwrażliwia na neuroróżnorodność, to Wanda Hagedorn zwraca uwagę na kwestie patriarchalnego porządku. Narysowane przez Olę Szmidę „Twarz, brzuch, głowa" (2021) znajdują się w połowie drogi między autobiografią a esejem. Scenarzystka, przesiewając swój życiorys przez sito „ukobiecania", czyli „wieloletniego i wieloetapowego procederu instruowania dziewczynek, jak być dziewczynkami", ilustruje krzywdę wynikającą z forsowania jedynie słusznego obrazu kobiecości. Niemało miejsca poświęca też zinternalizowanej pogardzie dla własnego ciała oraz narastającej przez lata frustracji i gniewowi. Transparentność oraz wnikliwość czynią z „Twarzy, brzucha, głowy" niezwykle interesujący memuar, ale też ważny głos w polskim dyskursie feministycznym.

Rodzina i przyjaciele

Hagedorn poznaliśmy za sprawą narysowanej przez Jacka Frąsia „Totalnie nie nostalgii" (2017). W przeciwieństwie do eseistycznych i problemowych „Twarzy, brzucha, głowy", głośny debiut scenarzystki prezentuje raczej klasyczne podejście do autobiografizmu, skoncentrowane na możliwie rzetelnym odwzorowaniu osobistej historii. Autorka unika wgryzania się w kontekst geopolityczny, z kolei genderowe uwarunkowania PRL-u wyłącznie zarysowuje. Tym sposobem kanalizuje uwagę czytelników, skupiając ją na poruszającej historii dojrzewania w przemocowej rodzi-

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AUTORKI

Plansza z komiksu Anny Krztoń „Weź się w garść", Wydawnictwo Komiksowe, 2018 r.

nie. Hagedorn opowiada między innymi o sondowaniu własnej seksualności, infantylizowaniu dzieci i seniorów oraz swoich początkach zaangażowania w feminizm. Sporą część albumu poświęca też narcystycznemu ojcu, który wprowadził do domu własny stan wojenny.

O dorastaniu w Polsce Ludowej na kilka lat przed premierą „Totalnie nie nostalgii" opowiadała również Marzena Sowa. Jej „Marzi" ukazała się pierwotnie na rynku francuskim (po polsku od 2018 r.), co ułatwiło autorce zdobycie międzynarodowego rozgłosu oraz przyniosło nominację do prestiżowej nagrody Eisnera w kategorii komiksu niefikcjonalnego. Sukces cyklu Sowy bierze się z pieczołowitości, z jaką scenarzystka odwzorowuje realia lat 80. Autorka opowiada o szarudze PRL-u z perspektywy ciekawskiej dziewczynki. Unika polityki, skupia się natomiast na wątkach powszednich: zwyczajach, tradycjach i życiu rodzinnym. „Marzi" pozbawiona jest też martyrologicznego nadęcia – wszak najwięcej o historii mówią nie wielkie narracje, a osobiste świadectwa.

Równie klasycznym co „Totalnie nie nostalgia" i „Marzi" memuarem jest „Weź się w garść" (2018) Anny Krztoń. Tu także mamy do czynienia z opowieścią o trudach dorastania, lecz tym razem peerelowski *entourage* ustępuje miejsca realiom lat zerowych. Specjalizująca się w twórczości autobiograficznej artystka z niemal werystyczną starannością ilustruje charakterystyczną dla dekady modę, jak również przyozdabia drugi plan niezliczonymi realiami popkultury. Podszyte nostalgią pocztówki z nastoletniości są jednak dla Krztoń wyłącznie rekwizytami uwiarygadniającymi autobiograficzną relację. Trzonem fabuły „Weź się w garść" nie jest wcale tęsknota za przeszłością, a historia wchodzenia w dorosłość w obliczu przemocy domowej oraz kładącej się cieniem na latach młodości depresji.

Pułapki i mity

Teoretyczka literatury Małgorzata Książek-Czermińska w książce „Autobiograficzny trójkąt" wyróżniła trzy postawy autobiograficzne: świadectwo, wyznanie i wyzwanie. Najciekawszą z nich, najprzewrotniejszą, jest kategoria wyzwania, w której mieszczą się tytuły wciągające czytelnika w grę, naginające zasady dokumentu osobistego. Wyrosły na gruncie kontestacji „nowy komiks polski" chętnie odwoływał się do tego nurtu.

Najlepszym przykładem jest tu „Zapętlenie" (2014) Daniela Chmielewskiego. Ta autobiograficzna powieść graficzna składa się z zapisu ostatnich tygodni burzliwego związku autora, rekonstrukcji pleneru zorganizowanego przez Grzegorza Kowalskiego i Artura Żmijewskiego, a także sekwencji poświęconych pracy nad albumem oraz... wspomnienia konfliktu Miłosza i Herberta. Dla Chmielewskiego *clou* utworu jest proces wytwarzania, stąd album wieńczą obfite notatki odsłaniające kulisy powstania „Zapętlenia".

Absolwent warszawskiej ASP stwierdza, że „linearne, chronologiczne opowiadanie to anachronizm". Ta konstatacja unosi się nad albumem „Wróć do mnie, jeszcze raz" (2015) Bartosza Sztybora. Zilustrowany przez Wojciecha Stefańca komiks znajduje się między jawą a snem, co wynika z zaburzonej używkami percepcją jego bohatera. Scenarzysta dzieli się trudnymi doświadczeniami, a zarazem podważa ich prawdziwość, sprowadzając do strzępów poszatkowanej narracji. Zdaje się jednak, że dla Sztybora odzwierciedlenie rzeczywistości ma wartość drugorzędną. Drogi do wiernego przedstawienia koszmaru narkomanii doszukuje się nie w opisywaniu naturalistycznych scen, lecz studiowaniu afektywnej strony doświadczenia.

Być może jednak najciekawszym przykładem wyzwań i pułapek autobiografizmu w komiksie jest album „Jak schudnąć 30 kg? Prawdziwa historia miłosna" (2017). Związany z Uniwersytetem Gdańskim Tomasz Pstrągowski, specjalizujący się skądinąd w komiksie autobiograficznym, przybliża tu „najbardziej żenujący okres swojego życia" – znajomość z poznaną w sieci Małgosią. Główny bohater książki nazywa siebie Grubasem, jest przy tym małostkowym seksistą, manipulatorem i pedofilem. Na kartach komiksu Pstrągowski dzieli się jego egzaltowanymi spostrzeżeniami, z kolei Maciej Pałka wrzuca go w groteskowe i upadlające sceny.

W „Jak schudnąć 30 kg?" roi się od chwytów uwiarygadniających historię Grubasa, lecz uważny czytelnik zauważy szwy spinające tę opowieść. W posłowiu do drugiego wydania albumu autor rozwiewa wątpliwości, nazywając swój komiks fikcją. Jego pomysłem było „podważenie tej idiotycznej, biorącej się z paktu autobiograficznego, wiary we wszystko, co autobiografista napisze". W końcu nawet najwierniejszy memuar jest ersatzem prawdy – dramatyzowanym zestawieniem pewnych zdarzeń, przefiltrowanych przez wrażliwość twórcy.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

RADIO 357

Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika" w prasówce Radia 357 – środy o 8.30. Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

Nasłuch po latach

ANITA PIOTROWSKA

Minęło pół wieku od premiery filmu, który Francis Ford Coppola ceni najwyżej w swym dorobku. Z tej okazji „Rozmowa” powróci na światowe ekrany kinowe, tym razem w jakości 4K, czyli z obrazem cyfrowym o bardzo wysokiej rozdzielczości.

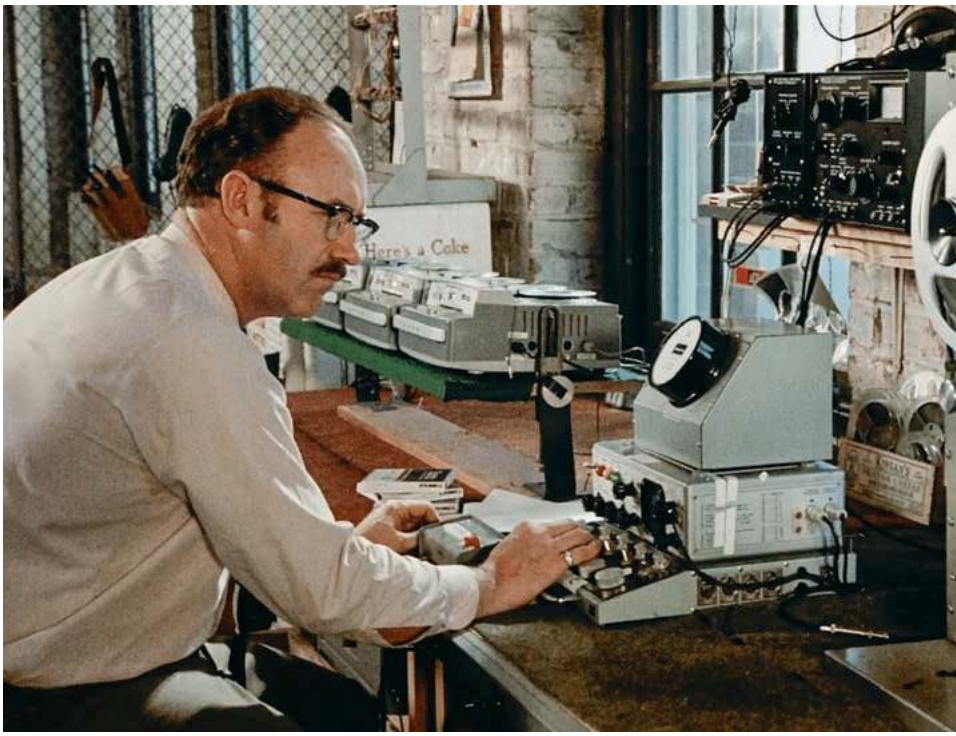

W Polsce „Rozmowa” F.F.Coppoli pojawi się za sprawą firmy dystrybucyjnej Reset, która ostatnio wprowadziła do naszych kin „Opętanie” i „Szamankę” Andrzeja Żuławskiego oraz „Na samym dnie” Jerzego Skolimowskiego. Jak dziś prezentuje się filmowy klasyk z Gene’em Hackmanem w roli głównej? I co może powiedzieć o naszych czasach, naznaczonych przez nowoczesne afery podsłuchowe, wojny hybrydowe i „kapitalizm inwigilacji”?

Historia „pluskwiarza” z San Francisco, który podsłuchuje na zlecenie możnych, aż zostaje pobity własną bronią, najczęściej funkcjonowała jako przykład zakamuflowanej politycznej krytyki. Amerykańskie kino, naznaczone przez Watergate, Wietnam i polityczne zamachy, w latach 70. przeżywało swoją najbardziej twórczą dekadę, dokonując ważnych i odważnych rozrachunków. I świetnie oddając zbiorowy stan ducha, przepełniony obywatelską bezradnością, wyrosłą z braku zaufania wobec państwowych instytucji (patrz: „Taksówkarz” Martina Scorsesego, „Trzy dni Kondora” Sydneya Pollacka czy „W mroku nocy” Arthura Penna).

Dlatego „Rozmowa”, której scenariusz rodził się od połowy lat 60., a więc przed dojściem Nixona do władzy, nabierał zaś ostatecznych kształtów przed jego ustąpieniem i ujawnieniem wszystkich wątków afery związanej z prezydencką inwigilacją, mimo woli stała się kinem bardzo upolitycznionym. Przejęła również odradzający się wówczas filmowy język, nazwany neo noirem, bowiem żaden inny gatunek nie oddawał tak dobrze samotności głównego bohatera i osaczającej go moralnej korupcji, jak właśnie czarny kryminał.

Ale „Rozmowa” nie zestarzała się dlatego, że bez względu na polityczne skojarzenia jest doskonale opowiedzianą historią ludzkiego błądzenia czy wręcz filozoficzną przypowieścią o nieprzejrzystości świata. Harry Caul w powściągliwej interpretacji Hackmana to modelowy człowiek klęski. Poznajemy go jako superfachowca od podsłuchów, który nie zadaje zleceniodawcom żadnych pytań, lecz w końcu dostrzega, że to, co robi, nie jest moralnie obojętne. Wynajęty przez tajemniczego dyrektora do nagrywania dwojga młodych ludzi spotykających się na mieście, zaczyna podejrzewać, iż jego profesjonalizm może się przyczynić do ich zguby. Na dodatek ów samotny wilk, niezdolny do jakichkolwiek bliższych relacji, przekonuje się na własnej skórze, czym są naruszenia intymności. Jednakże zabrnął już zbyt daleko, a kiedy uświadamia sobie, że został wmanewrowany w zupełnie inną intrygę, perfekcjonizm i zawodowa nieufność powoli zamieniają się w niszczącą go obsesję.

„Nudnik” – takim słowem, pochodzącym z języka jidysz, określał Coppola powierzchowność i temperament swojego bohatera. Miał wyglądać na typowego marudę i nudziarza: ot, przeciętny wąsacz w szarym płaszczu przeciwdeszczowym i źle dobranych oprawkach okularów. Dla scenariusza najważniejszą inspiracją było „Powiększenie” (1966) Michelangela Antonioniego, film o pułapkach podglądania. Coppola, zafascynowany w owym czasie aparaturą nagrywającą, pokazał pułapki „życia na podsłuchu”, chociaż śledzenie, jak i bycie śledzonym odbywa się u niego dwutorowo: i w nasłuchu, i w podglądzie. Stąd zdjęcia Billa Butlera nieraz przypominają „chłodne oko” kamer przemysłowych. Zresztą Haskell Wexler, twórca legendarnego filmu „Chłodnym okiem”, w oryginale „Medium Cool” (1969), był początkowo operatorem „Rozmowy” i to on nakręcił ujęcie otwierające, czyli brawurowy zoom z lotu ptaka na zatłoczony Union Square.

Tym bardziej skojarzenia z teorią mediów Marshalla McLuhana nie mogą być przypadkowe. Coppola opowiada, jak technologia przestaje być narzędziem neutralnym, jak stopniowo wymyka się spod kontroli i staje się naszym przedłużeniem. Przejmuje władzę nad tymi, przeciwko

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

RESET / MATERIAŁY PRASOWE

ROZMOWA
(The Conversation) – reż. Francis Ford Coppola. Prod. USA 1974. Dystryb. Reset. W kinach od 5 lipca.

Francis Ford Coppola ma 85 lat i jest jednym z gigantów kina. Potomek włoskich imigrantów zaczynał od filmów erotycznych i terminował u zmarłego niedawno Rogera Cormana. Mając na koncie takie arcydzieła jak „Ojciec chrzestny" (1972) czy „Czas Apokalipsy" (1979), w ostatnich dekadach zaliczył spadek formy, w 2015 r. „zamilkł", a za chwilę powróci na ekrany z kontrowersyjnym „Megalopolis".

Na zdjęciu: Gene Hackman w filmie „Rozmowa".

którym bywa używana, ale i nad tymi, którzy dotychczas trzymali ją krzepko w swoich rękach. W dobie lęków przed całkowitą utratą prywatności oraz dylematów spod znaku „bezpieczeństwo czy wolność", ten hitchcockowski thriller szpiegowsko-egzystencjalny, nakręcony grubo przed erą wirtualnych panoptykonów, bywa dziś postrzegany niczym dzieło prorocze. Jakże znacząca jest scena, w której Caul, głęboko wierzący katolik, dręczony wyrzutami sumienia, pod wpływem narastającej paranoi na punkcie ukrytych w jego domu „pluskiew", roztrzaskuje drogą mu figurkę Matki Boskiej.

Przed nami tytuł powszechnie doceniany (nagrodzony m.in. Złotą Palmą w Cannes) i jednocześnie pechowy. Mógł powstać dzięki komercyjnemu sukcesowi „Ojca chrzestnego", aczkolwiek jego sequel skanibalizował potem oscarowe szanse dla „Rozmowy" (oba startowały w tym samym roku). Oscara za scenariusz, nominację i nagrodę za reżyserię oraz główną statuetkę przyznano Coppoli za drugą część gangsterskiej trylogii. Nagrody nie otrzymał nawet dźwiękowiec Walter Murch, choć to film wybitnie audialny, w którym nie tylko słowa, ale trzaski, szumy, piski i wszelkie odgłosy tła odgrywają rolę szczególną. A fortepianowe repetycje Davida Shire'a dopełniają tę niepokojącą fonosferę.

Ponadczasowość „Rozmowy" nie polega również na tym, że łatwo byłoby wyobrazić sobie w miejscu Caula na przykład współczesnego informatyka, który wykonując powierzone mu zadania hakuje czyjeś życie intymne i tłumaczy się tym, że tylko „robi swoje". Geniusz Coppoli, na długo przed bolesnymi eksperymentami z widzem w wykonaniu Michaela Hanekego, to nas, oglądających, ustawia na celowniku, zmuszając do ciągłego kwestionowania tego, co widzimy i słyszymy. Tę dezorientację i dyskomfort zwielokrotniają liczne powtórzenia kluczowych fragmentów ścieżki dźwiękowej, które za każdym razem oznaczają coś innego.

Budując filmową rzeczywistość z jawy, sennych koszmarów i obłąkańczych wizji, Coppola mąci obiektywne subiektywnym, co nie znaczy, że możemy umościć się w roli bezwolnych ofiar. Bylibyśmy wówczas niczym bohater, który na gruzach swojego życia wyciąga ukochany saksofon i zaczyna grać jazz. Okrutna jest ironia tej sceny, albowiem daje i jednocześnie odbiera bohaterowi resztki wolności. My, na szczęście, mamy jeszcze wolność interpretacji. ©

Lektor:
Zmartwychwstali

▪ *Mike Johannsen*
PODRÓŻ UCZONEGO DOKTORA LEONARDA I JEGO PRZYSZŁEJ KOCHANKI, PRZEPIĘKNEJ ALCESTY, DO SZWAJCARII SŁOBODZKIEJ
Przekład Maciej Piotrowski. Wydawnictwo KEW, Wrocław-Wojnowice 2023, ss. 168.

▪ *Walerian Pidmohylny*
MIASTO
Przekład i posłowie Marcin Gaczkowski. Wydawnictwo KEW, Wrocław-Wojnowice 2024, ss. 418

„Rozstrzelane odrodzenie" to tytuł antologii literatury ukraińskiej lat 1917-1933, wydanej w 1959 r. u Jerzego Giedroycia przez Jurija Ławrynenkę. „Odrodzenie" – bo kultura w radzieckiej Ukrainie przeżywała wtedy rozkwit i spoglądała ku Zachodowi. A „rozstrzelane" – bo hekatomba ukraińskich elit za Stalina niewiele ma analogii. Obaj pisarze, o których dziś mowa, stali się ofiarami tej zbrodni.

Mike Johannsen (rocznik 1895) został rozstrzelany w 1937 r. Młodszy od niego (rocznik 1901) Walerian Pidmohylny zginął w tym samym roku w masowej egzekucji w Karelii. Powieść Johannsena (to nie pseudonim; ojciec pisarza pochodził z Łotwy) jest brawurową purnonsensową groteską osadzoną we wspaniale odmalowanym pejzażu ukraińskiego stepu okolic Chersonia. Prócz postaci tytułowych mamy tu też Don Joségo Pereirę, hiszpańskiego szlachcica, z zawodu tyranobójcę, i jego psa, rudego setera irlandzkiego Rodolfa. Don José zaplanował zamach na hiszpańskiego dyktatora Primo de Riverę; wcześniej chce odbyć ostatnie w życiu polowanie. Rodolfo jest świetnym aporterem, umie też kompetentnie skrytykować nieudolną rymowankę swojego przyjaciela. Ten tymczasem przemienia się w Dańkę Josypowycza Pererwę, „człowieka stepu i członka rejonowego komitetu wykonawczego partii"; zabity przez kułaków, odrodzi się w poprzednim wcieleniu...

Powieść Pidmohylnego to z kolei panorama stołecznego Kijowa, oglądana oczami przybysza z prowincji, Stepana Radczenki, który przyjechał tu – a ściślej przypłynął Dnieprem – na studia. No i wchodzi do świata literatury. „Napisałem »Miasto«, bo lubię miasto, poza nim nie wyobrażam sobie ani siebie, ani swojej pracy – tłumaczył autor – napisałem je też po to, żeby w miarę możliwości zbliżyć miasto do ukraińskiej psychiki". Jest tu oddech, dystans, ironia – wszystko, czego potrzebuje dobra proza.

Warto sięgnąć po te książki; pokazują, że współcześni pisarze ukraińscy mają za sobą bogatą modernistyczną tradycję. I że niszczenie kultury ukraińskiej przez Moskwę też ma długą tradycję... ©℗

OLGA

Drenda: *Bezwład*

Wielkie opowieści naszej kultury uczą, że ciężar zbrodni szybko spada na winnego, przynosząc mu przerażenie, poczucie winy, a przede wszystkim chęć ukrycia się przed konsekwencjami. Ten lęk dopada Makbeta, prześladuje Kaina; od wizji kary straszliwsza bywa wiedza, że świadomość własnego czynu nigdy nie opuści sprawcy. Zbrodniarz ma śmiałość porwać się na czyjeś życie, ale gdy dociera do niego, co się stało, próbuje się schować, uciec, kluczy i zaprzecza. W zwyczajnym życiu przestępca również często stara się o alibi, próbuje się zamaskować, ewakuować się za granicę, a w każdym razie niechętnie przyznaje się do winy. Za zuchwałością i poczuciem wszechmocy podąża tchórzostwo i wicie się jak węgorz: tak podpowiada przynajmniej zgromadzona wiedza i, powiedzmy, odruch zdroworozsądkowy. Ale w tej wiedzy zbiorowej coś zgrzyta i jest to zgrzyt o charakterze technologicznym. Nie jestem szczególnie aktywną czytelniczką kroniki kryminalnej, ale od pewnego czasu, gdy natrafiam na informacje o aktach przemocy – i to wokół nas, w naszych własnych miejscowościach i dzielnicach – zwracam uwagę na to, że sprawcy albo nic nie robią sobie z monitoringu, albo wręcz sami nagrywają swoje czyny, dając się rozpoznać z nazwiska i twarzy, tym samym oszczędzając pracy organom ścigania. Nie trudzą się z ukrywaniem tożsamości, tylko sami szarżują wprost na kamerę. I to, jak na ironię, w czasach, gdy sporo mówi się o niebezpieczeństwach cyfrowej inwigilacji. Ktoś po prostu chce być rozpoznany.

Jest bezpiecznie?

OLGA DRENDA

Odruchowo można pomyśleć, że to bezmyślność, awaria umiejętności dostrzegania połączeń przyczynowo-skutkowych. Ale gdy podobny scenariusz zbyt często się powtarza, taka odpowiedź staje się łatwa. Nie wątpię, że istnieją ludzie, dla których zabijanie innych może być źródłem satysfakcji, a na pewno czynem popełnianym bez specjalnej refleksji. Aby jednak mogli realizować swoje upodobania w pełnej jawności, potrzebne są szczególne warunki, to znaczy bezprawie lub rządy terroru.

W czasach ekspansji ekstremistów z tzw. Państwa Islamskiego dokumenty z egzekucji służyły sianiu przestrachu na całym świecie, miały informować, że ci ludzie są zdolni do wszystkiego. Film Joshuy Oppenheimera „Scena zbrodni" pokazuje, że ze swoimi uczynkami można czuć się znakomicie, gdy tylko powstanie ku temu odpowiednia atmosfera. W krajach, w których gangi cieszą się pozycją poza oficjalnym prawem, zdjęcia okaleczonych ciał to rodzaj pocztówki dla wroga czy dla nielojalnego brata, by nie czuł się zbyt bezpiecznie. Ale Polska roku 2024, czy kraje o podobnym do naszego statusie, do takich zakątków świata nie należą i zasadniczo – choć oczywiście zdarzają się przypadki dyskusyjne czy bulwersujące – konsekwencją winy jest nieszczególnie atrakcyjny ciąg dalszy. Gra nie wydaje się pod jakimkolwiek względem warta świeczki.

Można spekulować, że działa zasada rozproszenia odpowiedzialności: jeśli podobnych przypadków będzie wystarczająco dużo, to łatwiej będzie uniknąć konsekwencji, bo nie da się wyłapać wszystkich. Albo klucz „z Herostratesa": przekonanie, że w czasach wyścigu o uwagę nawet najgorsza sława może uchodzić za lepszą niż żadna, albo że przesyt wrażeniami w obecnym szybkim i pełnym bodźców świecie prowadzi do poszukiwania innego typu ekscytacji.

Łatwo zrzucać winę na rzeczywistość zapośredniczoną przez ekrany, sterowaną przez algorytmy i zapewne spieszymy się, by to tam szukać przyczyn wszelkich usterek w naszym świecie. Jest w tym zapewne jakaś racja, ale mnie zastanawia – i to coraz częściej – usterka kluczowa. Człowiek, który czyni zło, ale próbuje ratować swoją skórę, szanuje przynajmniej jakieś życie: swoje własne. Ktoś, do kogo zapewne dociera cień świadomości, że jest rejestrowany, albo który robi to sam i jest mu wszystko jedno, co stanie się dalej – musi nie poważać żadnego życia, w ogóle. Nie tylko traktuje innych ludzi jak postacie typu NPC w grze, które może usuwać do woli ze swojej drogi, ale postrzega tak również siebie samego. Może więc w tych chwilach ekstremalnej głupoty widzimy przebłysk czegoś naprawdę przerażającego, prawdziwego nihilizmu: zobojętnienie wobec jakiegokolwiek życia, nie wyłączywszy własnego, bez motywu i bez sensu. Wielkie opowieści naszej kultury nie mają odpowiedzi na takie przypadki, bo wywodzą się ze świata wiary w los i nadprzyrodzone byty potężniejsze od człowieka. Tymczasem wobec podobnych zdarzeń można uznać, że jedyną taką siłą może być bezwład. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo: *Wynaleźć kawę*

A jeśli jest zupełnie na odwrót i na nic były bezsilne złorzeczenia na przemian ze łzawymi apelami, jakimi zapychałem regularnie tę cenną przestrzeń „Tygodnika" oraz waszą nieskończenie podzielną uwagę? (Dzięki za wszystkie jej okruchy! Zbieram i karmię się nimi, niczym myszka w piekarni). A jeśli da się naukowo i definitywnie wykazać, że cappuccino można, a nawet należy pić po obiedzie? Poprzedni swój wpis zakończyłem wnioskiem, że większość włoskich świętych reguł wolno swobodnie naginać, bo są świeżej daty, powstały w ciągu paru ostatnich dekad jako maska przykrywająca rozmytą i niepewną tożsamość – i jako maska zbyt długo noszona, w końcu przywarły do twarzy. Ale to nie nasza twarz i nie nasze to zmartwienie, że jakiś daleki lud utrudnia sobie życie. Na koniec jednak, tylko trochę z przymrużeniem oka, wspomniałem, że z tą kawą i mlekiem to jednak nie żarty.

Druk to wielki wynalazek, ale powstał, by ułatwić rozpowszechnianie Biblii, a nie płochych felietonów, giną w nim niuanse tonu i podwójnych znaczeń. Moja autoironia mogła przepaść gdzieś po drodze do kiosku. Dostałem za to reprymendę od osób, których zdanie poważam, wróćmy więc na moment do wątku, że w kuchni zakazuje się zakazywać. Może to będzie już w ogóle ostatni raz, jak przeczytacie to hasło, bo wydaje się, patrząc na Europę, że ostatnie resztki utopii roku 1968 w życiu publicznym idą na śmietnik jak zerwany sznur koralików i podarte sandały.

Aż do nastania fali różnych *speciality coffee* o nazwach zimnych i anglosaskich, jak *cold brew* (brrr), gdy świat chciał zażyć czegoś subtelniejszego niż zmielone ziarna zalane wrzątkiem, pił rzeczy włoskie przynajmniej z nazwy: *espresso*, *macchiato*, *ristretto*, *cappuccino*. Włosi chętnie epatowali aurą depozytariuszy cywilizacyjnych porannych rytuałów, które odkryli, kiedy reszta świata jeszcze chodziła w skórach i piła wodę z mętnych studni. Tymczasem picie kawy na przebudzenie, w skali masowej, nie w elitarnych kawiarniach (które ożywały wieczorem) przyszło z Ameryki w trakcie I wojny – żołnierze US Army dostawali z rana kawę jako (niejedyny) środek psychoaktywny. Rzesze włoskich rekrutów po wojnie przeniosły ten zwyczaj do domów – barów, tych znanych nam jaskiń pełnych syku pary i stuku opróżnianych kolb, jeszcze nie było.

Wynalazek ekspresu ciśnieniowego wyszedł z szuflad w biurze patentowym tuż przed II wojną i dopiero po niej zaistniał w zwyczajnej gastronomii. Rozchodził się stopniowo, od eleganckich lokali w centrum Mediolanu zaczynając, by dotrzeć na przedmieścia i „wszędzie" w ciągu dekady. A tam, gdzie ekspres, tam i dysza na parę. Ale powoli, powoli. Drobiazgowa analiza świadectw – fotograficznych, filmowych, tekstowych – pokazuje, że na ladach barów mieszanka kawy ze spienionym mlekiem, nazwana od koloru habitu kapucyna, pojawia się dopiero we wczesnych latach 60. Są poważne poszlaki, że jednym z wehikułów upowszechnienia mody były lokale na riwierze adriatyckiej, żyjące głównie z niemieckiej klienteli: letnicy z „dzikiej" Europy zakochali się w tej wakacyjnej atrakcji, którą pili po południu, bo rano dostawali w pensjonatach dzban tradycyjnej kawy. Potem dopiero cappuccino „skleiło" się Włochom mentalnie z porankiem – wypierając normalną dotąd kawę ze zwyczajnym ciepłym mlekiem, pitą często ze szklanki albo z miski (razem z namoczonym chlebem).

Pół stulecia to dość długo, by wynalazek zdążył zatrzeć ślady i ścieżki rozwoju, zamieniając się w odwieczny pewnik. Zwłaszcza że pokolenie *baby boom* – wyjątkowo liczne, wyjątkowo zamożne, wyjątkowo wpływowe – umiało wdrukować także i późniejszym generacjom swoje mitologie, również te konsumpcyjne. Trochę nam teraz ciężko się odnaleźć w świecie, który przestaje do nich pasować, tym bardziej więc, zamawiając cappuccino o dowolnej porze, odzyskajmy wolność bycia sobą.

A może i to jest jedno z tych zwodniczych haseł, jakie nam wcisnęli szczęściarze dorastający w dobrobycie? Tak czy siak, pamiętajcie tylko, żeby pisać poprawnie: dwa P i dwa C (plus trzecie na początku). Swoją drogą, kiedy ostatnio widzieliście na ulicy kapucyna?

VOLUMETHINGS / ADOBE STOCK

Torta all'acqua

...czyli ciasto na wodzie, typowy „ubogi" deser – w wersji kawowej.

Składniki:
300 ml przestudzonej, mocno posłodzonej kawy
90 ml oleju roślinnego 300 g mąki 16 g proszku do pieczenia
ew. na lukier: 50 ml kawy i 100 g cukru pudru

Mieszamy intensywnie kawę z olejem, do powstałej tak (niestabilnej, więc nie ma co czekać) emulsji dodajemy stopniowo mąkę i proszek, dalej mieszając. Przelewamy do formy o średnicy 24 cm wyłożonej papierem do pieczenia. Pieczemy w 180 stopniach, aż patyczek wbity w ciasto będzie suchy (ok. godziny). Lukier robimy, mieszając kawę z cukrem. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

**Paweł Bravo jest tłumaczem i redaktorem.
Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).**

ZMYSŁY

BULWAR MATKI TERESY

Prisztina wygląda tak, jak gdyby ktoś rozrzucił nieco materii nieożywionej, aby wywróżyć z niej kosowską przyszłość, a następnie nie zdradzając wróżby zapomniał po sobie uprzątnąć.

ZBIGNIEW ROKITA

VX PICTURES / ALAMY / B&EW

Nad głowami Albańczyków smużyły się dwa dymne słupy, jeden z papierosów, drugi z małych smolistych kaw. Czasem słupy się odnajdywały: splótłszy się w parnym powietrzu i powoli rzednąc pięły się do nieba jak strzeliste minarety. Najstarsi nosili białe filcowe czapy, na widok których bezwolnie się kłaniałem, a najmłodsi biegali między nimi w koszulkach idoli, którzy dawno już zmienili kluby. W powietrzu unosiło się coś dobrego.

Bulwar nosił imię Agnes Gonxha Bojaxhiu, najbardziej znanej Albanki, która światu przedstawiła się jako Matka Teresa z Kalkuty. Był kręgosłupem stolicy Kosowa, Prisztiny, której śródmieście rozciągało się w trójkącie pomiędzy katolickim kościołem, cerkwią i meczetem. Było jeszcze wcześnie, dzień wzbierał, bulwar czekał, aż jak zwykle rozdepczą go tysiące stóp.

Po obu stronach rosły drzewa. Dawały przyjemny cień, w którym schronienia przed słońcem szukały bezpańskie psy. Było ich mnóstwo. Najstarsze mogły być starsze niż to państwo. Albańczycy byli dla psów dobrzy, czasem głaskali, nalewali sobie wodę na dłoń i poili je. Na bulwarze wszyscy życzyli sobie jednak, żeby to raczej państwo przeżyło psy niż odwrotnie.

Czekając na Zachód

Od późnego średniowiecza Bałkanami rządziło Imperium Osmańskie, które z półwyspu zniknęło dopiero z początkiem XX w. Na Bałkanach pojawiały się nowe państwa, a w 1913 r. zachodnie mocarstwa uznały niepodległość Albanii. Nie przyłączono do niej jednak również zamieszkanego przez Albańczyków Kosowa i kilku innych regionów, a Albańczycy od tego czasu są narodem przedzielonym granicami.

Poza Polską i Bułgarią niemal wszyscy Słowianie krótki wiek XX spędzili w trzech federacjach: Słowianie zachodni w Czechosłowacji, wschodni w ZSRR, a południowi w Jugosławii. Kosowscy Albańczycy trafili do tej ostatniej jako serbska prowincja i największa jugosłowiańska niesłowiańska mniejszość. Zwłaszcza jednak lata po II wojnie światowej pokazały Albańczykom, że niepodległość może być straszniejsza niż podległość – ich życie w totalitarnej Albanii Envera Hoxhy było znacznie trudniejsze niż w Jugosławii Josipa Broz Tity.

Komunizm wiele konfliktów ukrył pod pokrywką garnka, a gdy „zimna wojna" dobiegła końca, okazało się, które z nich zdążyły wystygnąć (jak polsko-czeski czy polsko-litewski), a które miały wykipieć (jak ormiańsko-azerski czy właśnie albańsko-serbski). Konflikt Prisztiny z Belgradem w latach 90. przerodził się w serię intifad, a następnie w wojnę, w którą po stronie Albańczyków zaangażowało się NATO. Amerykanie kilka miesięcy bombardowali Jugosławię i zmusili Belgrad do wycofania się z Kosowa. Tamtą operację Sojuszu niektórzy nazwą później pierwszą wojną o prawa człowieka w historii.

Wielu na Bałkanach wciąż czeka na tamten Zachód – aby przyszedł i raz jeszcze rozwiązał ich problemy. Ów Zachód już jednak nie istnieje. W Prisztinie pozostało po nim skrzyżowanie ulic „Xhorxh Bush" i „Bill Klinton", plac „Medlin Olbrajt"

Food market w centrum Prisztiny. 16 sierpnia 2023 r.

czy ten fryzjer przy bazarze, który klientów nakrywa amerykańską flagą. Dziś środkowoeuropejscy członkowie NATO zastanawiają się, czy Waszyngton w razie wojny w ogóle przyjdzie im z pomocą, a wtedy Amerykanie pomagali prześladowanym mniejszościom na końcu Europy. Tamten Zachód nie chciał dopuścić, aby w Kosowie doszło do powtórki z Rwandy, Bośni czy Somalii, gdzie nie zdał egzaminu. Może gdyby zdał, Serbowie nie mówiliby po wojnie w Bośni: „Wcale nie mieliśmy krwi na rękach. Sięgała nam jedynie do kolan".

Narody i państwa

W Europie XXI w. separatyści odnieśli sukces tylko dwukrotnie. W obu przypadkach odłączano się od Serbii: w 2006 r. odpadli Czarnogórcy, a w 2008 r. kosowscy Albańczycy. To tu, na bulwarze Matki Teresy, ostatecznie ukształtowała się obecna mapa Europy. Republikę Kosowa uznała większość krajów na świecie. Powstało w ten sposób drugie państwo albańskie – przeszło 90 proc. mieszkańców Kosowa to Kosowarzy, czyli Albańczycy z Kosowa.

Choć szanse na zjednoczenie Albańczyków w jednym kraju są niewielkie, to nawet premier Kosowa przebąkuje o takiej możliwości. Pojawiła się ona też w niepokojącym, a przypisywanym premierowi Słowenii Janezowi Janšy dokumencie z 2021 r. Sugerował on przebudowę Bałkanów: po okrojeniu Bośni i Hercegowiny miało powstać kadłubowe państwo Boszniaków, część BiH, Macedonii i Czarnogóry miała zostać przyłączona do Chorwacji i Serbii, a Albania i Kosowo miały się zjednoczyć. To się jednak najpewniej nie wydarzy. Albańczycy z dwóch państw będą się od siebie nadal oddalać. Czasem bowiem to narody tworzą państwa, czasem państwa narody, a czasem jedno i drugie dzieje się jednocześnie: tutaj Albańczycy stworzyli Kosowo, po czym Kosowo tworzy Kosowarów.

Jesienią Serbowie po raz kolejny zgromadzili wojska na granicy z Kosowem. Z bulwaru Matki Teresy do Serbii jest jakieś 30 kilometrów. Siedem bałkańskich krajów należących do NATO jak otulina otacza trzy państwa, które są poza sojuszem: Kosowo, Serbię oraz Bośnię i Hercegowinę. O tym, jak napięta jest sytuacja, świadczy m.in. fakt, że UEFA zabrania umieszczać ↦

↦ w jednej grupie Kosowo z Bośnią oraz Kosowo z Serbią (inne zakazane pary to Armenia i Azerbejdżan, Ukraina i Białoruś oraz Hiszpania i Gibraltar). Wielu twierdzi, że podobnie jak 110 lat temu właśnie ten region jest dziś najwrażliwszym w Europie.

Wciąż nie wiadomo, jak w przyszłości nazwą bałkańską teraźniejszość – powojniem czy międzywojniem?

W cieniu meczetu

Dniowi przybywało godzin, tłum tężał, gdzieś wygrzewali się Cyganie i być może to oni mieli rację.

Ramadan dobiegał końca, a z pobliskiego meczetu rozbrzmiewał śpiew muezzina. Zawsze jest w nim coś apokaliptycznego, muzułmańskie nawoływania przypominają mi alarm atomowy, a w miastach takich jak Kair czy Stambuł, gdy dobiega on z kilkudziesięciu minaretów jednocześnie, słysząc go czuję strach. Wówczas na bulwarze Matki Teresy nie widziałem jednak, aby ktoś poza mną zwrócił na muezzina uwagę. Kosowska muzułmańskość się nie narzuca, nie ma w sobie zaciętości Maghrebu czy Bliskiego Wschodu. Tak, można spędzić tu kilka dni nie spostrzegłszy, że dominującą religią w Kosowie jest islam. Mało jest takich państw na świecie. Islam bałkański dla wielu na Zachodzie jest islamem wymarzonym, obietnicą powodzenia projektu integracji imigranckich społeczeństw na zachodzie Europy, dowodem, że odpowiedzialność za integracyjne fiaska ponoszą „oni", a nie „my", że muzułmanie algierscy czy pakistańscy muszą postarać się odrobinę więcej.

Gdy tak siedziałem, do kawiarni podjechał na wózku mężczyzna bez nóg i niepewnie czekał. Inny wstał od stolika i dał mu monetę. Było to euro, gdyż w Kosowie walutą jest euro. Kosowarzy, nie będąc członkami UE, przyjęli je po swojemu – po prostu wpompowali w rynek niewielkiego kraju i zaczęli używać. Mężczyzna na wózku nie chciał jednak monety, opierał się naleganiom i wyjaśniał, że chciał sobie tylko kupić sok, ale nie ma jak wjechać do środka. Obaj się roześmiali. Teraz nie pamiętam już nawet, czy ten na wózku doczekał się w końcu soku. W powietrzu wciąż unosiło się coś dobrego.

Po drugiej stronie mostu

A jednego dnia zachciało mi się spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy i pojechać na antybulwar, gdyż w tym kraju albański awers zawsze ma serbski rewers. Pojechałem na północ, w stronę Belgradu, do Mitrowicy, na bulwar serbskiego króla Piotra I Karadziordziewicia.

Gdy wjechałem do Mitrowicy, miejski zegar był zepsuty i wskazywał 30 listopada 1999 r. W tym przypadku było sporo historiozoficznego uroku – za tą datą krył się schyłek wojny w Jugosławii, czas triumfu Albańczyków i porażki Serbów.

Mitrowica to miasto podzielone rzeką Ibar. Po jednej stronie żyją Albańczycy, po drugiej Serbowie, a most chroni włoski kontyngent żołnierzy NATO w sile dwóch aut. Po 1999 r. Kosowo uległo deserbizacji i kosowaryzacji, 2/3 przedwojennej populacji Serbów opuściło nowo powstałe państwo. Dziś Serbowie stanowią nieco ponad 3 proc. kosowskiej ludności.

Przeszedłem przez most. Carabinieri siedzieli przy betonowej barykadzie z głowami w telefonach. Po obu stronach napisy kibicowskie zastępowały nacjonalistyczne – po jednej próbowały dowieść, że więcej racji mają ci, a po drugiej, że tamci. Na bulwarze króla Piotra było mnóstwo serbskich flag, wyglądało to, jakby Serbowie obchodzili dziś dzień niepodległości, a ja wiedziałem, że liczba flag jest zawsze wprost proporcjonalna do niepokoju, który odczuwa naród.

W rzeczywistości Serbowie żadnego dnia niepodległości nie obchodzili – byli jak najbardziej podlegli, i to wobec swojej własnej prowincji. Flagi łączyły jednak oba bulwary – może nie ich liczba, ale kondycja. Kosowo to kraj flag brudnych i postrzępionych, większość wyglądała, jak gdyby ktoś kiedyś zatknął je w tym miejscu na znak zdobycia kolejnej piędzi ziemi i teraz nie miał odwagi zabrać – łatwiej bowiem wprowadzać niż wyprowadzać, wieszać niż zdejmować.

Po obu stronach mostu słowa miały różne desygnaty, co innego znaczył bóg, co innego prawda, bohater. Niewiele widziałem miejsc na świecie, gdzie rzeczywistość na przestrzeni paru metrów tak drastycznie się zmieniała. Serbowie stworzyli sobie tutaj świat równoległy, ignorowali kosowską państwowość. To zawsze dla państwa niebezpieczne, gdy część obywateli nie chce tymi obywateli być, a zwłaszcza gdy tuż za granicą jest jeszcze większe państwo, które mogłoby się o nich upomnieć. Różnice z latami się zacierały, ale wciąż mnóstwo jest tu samochodów na serbskich blachach, ogląda się serbską telewizję, a gdy byłem tu ostatni raz, 10 lat temu, to w kafanie na moście odmówili przyjęcia euro i kazali płacić w dinarach. Wówczas obiecałem sobie, że kiedyś tu wrócę.

– Czy już można płacić w euro? – pytam barmana.

– Od zawsze można było – łypie zdziwiony, a ja wiem, że się myli.

Najgorszy szpieg świata

To mała speluna, zadymiony kuflolot kilka na kilka metrów, gdzie wszyscy prowadzą jedną rozmowę, a każdy wchodzący wita się z każdym. Mężczyzna, o którym później dowiedziałem się, że nazywa się Sasza, pytał znad piwa, kim jestem. Obcy się tu nie zapuszczają, a ja już wcześniej wymyśliłem, co odpowiedzieć, bo ostatnie parę godzin spędziłem spacerując po serbskiej Mitrowicy. Widziałem niejeden napis, że „Kosowo to Serbia, a Krym to Rosja", że NATO ma się wynosić, widziałem mnóstwo wymalowanych liter „Z", to symbol rosyjskiego imperializmu. Serbowie trzymają z Rosjanami.

Odpowiedziałem Saszy, że jestem aktorem z teatru w rosyjskim Krasnodarze. Ferajna się rozweseliła. Dobrze, pomyślałem, czegoś się od nich dowiem. Pytali, co z Ukrainą, a potem ja pytałem, co z NATO: „NATO zaatakowało Jugosławię i okupuje Kosowo od 25 lat" – usłyszałem. Pytali, co z Nawalnym, a potem ja pytałem, czy Rosja im pomaga: „Rosja nas jebie, zapomniała o nas". Pytali, co z Putinem, a potem ja pytałem, czy Serbia im pomaga. „Serbia też nas jebie, też o nas zapomniała. Wszyscy o nas zapomnieli".

Tak, tutejsza mniejszość serbska jest słaba. Jest nieliczna, poza tym Serbowie mieszkają w rozproszonych enklawach, trudno byłoby im nawet próbować się odłączyć. Są uwięzieni w geopolityce i niczym Polacy na Litwie czy Rosjanie w Kazachstanie z panów nagle stali się poddanymi. Dzisiejsze Kosowo nie śni ich snu.

Rozmawialiśmy, aż nagle Sasza zapytał mnie, czy lubię aktora tego i tego. Nic nie mówiło mi to nazwisko. Dopytywał kilka razy, pokazywał zdjęcia, dziwił się, że ja, aktor z Rosji, go nie znam. Okazało się, że to serbski aktor pracujący w Rosji,

ROBERT HARDING / ALAMY / B&EW

Główny meczet w Mitrowicy w jej albańskiej części.

wielka gwiazda. To wtedy chyba po raz pierwszy Sasza nabrał podejrzeń. Rozmawialiśmy i po następnej chwili Sasza pokazał mi jakiś numer telefonu i spytał, czy to rosyjski numer. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, jaki jest kierunkowy do Rosji, serwowany tu serbski Jeleń niczego zresztą nie ułatwiał. Strzeliłem, że nie, a później okazało się, że jednak tak. Atmosfera coraz bardziej gęstniała, chłopy odzywały się coraz mniej.

W końcu Sasza powiedział: – Ja dobrze wiem, że ty nie jesteś żadnym turystą – i spojrzał mi głęboko w oczy. Jakoś tam się broniłem, że jestem, że kocham Bałkany, że dobre mają piwo, ale oni dali mi do zrozumienia, że nic tu po mnie. Przezornie zapłaciłem, ukłoniłem się i prędko poszedłem w stronę nadal siedzących w telefonach carabinierich. Okazałem się najgorszym szpiegiem świata.

Głowy orła

Dopiero po wizycie w Mitrowicy dostrzegłem, że zarówno na fladze albańskiej, jak i serbskiej widnieje dwugłowy orzeł, a każda z głów patrzy w przeciwną stronę. Być może tkwi w tym jakaś bałkańska metafora.

W Związku Radzieckim śmiano się, że najtrudniej przewidzieć przeszłość. Tę jugosłowiańską znajduję tylko na gulikach, bo chyba wszędzie na świecie po rewolucjach to studzienki ściekowe najdłużej zdradzają, jaki świat był tu wcześniej. Opowieść o przeszłości zawsze jest opowieścią o wymarzonej przyszłości i dlatego uważnie oglądam pomniki, którymi wytatuowano cały prisztiński bulwar. Albańczycy z Kosowa część pamięci dzielą z Albańczykami z Albanii, a część mają własnej. Na bulwarze dominuje przede wszystkim ta świeższa pamięć, dotycząca wojny z Jugosławią. Śródmieście usłane jest upamiętnieniami bojowników UÇK – Armii Wyzwolenia Kosowa.

Ale sytuacja, gdy ojcowie niepodległości wciąż żyją, jest trudna, bo zbyt wiele symbolizują, a nie zawsze bohater czasu walki okazuje się też bohaterem czasu pokoju. Przyjechałem do Kosowa zaledwie 16 lat po zdobyciu przez nie niepodległości – to niedługo, to tak jak gdyby trafić do Polski roku 1934, gdy żyli wciąż Józef Piłsudski czy Roman Dmowski. Do niedawna niemal wszyscy spośród liderów politycznych w Kosowie wywodzili się z partyzantki. Tutaj historia nie rozjechała się jeszcze aż tak z teraźniejszością. W Polsce takie sprawy jak odzyskanie niepodległości czy wojna są już mitami, a tutaj ich ojcowie i matki sprawują władzę. To wieczny problem młodych państw, tym większy, gdy niepodległości się nie otrzymuje, ale się ją wywalcza, gdy o wolności decyduje nie atrament, a karabin.

Miasto dla cierpliwych

O Prisztinie mówi się, że deklasując Kiszyniów i Podgoricę jest najbrzydszą stolicą Europy – i choć kocham miejsca piękne pięknem nieoczywistym, to rozumiem, dlaczego ktoś może tak twierdzić. Prisztina ze swoim czarem się nie narzuca i nie jest to urok starości czy krajobrazu. Nie jest miastem do zwiedzania, to miasto dla cierpliwych, do bycia, może nawet trwania, do cierpliwego dostrajania się z jego powolnym wydarzaniem się, przelewania się dnia w dzień.

Prisztina często wygląda, jak gdyby ktoś rozrzucił nieco materii nieożywionej, aby wywróżyć z niej kosowską przyszłość, a następnie nie zdradzając wróżby zapomniał po sobie uprzątnąć. Ulicom brakuje powagi kątów prostych, tu kąt prosty to luksus. To miasto stawiane w pośpiechu, miasto czekające na swoją puentę. Jest gotowe, ale niedbale, tak jakby najważniejszym było, aby zademonstrować, że z tymi wszystkimi nowymi wiatami przystankowymi i ścieżkami rowerowymi nie jesteśmy już zbuntowaną prowincją, nie tylko zostaliśmy uznani, ale też uznaliśmy samych siebie i być może kiedyś nazwa naszego kraju nie będzie budziła grozy tak jak inne toponimy XX wieku: Oświęcim, Sarajewo czy Katyń.

Gdy Kosowo stało się państwem, Albańczycy musieli dorównać swojemu nowemu statusowi, nauczyć się nosić swoje niepodległe ciało. Nagle powiaty stały się województwami, radni posłami, wójtowie burmistrzami, a budynki drugiej świeżości rządowymi agendami. Bulwar to Unter den Linden czy Chreszczatyk na miarę ich możliwości, miejski wąwóz okolony z dwóch stron betonowymi placami i oflankowany niskimi blokami z suszącym się praniem i prefabrykatową geometrią.

Jest w tym świecie jednak szlachetność, nie sposób pastwić się nad nim w prosty, orientalizujący sposób, w opisie poprzestawać na wiszących pnączach kabli czy tym panu, który gdy kupiłem u niego na targu podrabianą czapkę i powiedziałem, że jest na niej plama, wziął ją ode mnie, splunął, potarł, plama nie zniknęła, ale on powiedział, że zniknęła, i odszedł.

W orientalizacji nie pomaga nawet geografia, gdyż Prisztina leży bardziej na Zachód niż Lublin czy Rzeszów. Szarmu tego miejsca nie sposób zamknąć w ewidencyjnym natręctwie pocztówki, to nie pocztówkowo-osmańskie Sarajewo, monumentalny Belgrad czy nawet brutalistyczno-antyczne Skopje. Na zachwyt nad Prisztiną i nad całym Kosowem trzeba sobie zasłużyć.

© ZBIGNIEW ROKITA

STANISŁAW

Mancewicz:
Łączy nas zmyłka

By być na czasie, trzeba by dziś solidnie przeanalizować osobność polskiego sposobu uprawiania futbolu. Ponieważ w chęci bycia na bieżąco nie jesteśmy jedyni, możemy sobie pozwolić na zaledwie garść uwag. Oto można by spróbować przemyśleć fikuśność polskiego futbolu szybko a holistycznie, począwszy od osobowości szefa lokalnej federacji piłkarskiej, poprzez fikuśność odzieży selekcjonera reprezentacji, po sposób zbliżania się do stojącej piłki przez kapitana zespołu. Całości dopełnia nastrój. Bo gdy było już po wszystkim, z mowy ciała i umysłu członków naszej drużyny można było wysnuć domniemanie, że osiągnęli sukces. Dlaczego wrócili do domu, a nie stanęli do meczu o puchar? Nie wiadomo. Tak wyszło.

Sposób uprawiania futbolu to jedno, a drugie – może nawet ważniejsze – to zagadka, jak owa szokująca jednak osobliwość wpływa na polską młodzież. Na jej codzienność, twórczość, czynności profesjonalne i domowe, na jej – młodzieży – sposób poruszania się w tzw. wielkim świecie. Chcielibyśmy to wiedzieć. Syntetyzując – bowiem syntetyzowanie jest naszą pasją – uznaliśmy, że najlepszym określeniem sumującym wszystko to razem jest słowo „zmyłka". Od oświadczeń PZPN, poprzez ubiór selekcjonera, po sposób zbliżania się do stojącej piłki przez polskiego piłkarza wszech czasów, po mowę ciała na lotniskach, w telewizjach i internecie. Oto zmyłka – jak nam się wydaje – jest polskim żywiołem i na tym znakomicie słusznym spostrzeżeniu zakończymy rozważania o polskim wkładzie w ważne turnieje. Łączy nas zmyłka – chciałoby się rzec, a jest to – każdy przyzna – hasło świetne, aktualne i szokująco pojemne.

Mając zatem w głowie totalną zmyłkę, która jest – mimo szalonych podziałów – narodowym lepiszczem, musimy oddać się rozważaniom symetrycznym. Unikamy symetryzowania na tematy polityczne, bowiem jesteśmy najgłębiej przekonani, że symetria jest estetyką głupców. A jednak postanowiliśmy zrobić sobie przerwę w jednostronnym zacietrzewieniu, w którym od wielu lat z radością i wielkim powodzeniem się realizujemy.

Weźmiemy zatem na warsztat dwie postacie naszej polityki, niby odległe od siebie w każdym sensie – p. A Dudę, który nas nigdy nie zawiódł, jeśli idzie o zmyłkowość w kreowaniu swojej niesamowitej osobowości, oraz p. B. Nowacką kierującą zmyłkowo, z niejasnych dla nas powodów, Ministerstwem Oświaty. Ma na tematy edukacyjne opinie tak słuszne, że aż niesłuszne. Można by kontynuować charakterystykę pani minister w tym duchu, a więc, że owa tak się wgryzła w zagadnienia edukacyjne, iż się przez nie przegryzła na ich drugą stronę, że np. zna się na literaturze do tego stopnia, iż nie zna się na niej w ogóle, i tak dalej, aż do świetnej konstatacji, że p. B. Nowacka tak bardzo się nadawała na to stanowisko, że z tego nadawania zaczęła się nie nadawać. Każdy przyzna, że jest to wywód taki sobie, ale w polskich warunkach jedyny do wyartykułowania.

W ramach symetryzowania popatrzmy na aktywność p. Dudy. Był znów za granicą, tym razem w Chinach, u kolejnego swego przyjaciela p. Xi Jinpinga. Od zawsze mamy problem z podróżami p. Dudy. Gdy gdzieś się wybiera, przechodzi nas dreszcz oraz ciarka. Chcielibyśmy tymi słowami wyrazić emocje, których nie umiemy nazwać. To nie radość ani smutek, to raczej odmiana dumy. Żaden naród na planecie nie ma takiego prezydenta, w każdej sprawie trafiającego w nieoczekiwane miejsce bardzo daleko od tarczy. Do każdego zagadnienia zbliża się na modłę piłkarza wszech czasów. Choćby nie wiadomo jak celował, zawsze trafi – jak mawia lud – dziurą w płot. Z niepokojem zauważyliśmy, że obie te figury – tzn. p. Nowacka z p. Dudą się nam zlewają. Ba, one się nam już zlały w jedno. Ta jedność nas zastanawia. Łączy ich zmyłka, a nas zmyłka łączy z nimi. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Stowarzyszeniu Instytut Literacki Kultura i w Fundacji Kultury Paryskiej.

BARTOSZ MINKIEWICZ

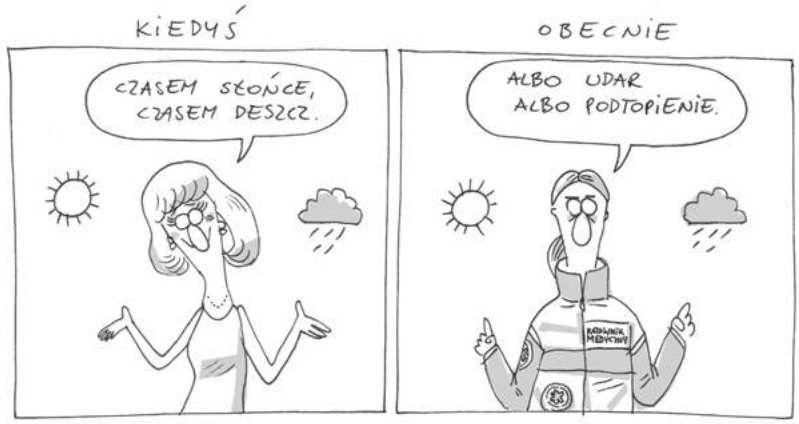

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

STOWARZYSZENIE MUZYKI POLSKIEJ ZAPRASZA NA

KAROL KURPIŃSKI

JADWIGA
KRÓLOWA POLSKA

opera w 3 aktach (wersja koncertowa)

KONCERT SPECJALNY

20. FESTIWAL MUZYKI POLSKIEJ

FESTIVAL OF POLISH MUSIC

Kraków 13–28.07.2024

13.07 SILESIA | Muzyka ze źródeł śląskich XIV i XV wieku **ensemble Peregrina**

14.07 ŻYDOWSKIE MAZURKI **Szymanowska, Wieniawski, Tansman, Wolff, Kassern, Wajnberg, Szpilman, Chopin Marek Bracha** fortepian

19.07 KONCERT JUBILEUSZOWY 30|20 • 30 lat Sinfonietty Cracovii i 20 lat Festiwalu Muzyki Polskiej
Moszumańska-Nazar, Lutosławski, Chyrzyński, Britten Wojciech Parchem tenor, **Ben Goldscheider** waltornia, **Sinfonietta Cracovia, Katarzyna Tomala-Jedynak** dyrygentka

20.07 MOTION TRIO ALLA POLACCA **Wojtarowicz, Chopin, Lutosławski, Górecki, Kaczmarek, Maksymiuk, Bacewicz, Kilar Motion Trio**

21.07 **Szymanowski, Wieniawski, Bartók, Kodály, Vecsey, Hubay Júlia Pusker** skrzypce, **Grzegorz Skrobiński** fortepian

26.07 FESTUM IUVENTUTIS - FESTIWAL MŁODYCH Recital fortepianowy zwycięzcy III Międzynarodowego Konkursu Muzyki Polskiej
Chopin, Godowsky, Kurpiński, Mikuli, Tansman, Serocki Georgi Vasilev fortepian

28.07 **Roman Statkowski: PHILAENIS** opera w dwóch aktach z prologiem [prawykonanie opery w instrumentacji Krzysztofa Słowińskiego]
Soliści, Chór i Orkiestra Filharmonii im. K. Szymanowskiego, Krzysztof Słowiński dyrygent

Bilety dostępne online oraz na godzinę przed koncertem, informacje na stronie

www.fmp.org.pl

Organizatorzy: Stowarzyszenie Muzyki Polskiej, Kraków

Projekt współfinansowany ze środków Miasta Krakowa

Mecenasz: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Sponsorzy: jędrzejczyk gontarczyk & partners, KKBCJ GRUPA, mBank

Partnerzy: ams, PWM, ARS OPTICA, Filharmonia Krakowska, Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego, Muzyczne Mosty, 30 lat, Instytut Kultura, CZIFFRA, Hungarian National Bank at Hungary

Patron medialny: wyborcza.pl, WP, Kraków Culture, kraków.pl

REKLAMA

BALTIC OPERA FESTIVAL

TURANDOT

PUCCINI 20, 25 LIPCA

JAŚ I MAŁGOSIA

21 LIPCA HUMPERDINCK

IX SYMFONIA

D-MOLL OP. 125

WYDARZENIE TOWARZYSZĄCE

BEETHOVEN 23 LIPCA

LATAJĄCY HOLENDER

24 LIPCA WAGNER

Organizatorzy Festiwalu

Opera Bałtycka w Gdańsku

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Patronat honorowy

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Marszałek Sejmu Szymon Hołownia

ORLEN MECENAS GŁÓWNY

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

REKLAMA